

SUZANNE CAREY

Dar życia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dwudziesty piąty lipca, słoneczny, lekko wietrzny dzień, choć może zbyt chłodny jak na środek lata. Dla wielu ludzi wymarzona pogoda na spacer po parku lub wycieczkę z dzieckiem do zoo, żeby popatrzeć na lwy, szympansy i zebry. Dla wielu, ale nie dla mężczyzny samotnie krążącego po czarnych asfaltowych alejkach Como Park Zoo w St. Paul w Minnesocie.

Trzydziestosześcioletni Stephen Hunter nie miał dziecka, które domagałoby się jego uwagi, które zadawałoby tysiące pytań i któremu mógłby odpowiedzieć, że żyrafy jedzą korony drzew, bo to zwierzęta roślinożerne, a słonie potrafią pływać. Zamiast ukochanego, jasnowłosego synka, u którego trzy i pół roku temu wykryto rzadką odmianę raka kości, miał krwawiącą ranę w sercu. Tej pustki nic nie było w stanie zapełnić.

Dziś była trzecia rocznica śmierci Davida. Wiedząc, że nastrój przygnębienia będzie mu towarzyszył przez cały dzień, Stephen wyrwał się na kilka godzin z pracy i udał do zoo, gdzie tyle razy oglądał z synem dzikie zwierzęta.

Chociaż był znanym i cenionym lekarzem, który w szpitalu Minnesota General specjalizował się w leczeniu białaczek i innych chorób krwi, to jednak nie potrafił

powstrzymać rozwoju choroby Davida i zapobiec jego śmierci.

Stephen i jego była żona, Brenda Torgilson Hunter, nie wytrzymali napięcia. Wściekłość i poczucie bezradności po stracie ukochanego jedynaka sprawiły, że małżonkowie zaczęli się coraz bardziej od siebie oddalać. Pograżeni w rozpacz, nie umieli się nawzajem pocieszyć. Brenda zarzucała mężowi, że myśli tylko o sobie. Teraz, z perspektywy czasu, gotów był przyznać jej rację, mimo iż ona też nie była bez winy.

Tak, po śmierci syna zamknął się w sobie. Żeby nie oszaleć z bólu, rzucił się w wir pracy i całymi dniami nie wychodził ze szpitala. W przeciwieństwie do męża Brenda szlochała i krzyczała, wyładowując frustrację i złość na nim.

Rozwiedzeni od prawie roku, rzadko się widywali. Chociaż Stephen żałował rozstania, to jednak po rozważeniu wszystkich za i przeciw uznał, że słusznie postąpili, decydując się na ten krok. Podejrzewał bowiem, że nawet gdyby żyli sto lat, nie umieliby się pogodzić ze śmiercią syna; patrząc w oczy współmałżonka, widzieliby jedynie smutek i ból.

Obydwoje musieli rozpocząć nowe życie - z dala od siebie.

Łatwo powiedzieć, przemknęło mu przez myśl. Lecz zdawał sobie sprawę, że nie ma innego wyjścia: powinien wziąć się w garść i zamiast udawać, że normalnie funkcjonuje, naprawdę zacząć żyć. Ale jak? Nigdy nie pociągały go przelotne romanse, a na myśl o jakimkolwiek poważnym związku ogarniał go paraliżujący strach. Bał

się. Większość samotnych kobiet w wieku trzydziestu kilku lat, jeśli jeszcze nie miała dzieci, to pragnęła je mieć. On zaś... nie, po prostu nie mógłby.

Podczas ostatniej, niezwykle krótkiej remisji Davida całą rodziną wybrali się do zoo. Mimo że od paru miesięcy żyli ze świadomością zbliżającego się końca, tamtego dnia nie myśleli o chorobie - wszyscy byli szczęśliwi. Może dlatego dziś tu przyszedł - bo wycieczka do zoo kojarzyła mu się z czymś miłym. Może liczył na to, że przez moment znów ujrzy syna, choćby we wspomnieniach i wyobraźni.

Przystając przy gorylach i orangutanach, za którymi David przepadał, kątem oka spostrzegł szczupłą, atrakcyjną szatynkę, spacerującą razem z wątą jasnowłosą dziewczynką w wieku przedszkolnym.

Kobieta miała świeżą, brzoskwińową cerę, naturalnie kręcone krótkie włosy, a sądząc po ubraniu - dobry gust oraz pieniądze. Stephen zwrócił uwagę na eleganckie skórzane buty na płaskim obcasie, beżową spódnicę z dobrej gatunkowo wełny oraz kaszmirowy sweter w twarzowym niebieskim odcieniu. Z tej odległości nie był pewien, ale wydawało mu się, że na serdecznym palcu lewej ręki nie połyskuje obrączka.

Dziewczynka w wełnianej kraciastej spódniczce, robionym na drutach czerwonym swetrze, grubych czerwonych podkolanówkach i czarnych skórzanych trzewiakach była o wiele cieplej ubrana niż inne dzieci w zoo. Z wyrazu troski i niepokoju malującego się na twarzy kobiety, a także z jej zachowania jednoznacznie wynikało, że jest ona matką dziewczynki i że bardzo ją kocha.

Doktor Stephen Hunter zauważył coś jeszcze, a mianowicie że dziewczynka znajduje się w kiepskim stanie zdrowia. Była stanowczo za chuda, a jej ogromne, patrzące z powagą oczy wydawały się nieproporcjonalnie duże w stosunku do buzi.

Sarn nie wiedział dlaczego, ale kiedy matka z córką skreśliły w stronę basenu dla fok, ruszył za nimi. Nie podchodził za blisko, lecz starał się nie spuszczać ich z oczu. Dziwne, pomyślał, potrząsając głową. Po raz pierwszy od śmierci Davida jakaś kobieta wzbudziła jego zainteresowanie. Po raz pierwszy od pogrzebu syna zapragnął znów mieć rodzinę.

Biorąc pod uwagę własny stan psychiczny, uznał, iż dobrze się składa, że nie zna ślicznej szatynki. Ostatnia rzecz, jakiej ta elegancka kobieta potrzebuje - zwłaszcza jeśli jego podejrzenia co do zdrowia jej córki są słuszne - to okaleczony emocjonalnie lekarz, który większość czasu spędza w szpitalu. Pewnie zresztą ma męża i wierdzie ustabilizowane życie jako szczęśliwa matka uroczej dziewczynki i żona bogatego człowieka, który świata poza nią nie widzi.

Oczywiście, mylił się. Kobieta, którą śledził i o której snuł refleksje, nazywała się Jessica Holmes, była Angielką, miała dwadzieścia pięć lat, pracowała jako doradca inwestycyjny i niedawno, a dokładnie pół roku temu, owdowiała, nim jeszcze uzyskała rozwód od swojego dobrze zarabiającego, lecz nieustannie zdradzającego ją męża. Dwa dni temu przyleciała do Minnesoty ze swą pięcioletnią córeczką Annabel i jeszcze nie doszła do siebie po podróży. Podczas wyprawy do miejscowego zoo żadna

z nich nie tryskała energią czy humorem - Annie, u której przed paroma miesiącami wykryto białaczkę, była wyraźnie osłabiona, a Jess bez przerwy martwiła się o zdrowie córki.

Może wycieczka do zoo nie była najlepszym pomysłem, ale po długim, męczącym locie, a potem po całym dniu ciągnięcia córki po mieście, kiedy rozpaczliwie usiłowała skontaktować się z kimś z rodziny Fortune'ów - na razie bez powodzenia - uznała, że Annie potrzebuje jakiejś odmiany, rozrywki.

Chociaż próbowała wmówić w siebie, że jest prze-wrażliwiona i że wyobraźnia płata jej figle, to jednak bardzo się niepokoiła; miała wrażenie, że Annie coś podłapała, jakiegoś bakcyła czy wirusa, a zważywszy na jej osłabiony układ odpornościowy... Właściwie żyła w nieustannym strachu o swoje dziecko, żałowała jedynie, że córka ten strach wyczuwa i na swój dziecinny sposób stara się ją, dorosłą kobietę, pocieszyć.

Mam prawo się bać, pomyślała. I faktycznie. Odmiana białaczki, na którą chorowała Annie, zazwyczaj kończyła się śmiercią. Dziewczynkę mógł uratować tylko przeszczep szpiku. I to nie za rok czy dwa, ale już. Jeżeli nie znajdzie się dawca, Annie umrze. A ja wraz z nią, dodała w myślach.

Dlatego przyleciały do Minneapolis. Zdiagnozowa-wszy chorobę dziewczynki, lekarze poinformowali Jessę, że jej córka będzie miała największą szansę prze-życia, jeżeli znajdzie się dawca spośród osób z nią spo-krewnionych. Niestety, poszukiwania nie dały rezultatu; odpowiedniego dawcy nie znaleziono ani wśród rozpro-

szonej rodziny Jessiki, ani wśród członków rodziny jej męża, dyrektora jednego z większych banków i słynnego kobieciarza, który zginął w wypadku samochodowym ze swą najnowszą kochanką kilka tygodni po tym, gdy Jess wniosła sprawę o rozwód.

Zamiast siedzieć beczynnie i załamywać ręce, Jessica zgłosiła córkę do brytyjskiego rejestru osób oczekujących na przeszczep szpiku. Wkrótce potem, robiąc na strychu porządku w rzeczach zmarłej przed paroma laty matki, znalazła list adresowany do swej babki.

Napisany na gładkim, pożółkłym ze starości papierze, wetknięty był w książkę z wierszami dla dzieci, z której matka czytała jej na dobranoc, kiedy Jess była w wieku Annie. Z treści wynikało, że jej prawdziwym dziadkiem jest Benjamin Fortune, słynny amerykański przedsiębiorca, który podczas drugiej wojny światowej walczył w oddziałach alianckich we Francji, a nie George Simpson, którego babka poślubiła.

Nic nie wskazywało na to, by list przedstawiał nieprawdziwe informacje. Jess przestała się dziwić, że wyniki badań krwi niektórych członków rodziny są tak od siebie różne, i ucieszyła się z tego, że przed Annie otwierają się nowe możliwości. Niewiele się namyślając, wzięła urlop, spakowała walizki i poleciała z Annie do Stanów; miała nadzieję, że może potomkowie Benjaminu Fortune'a zdołają pomóc jej córeczce.

Dotychczas jednak nic nie wskórała. Owszem, po kilku minutach rozmowy zdołała ubłagać groźnie wyglądającą sekretarkę, która niczym smok strzegła wejścia do gabinetu prezesa Fortune Industries, Jacoba Fortune'a,

najstarszego syna Benjamin, aby przekazała mu od niej list. Jacob Fortune miał wrócić do biura za trzy dni, ale Jessica nie bardzo wierzyła, że się z nią skontaktuje. Szukając informacji o rodzinie Fortune'ów, zdążyła się zorientować, że co pewien czas ktoś usiłuje się podszyć pod kuzyna czy kuzynkę, aby zagarnąć dla siebie choćby małą część ogromnego bogactwa rodziny. Nie zdziwiłaby się, gdyby Jacob Fortune potraktował ją jako kolejną naciągaczkę.

Wiedziała, że musi go do siebie przekonać.

Tak jak się obawiała, reszta Fortune'ów miała zastrzeżone numery telefonów. W informacji międzynarodowej, do której zadzwoniła przed wyjazdem z Anglii, podano jej trzy numery osób o nazwisku Fortune mieszkających w okolicy bliźniaczych miast Minneapolis i St. Paul.

Okazało się, że dwie z nich nie są spokrewnione z Benjaminem. Co do trzeciej, nie była pewna. Dzwoniąc ze swojego domku w Sussex kilka dni przed wylotem do Stanów, dwukrotnie uzyskała połączenie z sekretarką automatyczną niejakiej Natalie Fortune, młodej kobiety o miłym, dźwięcznym głosie. Jess nagrała się na sekretarkę, prosząc Natalie, aby na jej koszt pilnie się z nią skontaktowała. Niestety, prośba pozostała bez odpowiedzi.

Po raz drugi zadzwoniła do Natalie po przylocie do Minneapolis. Tym razem nawet nie włączyła się sekretarka. Albo urządzenie było zepsute, albo wyłączone. Może Natalie Fortune przeprowadziła się?

W każdym bądź razie Jessica nie zamierzała się poddać. Nie po to przebyła taki kawał drogi, by wracać do domu z pustymi rękami. Postanowiła, że jeśli Jacob For-

tune nie zareaguje na list, który zostawiła u jego sekretarki, zacznie warować pod drzwiami jego biura. A jutro podejmie kolejne kroki w celu odszukania innych członków rodziny, nawet jeśli będzie musiała powierzyć Annie poleconej przez hotel opiekunce.

Obejrzawszy foki, niedźwiedzie polarne i pingwiny, Jess z Annie skierowały się w stronę żyraf. Po drodze zatrzymały się przy straganie ze słodyczami, w którym Jess kupiła córce różową watę na patyku. Miała nadzieję, że rumieńce barwiące policzki Annie są wynikiem radości dziecka, a nie zwiastunem przeziębienia.

- Zobacz, mamusiu! Zebry! - zawołała umorusana na różowo dziewczynka.

Wymyślając sobie od kretynów, Stephen w dalszym ciągu bawił się w podchody. Podążał śladem matki i córki, zafascynowany delikatną urodą kobiety i silną więzią łączącą ją z dziewczynką. Akurat gdy im się przyglądał, dziewczynka potknęła się i upadła, raniąc się w kolano.

Matka była przy niej w okamgnieniu.

- Nic ci nie jest, myszko? - spytała przejęta.

Przykucnąwszy obok córki, wyjęła czystą chusteczkę do nosa i zaczęła przecierać zadrapanie.

Dziewczynka zlekceważyła upadek.

- Nic - odparła. - Ale wiesz, mamusiu, strasznie mi ciepło w główkę.

Jej duże zielone oczy lśniły, jakby miała gorączkę. Jessica przyłożyła dłoń do czoła córki. Ku swojemu przerażeniu odkryła, że niemal parzy. Osłabiony układ odpornościowy małej Annie nie uchronił jej przed kolejnym zakażeniem.

- Och, myszko - szepnęła zdruzgotana, tuląc córkę.
- Musimy natychmiast wrócić do hotelu i położyć cię do łóżka.

Nie słyszała zbliżających się kroków, toteż drgnęła przerażona, kiedy podniosła głowę i ujrzała stojącego obok przystojnego blondyna.

- Przepraszam, jestem lekarzem. Może mógłbym pani w czymś pomóc? - spytał.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną o lekko potarganych przez wiatr i spalonych przez słońce włosach i niebieskich oczach. Typ nordycki. Ręce miał zgrabne, zadbane, o długich palcach, spojrzenie przenikliwe, lecz przyjazne, wyraz twarzy uprzejmy. Mimo że tyle słyszała o przestępczości w amerykańskich miastach, Jessica gotowa była zaufać nieznajomemu. Instynkt podpowiadał jej, że mężczyzna jest tym, za kogo się podaje.

Ale nie przywykła do przyjmowania porad medycznych od obcych ludzi, w dodatku nie w zoo i nie wtedy, gdy chodziło o zdrowie jej córki.

Podniosła się z klęczek.

- Dziękuję, nie trzeba - odparła z angielskim akcentem. - To tylko lekkie zadrapanie. Bardziej mnie martwi, że córka nabawiła się przeziębienia. Musimy wracać do hotelu.

Z bliska kobieta była zjawiskowo piękna. Zawsze uwielbiał ten typ urody: bladą cerę w połączeniu z niemal czarnymi włosami. Tak wyglądała Elizabeth Taylor, kiedy w 1950 roku występowała w pierwotnej wersji „Ojca panny młodej”. Sądząc po akcencie, nieznajoma była Angielką, a skoro mieszkała w hotelu, zapewne

przyjechała do Stanów na urlop. Podobał mu się jej wdzięk, uroda, naturalna elegancja oraz widoczne gołym okiem przywiązanie do dziecka.

Zdawał sobie sprawę, że po trzech latach życia w bólu, udręce i samotności powoli zaczyna się wynurzać ze swej skorupy, tęsknić za towarzystwem ludzi, kobiet. Z jednej strony trochę się bał, z drugiej... Na razie jednak co innego zaprzętało jego uwagę; był przekonany, że dziewczynce dolega coś innego niż zwykłe przeziębienie.

Jess nie zaprotestowała, gdy kucnął obok Annie, przyłożył rękę do jej czoła, po czym delikatnie obmacał jej szyję. Annie syknęła cichutko. Nic dziwnego, pomyślał. Dziewczynka ma opuchnięte węzły chłonne, obolałe gardło i temperaturę. Bez termometru trudno mu było dokładnie określić, jak wysoką, ale podejrzewał, że około trzydziestu dziewięciu stopni.

Następnie, obejrawszy zadrapanie kolano, z kieszeni marynarki wyciągnął jaskrawozielony plaster - specjalnie kupował takie dla swoich małych pacjentów - i z poważną miną, jakby przypinał dziewczynce order, zakrył nim niedużą ranę.

- Lepiej? - zapytał, wstając.

Na widok kolorowego plastra Annie natychmiast zapomniała o upadku i bolącej głowie.

- Chyba tak. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Dziękuję - dodała po chwili, widząc spojrzenie matki.

- Pani córka ma powiększone węzły chłonne i gorączkę - oznajmił, patrząc w piwne oczy Jess. - Powinna się pani wybrać z nią do lekarza.

Przez moment miała ochotę oprzeć się na silnym mę-

skim ramieniu, ale już sekundę później ogarnęła ją złość. Nie prosiła go o pomoc. Jakim prawem udziela jej rad? A tak w ogóle, to o co mu chodzi? Czyżby oskarżał ją o zaniedbywanie rodzicielskich obowiązków? A może w ten sposób poluje na nowych pacjentów?

- Żadnego tu nie znam - burknęła gniewnie i nagle zobaczyła, jak Annie drży z zimna. - Przyleciałyśmy do Stanów dwa dni temu. Nie spodziewałam się, że będzie tu tak chłodno. - Przytuliła córkę. - Obawiam się, że zbyt lekko ubrałam Annie...

Nawet chwili się nie wahał.

- Niech ją pani okryje - powiedział, zdejmując tweedową marynarkę i zarzucając ją na ramiona dziewczynki. - Jest pani samochodem?

Skinęła głową, zaskoczona uprzejmością nieznanego.

- Gdzie stoi? Zaniosę małą.

Widząc wdzięczność w oczach matki, Annie nie zaprotestowała, gdy obcy wziął ją na ręce. Nie tylko nie zaprotestowała, ale rączkami oplótła mu szyję i oparła głowę o jego klatkę piersiową. Zachowywała się tak, jakby tu było jej miejsce, w ramionach tego obcego mężczyzny. Jakby doceniała jego... ojcowskie poświęcenie.

Przestań! - Jess skarciła samą siebie. Jakie tam ojcowskie poświęcenie? Swoją drogą nie mogła przeboleć, że ojciec Annie wykazywał tak mało zainteresowania córką. Zamiast czytać jej bajki i zabierać na wycieczki, Ronald Holmes większość wolnego czasu spędzał na uganianiu się za kobietami i prowadzeniu szybkich wozów, w dodatku często pod wpływem alkoholu.

Idąc w stronę parkingu, na którym zostawiła wynajęty czerwony samochód - trudno było się jej przestawić na prawostronny ruch! - pomyślała sobie, że przedwczesna, tragiczna śmierć Ronalda właściwie niewiele zmieniła w jej życiu. Mąż rzadko bywał w domu, niemal od początku sama wychowywała dziecko. Ponieważ wypadek zdarzył się, zanim sąd wydał postanowienie o rozwodzie, Jess z Annie wszystko po Ronaldzie odziedziczyły. Miały więcej pieniędzy niż dostałyby w ramach alimentów, toteż koszt przeszczepu nie grał najmniejszej roli. Gdyby tylko udało się znaleźć dawcę!

Dotarłszy do samochodu, otworzyła drzwi od strony pasażera. Po chwili wzięła córkę od nieznanego i posadziła ją na siedzeniu. Okryła Annie grubym wełnianym szalem, który leżał w samochodzie, a marynarkę zwróciła właścicielowi.

- Teraz już sobie poradzimy - oznajmiła, patrząc w jego niebieskie oczy. - Dziękuję za pomoc i przepraszam za kłopot.

Mruknął pod nosem, że to żaden kłopot. Walczyły w nim dwa silne uczucia: chęć ponownego spotkania się z kobietą i niepokój o jej dziecko. Zwyciężył niepokój.

- Gdzie się pani zatrzymała?

Jessica zawahała się; znów przypomniawszy sobie te wszystkie ostrzeżenia o wzroście przestępczości w dużych amerykańskich miastach. Ale facet był lekarzem, o ile oczywiście jej nie okłamał, poza tym wydawał się naprawdę sympatyczny.

- W Radisson Plaza w centrum Minneapolis - odparła.

Skinął z aprobatą głową. Był to pierwszorzędny hotel z doskonałą obsługą. Chociaż sam nigdy w nim nie nocował, znał hotel dość dobrze, gdyż wielokrotnie organizowano tam konferencje medyczne. Kobieta nie mogła lepiej trafić.

- Niedaleko hotelu znajduje się szpital Minnesota General. Jest tam świetny oddział nagłych przypadków, a także wzorowo prowadzona pediatria. Może pani skorzystać z usług lekarza w hotelu albo przewieźć córkę do szpitala. Na razie niech ją pani położy do łóżka, ważny jest odpoczynek. Proszę podawać małej aspirynę, dużo płynów i robić jej chłodne okłady na czoło.

Starał się złagodzić swoje polecenie uśmiechem, jakby był świadom, że kobieta wcale nie prosiła o radę. Stanowczy ton i zdecydowana postawa w połączeniu z łagodnym uśmiechem stanowiły niezwykle atrakcyjną mieszankę. Przez ułamek sekundy korciło Jess, żeby spytać nieznajomego, gdzie sam przyjmuje pacjentów i jak się nazywa. Powstrzymała się jednak. W tej chwili najważniejsza była Annie. Podziękowawszy nieznajomemu, wsiadła do auta i odjechała.

Stał bez ruchu na środku zastawionego parkingu i patrzył za malejącym w oczach czerwonym samochodem. Podejrzewał, iż w tak dużym mieście jak Minneapolis szansa na to, aby ponownie spotkać ciemnowłosą Angielkę, jest znikoma - chyba żeby zgłosiła się z córką do Minnesota General. Włożywszy marynarkę, wsunął ręce do kieszeni i wolnym krokiem ruszył do swojego mercedesa.

Po co mielibyśmy się znów spotykać? - pomyślał.

Wcale nie chciał żadnych zmian w swoim życiu. Ale w głębi duszy żałował, że wszystko będzie tak jak dawniej.

W hotelu Jess wzięła z recepcji klucz i wjechała windą na górę; dała Annie aspirynę dla dzieci, którą kazała jej popić szklanką soku pomarańczowego z barku, po czym położyła córkę do łóżka. Zgodnie z sugestią nieznanego, na jej czole umieściła zamoczony w zimnej wodzie ręcznik.

- Postaraj się zdrzemnąć, myszko - szepnęła, całując rozgrzany policzek. - Kiedy się obudzisz, na pewno poczujesz się znacznie lepiej. Obejrzymy sobie później jakiś program dla dzieci, dobrze?

Annie chwyciła matkę za rękę.

- Nudzi mnie to ciągle chorowanie. I strasznie tęsknię za Herkiem. Mamusiu, musimy tu siedzieć? Nie możemy wrócić?

Herkimer, zdrobniale Herkie, był psem rasy szkocki terier, za którym Annie przepadała. Wyjeżdżając do Stanów, zostawiły psa pod opieką kuzynki Jessiki. Dziewczynka bardzo ciężko przeżyła rozstanie z ukochanym czworonogiem.

- Ja też tęsknię za Herkiem - oznajmiła Jess, usiłując pocieszyć córkę. - Ale Amanda na pewno doskonale się o niego troszczy. A do domu wrócimy, jak tylko uda nam się znaleźć odpowiedniego dawcę. Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym.

- I wtedy będę już zdrowa? - spytała Annie. Oczywiście jej gorączkowo.

Wprawdzie zdarzały się nieudane przeszczepy szpiku, ale z każdym dniem następował coraz większy postęp w medycynie. Jess nawet nie dopuszczała do siebie myśli o porażce. Najpierw jednak trzeba było znaleźć dawcę.

- Zdrowa jak ryba - odparła. - A teraz zamknij oczka i postaraj się zasnąć.

Podczas gdy Annie spała w sypialni, przykryta kocem i narzutą, Jess siedziała na kanapie w sąsiednim pokoju i wynotowywała z książki telefonicznej numery telefonów ambulatoriów pełniących ostry dyżur. Na wszelki wypadek sprawdziła również numer do izby przyjęć Minnesota General. Całkiem nieoczekiwanie stanął jej przed oczami wysoki jasnowłosy lekarz, który zaczepił ją w ogrodzie zoologicznym.

Kiedy pół godziny później zajrzała do Annie, ta leżała już obudzona. Chociaż czoło wciąż miała ciepłe, gorączka powoli ustępowała. Ku zaskoczeniu Jess córka była głodna.

- Możemy zamówić cheeseburgery, mamusiu? Takie jak w tej reklamie telewizyjnej?

Zadzwoniwszy do recepcji, Jess poprosiła o przysłanie na górę dwóch cheeseburgerów i dwóch szklanek mleka. Nie zdziwiła się, widząc, że Annie bierze kilka kęsów, po czym odsuwa na bok talerz. Próbowwała się pocieszyć, że przynajmniej córka wypiła ponad pół szklanki mleka. Dziewczynka ziewnęła i ponownie opadła na łóżko, gotowa dalej spać.

Może do rana gorączka całkiem spadnie? Jeśli tak, wtedy wyskoczy na godzinę do biblioteki publicznej. Miała nadzieję, że może tam uda jej się zdobyć adresy

paru Fortune'ów. Cmoknąwszy córkę w policzek, wróciła do salonu i włączyła telewizor, ścisząc dźwięk, tak że był ledwo słyszalny.

Po odprowadzeniu na parking kobiety z chorym dzieckiem Stephen wrócił do szpitala na popołudniowy obchód. Dwie godziny później ponownie zasiadł za kierownicą mercedesa. Słuchając w radio muzyki klasycznej, jechał do domu, który stał nad zalesionym brzegiem jeziora Travis na przedmieściach Minneapolis,

Niektórzy pewnie sądzą, że niczego mi nie brakuje, pomyślał, skręcając z szosy w stronę drewnianego mostu. Pewnie myślą, że mam wszystko: ciekawy zawód, luksusowy samochód, wspaniały dom z widokiem na wodę. Ale ci, którzy tak uważali, mylili się. Choć Stephen kochał swą pracę i z poświęceniem zajmował się każdym pacjentem, który trafiał pod jego opiekę, nie miał rodziny ani życia osobistego. Od trzech lat czuł pustkę w sercu, której nic nie było w stanie zapełnić.

Przejeżdżając obok dawnej rezydencji Benjamina i Kate Fortune'ów, ukrytej za ścianą rozłożystych sosen i wysokich dębów, uświadomił sobie, że dziś w jego życiu dokonał się wielki przełom. Mimo iż ciągle bał się miłości i miał opory przed jakimkolwiek poważniejszym związkiem, to jednak pozwolił, aby matka z córką, które przez kilka minut śledził w zoo, zawładnęły jego myślami i wyobraźnią.

Oczywiście, nie pociągało to za sobą żadnych konsekwencji. Było bardzo wątpliwe, aby je jeszcze kiedyś spotkał.

Kilometr za rezydencją Fortune'ów znajdował się jego

dom. Cofnięty od drogi, z wielkimi oknami i ogromnym tarasem od strony jeziora, wydawał się zimny i mało gościnny. Otworzywszy pilotem bramę, Stephen wjechał do garażu i zgasił silnik.

Za każdym razem, gdy wchodził po kamiennych schodkach do pustej cichej kuchni, miał ochotę wyć z bólu. Dawniej zawsze witał go wesoły szczebiot Davida, a od trzech lat... Czasem wieczorami nie mógł się powstrzymać - zachodził do pokoju syna, oglądał jego zabawki, gładził metalowe samochodziki, plastikowych żołnierzy i pluszowe zwierzaki, które stały równo poukładane na drewnianych półkach.

Dzisiejszego wieczoru włączył muzykę, wstawił do piekarnika mrożoną lasagne, po czym nalał sobie kieliszek bardolino. O tej porze roku słońce zachodziło dopiero około wpół do ósmej. Chelsea i Carter Todd, dzieci jego najbliższych sąsiadów, wciąż bawiły się w ogrodzie pod czujnym okiem ich sześćdziesięciokilkuletniej opiekunki. Czekał, aż lasagne się zapiecze, wyszedł z kieliszkiem wina na taras. Spoglądał na lazurową taflę wody, zastanawiając się, czy śmiech innego dziecka i czułość innej kobiety byłyby w stanie go uleczyć, sprawić, aby znów chciało mu się żyć.

Jess zasnęła na kanapie w salonie. Obudziła się parę minut po dziesiątej, zeszywniała od niewygodnej pozycji. Śniło jej się coś dziwnego, ale nie mogła sobie przypomnieć, co. Przeszła do sypialni. Annie spała jak suseł; czoło miała ciepłe i suche. Temperatura na pewno nie podskoczyła.

Postanawiając nie budzić córki, Jess nalała sobie

szklanę wody i wróciła do salonu. W telewizji nadawano lokalne wiadomości. Nagle szpakowatemu spikerowi ktoś podsunął kartkę papieru. Mężczyzna zerknął na nią. Z wyrazu jego twarzy wynikało, że stało się coś ważnego. Jess nastawiła głośniej dźwięk.

- Wiadomość z ostatniej chwili - oznajmił mężczyzna na ekranie. - Monica Malone, dawna gwiazda hollywoodzka i wieloletnia mieszkanka Minneapolis, została dziś wieczorem znaleziona martwa w swoim domu przy Summit Avenue. Łączymy się z naszą reporterką Mary Ann Galvin, która znajduje się na miejscu wydarzenia. Mary Ann...

Reporterka stała na chodniku przed domem aktorki, który kiedyś może uchodził za elegancki, a obecnie wymagał remontu. Z ledwo skrywanym podnieceniem ścisnęła w dłoni mikrofon. Za nią widać było kilku policjantów w mundurach, migające światło na dachu radiowozu oraz wejście do domu denatki, zagrodzone żółtą policyjną taśmą.

- Dobry wieczór, Jay. Otóż według rzecznika komendy głównej policji w Minneapolis, sześćdziesięcioletnią aktorkę znaleziono na podłodze w salonie tuż po godzinie dziesiątej wieczorem. Śmierć stwierdzono po przybyciu policji, o godzinie dziesiątej piętnaście. Kierując się dobrem śledztwa, policja odmawia wszelkich informacji na temat przyczyny zgonu pani Malone. Nie chce też ujawnić, czy pani Malone umarła śmiercią naturalną, czy ktoś ją zamordował. Jak twierdzi mieszkający w pobliżu człowiek, który prosił nas o zachowanie jego tożsamości w tajemnicy, ofiara podobno otrzymała silny cios w głowę...

Nazwisko byłej gwiazdy wydało się Jess znajome - i to bynajmniej nie z powodu filmów, w których kiedyś występowała. Nie, Jessica była pewna, że widziała je całkiem niedawno, ale gdzie? Po chwili przypomniała sobie: w artykule poświęconym karierze Benjamina Fortune'a. Przed wyjazdem do Stanów wybrała się do biblioteki, żeby poszukać czegoś o swoich amerykańskich krewnych. Autor artykułu, który twierdził, że osobiście znał patriarchę rodu, sugerował, że Benjamina i Monicę Malone łączył romans ciągnący się, z przerwami, przez wiele lat.

Jess zdecydowanie nie pochwałała niewierności, może dlatego, że sama była nieustannie zdradzana. Jednakże z zafascynowaniem czytała wszystko, co wpadło jej w ręce na temat człowieka, który - nie miała już co do tego najmniejszych wątpliwości - spłodził jej matkę.

Kiedy wpół do siódmej rano zajrzała do pokoju córki, przeraziła się: stan Annie wyraźnie się pogorszył. Dziewczynka miała czterdzieści stopni gorączki, kasłała, a jej ciałem raz po raz wstrząsał dreszcz. Jess postanowiła skorzystać z rady, jakiej wczoraj udzielił jej jasnowłosy lekarz, i zawieźć córkę na ostry dyżur do szpitala. Wołała jednak nie wzywać karetki. Biedna Annie oszalałaby ze strachu.

Opatuloną w dwa swetry i płaszcz przeciwdeszczowy córkę owinęła dodatkowo w zdjęty z łóżka koc. Sympatyczny boy hotelowy pomógł jej znieść Annie na dół, po czym wezwał taksówkę.

- Mamusiu, gdzie jedziemy? Nie zostawisz mnie, prawda? Cały czas będziesz ze mną? - dopytywała się

dziewczynka, kiedy boy posadził ją na tylnym siedzeniu taksówki.

- Oczywiście, że cię nie zostawię, kochanie - odparła uspokajającym tonem Jess. - Jedziemy do tego szpitala, o którym mówił nam wczoraj ten miły pan doktor. - Usiadłszy obok córki, zgarnęła ją w ramiona. Nie potrafiła powstrzymać łez, które płynęły jej ciurkiem po policzkach. - Potrzebne są ci leki, których ja nie mam, myszko. A także opieka doświadczonych lekarzy i pielęgniarek. Oni zrobią wszystko, żebyś jak najszybciej wyzdrowiała.

Przez całą drogę obie siedziały spięte, zdenerwowane i przerażone. Taksówka podjechała pod izbę przyjęć. Zanim Jess zdążyła wysiąść i zapłacić kierowcy, ze szpitala wybiegł sanitariusz, a tuż za nim pielęgniarka.

- Pani Holmes, prawda? - upewniła się. - Portier z Radisson Plaza zadzwonił, żeby nas uprzedzić.

Podczas gdy jedna pielęgniarka badała Annie, inna podała Jessice do wypełnienia formularz. Przyzwyczajona do widoku chorych, nie wydawała się szczególnie przejęta, dopóki przy pytaniu „Na co aktualnie choruje?” Jessica nie wpisała: białaczka. Obie pielęgniarki i lekarz, który zajmował się przywiezionym z wypadku mężczyzną, odbyli krótką naradę.

- Niech siostra wezwie doktor Todd — zdecydował lekarz, po czym zwracając się do Jess, wyjaśnił: - Doktor Todd jest pediatrą. Powinna tu jeszcze być.

Przez głośnik popłynęła prośba, aby doktor Todd jak najprędzej zgłosił się do izby przyjęć.

Jess ledwo miała czas, aby pogładzić Annie po czole

i szepnąć jej do ucha kilka uspokajających słów, kiedy drzwi się otworzyły i w sali pojawiła się ładna, długonoga brunetka w wieku trzydziestu pięciu, góra czterdziestu lat, bardzo kobieca mimo białego fartucha i zawieszzonego na szyi stetoskopu. Sprawiała wrażenie osoby rzeczowej, lecz niezwykle sympatycznej, kiedy pochylona nad Annie delikatnie badała dziewczynkę, a Jessicę zasypywała pytaniami.

Po skończonym badaniu poklepała Annie po rączce, po czym z zatroskaną miną popatrzyła na Jess.

- Chciałabym zrobić dodatkowe badania. Sprawdzić liczbę białych krwinek, granulocytów i tak dalej. A raczej chciałabym, żeby to zrobił specjalista od chorób krwi. Na szczęście doktor Hunter pracuje dziś od rana.

Jess wiedziała, co wykażą badania. Chociaż czuła się bardzo samotna w tym obcym sobie świecie, przemknęło jej przez myśl, że jeśli ma nastąpić kryzys, może lepiej, aby nastąpił w Minneapolis. Może tym energicznym, optymistycznym lekarzom amerykańskim uda się utrzymać Annie przy życiu, dopóki nie znajdzie się dawca szpiku.

- Dobrze - szepnęła.

- W porządku. Zaraz wracam.

Doktor Todd wyszła z za przepierzenia, zaciągając za sobą zasłonkę, by matka z córką mogły chwilę побыć same. Pół minuty później przez głośniki wezwano doktora Huntera.

Stephen był w szpitalu od piątej rano. Nawet nie miał czasu się ogolić; jego twarz zdradzała oznaki zmęczenia. Zjawił się po bezsennej nocy, kiedy nagle pogorszył się stan pacjentki cierpiącej na czerwienicę.

- O co chodzi, Lin? - spytał, pchając na oścież drzwi.

Lindsay Todd wyjaśniła mu pośpiesznie, co zdołała ustalić na podstawie wstępnych oględzin.

- Matce powiedziano, że mała musi mieć przeszczep szpiku.

Stephen pokiwał głową.

- Rozumiem.

Energicznym ruchem odciągnął zasłonkę, za którą leżało chore dziecko. Na jego widok Jessica otworzyła szeroko zdumione oczy.

- To pan?! - zawołała zdziwiona.

ROZDZIAŁ DRUGI

Serce zabiło mu mocniej. Nie był w stanie ukryć zdziwienia i smutku. Ostra białaczka. Psiakość! Powinien był się domyślić, że pacjentką, do której wezwała go Lindsay, okaże się gorączkująca jasnowłosa dziewczynka, która otarła sobie wczoraj kolano, kiedy wraz z matką wybrała się na spacer do miejscowego zoo. I domyśliłby się, gdyby rzucił okiem na historię choroby, którą Lin mu wręczyła, a na której niewątpliwie figurował adres w Anglii.

Zerkając pośpiesznie na arkusz, który trzymał w dłoni, wyczytał imiona matki i córki.

- Dzień dobry, Annabel... Witam ponownie, pani Holmes. - Wyciągnął rękę do Jess, a Annie pogłaskał po głowie. - Nie powiem, że się cieszę, że znów panią widzę, cieszę się natomiast, że posłuchała pani mojej rady i przywiozła córkę do nas. To jest naprawdę świetny szpital. - Widząc zaskoczenie na twarzy Lindsay Todd, uznał, że należy jej się słowo wyjaśnienia. - Spotkałem panią Holmes i małą Annabel wczoraj w ogrodzie zoologicznym.

- Rozumiem - mruknęła pod nosem jego koleżanka.

Ale z jej miny wynikało, że wcale nie rozumie, co on, dorosły zapracowany człowiek robił w miejscu, do którego inni dorośli zapracowani ludzie chodzą wtedy, gdy mają dzieci.

- Zobaczymy, młoda damo, jak się dzisiaj czujesz.
- Uśmiechając się do Annie, sięgnął po słuchawki.

Badanie, na które składało się mnóstwo pytań, delikatne uciskanie i uważna obserwacja dziecka, trwało kilka minut. Nietrudno było się Stephenowi zorientować, że Annabel jest bardzo chora. Nic dziwnego, że lekarze w Anglii zalecili przeszczep szpiku, i to jak najszybciej.

Niestety, nie wystarczyło złożyć zamówienia na szpik i czekać na dostawę. Nie była to rzecz łatwo i powszechnie dostępna. Dawców było mało, a szansa, aby szpik osoby nie spokrewnionej pasował, zdarzała się niezwykle rzadko.

Podczas szukania odpowiedniego dawcy Annabel Holmes należało poddać chemioterapii.

- Domyślałam się, że w Anglii poszukiwania nie dały pożądanego skutku?

Jess pokręciła przecząco głową.

- Nie. Dlatego przyleciałyśmy do Stanów.

Zaciekawilo go, dlaczego akurat do Minneapolis. Czy miała tu rodzinę, przyjaciół? Ale nie było czasu na zadawanie tego rodzaju pytań. Znow go wzywano przez głośnik. Prośba, aby zajrzał do pokoju pielęgniarek w zachodnim skrzydle, oznaczała jedno: że starsza pani chora na czerwienicę ponownie potrzebuje jego pomocy.

- Przepraszam, muszę pędzić na górę - zwrócił się do Jess. - Może więc szybko powiem, co uważam. Chcę, żeby zostawiła pani Annabel na oddziale. Wraz z doktor Todd zajmujemy się pani córką. Zaraz poproszę siostrę, żeby przydzieliła jej wolny pokój. I żeby dała pani do podpisania zgodę na dalsze badania: biopsję aspiracyjną,

prześwietlenie, ekg, badanie krwi, spirometrię. Skontaktuję się z panią, kiedy tylko otrzymam wyniki, dobrze? Oczywiście, natychmiast zgłosimy Annabel do amerykańskiego rejestru osób czekających na szpik. Może dopisze nam szczęście.

Jess domyśliła się, że stan Annie gwałtownie się pogarszał. I wiedziała, że jeśli nie znajdzie się dawca, Annie umrze. Dawcy zaś należało szukać wśród potomków Benjamina - to jej jedyna szansa. Czując potworny ucisk w gardle, skinęła w milczeniu głową; nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Annie, która niczym superprecyzyjny barometr wychwytywała wszelkie zmiany w nastroju matki, natychmiast wyczuła jej strach.

- Muszę tu zostać? - spytała, wlepiając oczy w wysokiego lekarza, któremu wczoraj, w zoo ufała bez zastrzeżeń. - Nie mogę wrócić z mamusią do hotelu?

- Obawiam się, maleńka, że nie. - Stephen uśmiechnął się, starając się ukryć niepokój. - Jesteś nam tu potrzebna, żebyśmy mogli cię wyleczyć.

Dziewczynka zadumała się; widocznie uznała, że wyjaśnienie, które otrzymała, brzmi sensownie, bo po chwili rozpogodziła się.

- A możesz mi dać jeszcze jeden kolorowy plaster?

Nie spytał, gdzie ją boli, po prostu z poważną miną sięgnął do kieszeni fartucha, wyjął plaster i niczym medal za dobre sprawowanie przykleił jej do rączki. Po chwili, zleciwszy wykonanie serii badań oraz podanie pacjentce kroplówki z antybiotykiem, by osłabiony organizm mógł zwalczyć przeziębienie, pożegnał się i ruszył pośpiesznie na górę.

Jess zaczęła dygotać na całym ciele.

- Proszę się nie denerwować. - Lindsay Todd położyła rękę na jej ramieniu. - Doktor Hunter to jeden z najlepszych hematologów w kraju. I wcale nie mówię tego, ponieważ jest moim przyjacielem i sąsiadem. Pani córka naprawdę będzie miała znakomitą opiekę.

W zachodniej części miasta, w przestronnej elegancją sypialni, w której sypiała samotnie Erica Fortune, rozległ się natarczywy dzwonek telefonu. Budzik na stoliku nocnym wskazywał siódmą czterdzieści rano. W swoim poprzednim wcieleniu, jako bogata, rozpieszczona, lecz coraz bardziej nieszczęśliwa żona człowieka, który przejął w firmie obowiązki swojej matki, gdy ta zginęła w katastrofie samolotu nad amazońską dżunglą, pięćdziesięciodziesięcioletnia Erica na pewno nie byłaby jeszcze na nogach.

Dzisiejsza Erica, szczupła, atrakcyjna blondynka o kilku siwych pasemkach we włosach, kobieta wiedząca, co chce w życiu osiągnąć, choć niezbyt zadowolona z tego, że mąż ją opuścił, wstawała o świcie. Popijając czarną kawę i jedząc grzanekę z cynamonem, ubierała się na zajęcia w Normandale Junior College w Bloomington, które zaczynały się o dziewiątej. Odstawiwszy filiżankę z kawą, podniosła słuchawkę.

Zdumiała się, kiedy jej rozmówca przestawił się jako porucznik J.B. Rosczak z komendy głównej w Minneapolis.

- Czy to dom państwa Fortune? - upewnił się.
Nie była pewna, co mu odpowiedzieć.

- Tak - odparła z lekkim wahaniem. - A właściwie już nie. To znaczy mąż i ja od pewnego czasu jesteśmy w separacji. A o co chodzi?

Porucznik najwyraźniej nie miał ochoty niczego z nią omawiać. Zależało mu na skontaktowaniu z Jakiem.

- Czyli jeśli dobrze rozumiem, nie zastałem pani męża?

- Nie.

- Nie orientuje się pani, gdzie mógłbym go znaleźć?

Hm, coraz bardziej wygląda na to, że Jake wpadł w jakieś tarapaty. Ubrana w rajstopy, koronkową halkę i rozpiętą jedwabną bluzkę, Erica stała na środku sypialni, nerwowo zastanawiając się, co robić. Czy uciec się do kłamstwa, odpowiedzieć, że nie wie, gdzie mąż przebywa, po czym natychmiast zadzwonić do Jake'a i uprzedzić go, że policja się nim interesuje? Mimo że wciąż troszczyła się o niego, a w pewien sposób nadal go kochała, to jednak nie chciała okłamywać policji.

- Od czasu wyprowadzki z domu mieszka nad jeziorem Travis, w rezydencji swojej zmarłej matki - rzekła.

- Już tam sprawdzaliśmy - odparł krótko detektyw.

- Gdzie jeszcze mógłby być?

Nie miała zielonego pojęcia.

- Może któreś z dzieci wie. Albo sekretarka męża. Oczywiście, sekretarka będzie w biurze dopiero w poniedziałek. Ale... czy naprawdę nie może mi pan powiedzieć, co się stało? Chociaż żyjemy w separacji, nadal jesteśmy małżeństwem.

Przez moment na drugim końcu linii panowała cisza; porucznik Rosczak przypuszczalnie podejmował decyzję, czy może wyjawić żonie Jacoba Fortune'a prawdę.

- Chcemy go przesłuchać - oznajmił wreszcie. -
W związku ze śmiercią pani Moniki Malone.

- Co takiego?! - Erica wciągnęła z sykiem powietrze. - Monica nie żyje? Umarła? Na co? - Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. - Chyba... chyba nie została zamordowana?

- Na pewno w telewizji usłyszy pani wszystkie interesujące ją szczegóły. - Z tonu porucznika jasno wynikało, że nie zamierza kontynuować rozmowy. Zanim się rozłączył, podyktował jej swój numer telefonu z prośbą, aby przekazała go Jake'owi, gdyby się do niej odezwał. - Lepiej, aby skontaktował się z nami z własnej nieprzymuszanej woli - dodał.

Implikacje zawarte w tym zdaniu były aż nadto wymowne.

Erica, całkiem oszołomiona, odłożyła słuchawkę. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Natalie, drugiej najstarszej córki z pięciorga dzieci, jakie urodziła Jake'owi. Natalie mieszkała w starej wiejskiej chałupie, którą niedawno przerobiono na nowoczesny, elegancki bliźniak, usytuowanej po przeciwnej stronie jeziora od rezydencji Bena i Kate. Natalie i Jake zawsze byli sobie wyjątkowo bliscy, a odkąd Jake wyprowadził się od żony i zamieszkał w domu swoich rodziców, Natalie często wpadała do niego z wizytą. Może wiedziała, gdzie się ojciec podziewa?

Numery do swoich dzieci miała zaprogramowane w telefonie. Przysunęła starannie pomalowany palec do właściwego przycisku, ale nagle się zawahała. Przeczesała ręką włosy. A może należało się porozumieć ze Ster-

lingiem Fosterem, długoletnim doradcą prawnym rodziny? Jeżeli Jake wpakował się w jakieś kłopoty i policja chciała go przesłuchać, Sterling najlepiej będzie wiedział, co robić.

Była sobota; w soboty Sterling nie chodził do pracy. Erica podbiegła do biurka, wyciągnęła szufladę i zaczęła szukać notesu z adresami. Po chwili otworzyła go na stronie z numerem domowym prawnika.

Sterling akurat skończył brać prysznic. Nie zdążył jeszcze przejrzeć porannych gazet. Nie zdążył nawet wypić pierwszej filiżanki kawy. Odebrał telefon po trzecim dzwonku, zły, że ktoś ma czelność dzwonić o tak wczesnej porze i niezadowolony, że musi prowadzić rozmowę owinięty w pasie ręcznikiem.

- Halo? - warknął, wycierając się, aby nie zamoczyć dywanu.

- Sterling? Tu Erica. - Starła się nie panikować, wiedząc, że to się Sterlingowi nie spodoba. - Przepraszam, że niepokoję cię w domu, zwłaszcza w sobotni poranek. Chodzi o to, że przed chwilą dzwonił do mnie detektyw Rosczak z komendy głównej. Monica Malone nie żyje i policja chce w tej sprawie przesłuchać Jake'a, ale nie może go nigdzie znaleźć. Niewykluczone, że Jake wplątał się w jakieś kłopoty.

Chociaż Sterling nie słyszał o śmierci Moniki, jego głos nie zdradzał zdziwienia.

- Na to wygląda - oznajmił sucho prawnik. - No cóż, ostatnimi czasy jakoś upodobał sobie kłopoty. Albo one upodobały sobie jego.

Jego sardoniczny ton zirytował Ericę. Była gotowa

stanać w obronie mężczyzny, z którym przeżyła wspólnie tyle lat.

- Sądzę, że masz tam jakieś dojścia czy znajomości, prawda? Więc bądź tak miły, zadzwoń na komendę i spróbuj się czegoś dowiedzieć. I na miłość boską, postaraj się również odnaleźć Jake'a. Jeśli policja chce go przesłuchać, a on się nie pojawi, ludzie pomyślą, że ma coś na sumieniu!

Rzuciwszy na podłogę ręcznik, którego już nie potrzebował, Sterling sięgnął po szlafrok.

- W porządku. Zobaczę, co da się zrobić - obiecał.
- A ty wracaj do łóżka i nie kłopotz swojej ślicznej główki. Jeśli zamierzasz upolować sobie drugiego męża, powinnaś być piękna i wypoczęta.

Erica, przewrażliwiona na punkcie rozstania z Jakiem, a także na punkcie swojego wieku - mimo że wciąż była atrakcyjną kobietą, wiek od pięćdziesiątki wżwyz zawsze uważała za przekleństwo - poczuła, jak wstępuje w nią furia.

- Przykro mi burzyć twoje złudzenia, ale wcale nie wybieram się na łowy, tylko na uczelnię. O dziewiątej mam wykład! - Cisnęła słuchawkę na widełki.

Bliska płaczu, zadzwoniła do Natalie po wsparcie psychiczne. Sterling natomiast zaczął wykręcać numer Kate, głowy rodu Fortune'ów, którą wszyscy uważali za tragicznie zmarłą w katastrofie lotniczej, a która -jak on jeden dobrze wiedział - żyła i cieszyła się doskonałym zdrowiem.

Po chwili zmienił zdanie. Zamiast dzwonić, postanowił porozmawiać z nią osobiście w jej luksusowym mieszkaniu na najwyższym piętrze świeżo wyremontowane-

go budynku LaSalle w centrum Minneapolis. Zresztą była mu winna śniadanie. Podczas jego ostatniej wizyty - omawiali sprawy związane z firmą - tak strasznie doku- czały mu wrzody, że nie był w stanie nic przełknąć. Nie- wzruszona jego cierpiętniczą miną, Kate zjadła swoją porcję naleśników, a potem, oblizując się z apetytem, spałaszowała ogromną miskę truskawek ze śmietaną.

Najpierw jednak sięgnął po gazetę. O śmierci Moniki Malone informował duży tytuł na pierwszej stronie. Nie- co mniejszym drukiem podano do wiadomości, że policja prowadzi dochodzenie zmierzające do wyjaśnienia oko- liczności śmierci dawnej gwiazdy filmowej. Niżej figu- rowało zdjęcie aktorki zrobione w czasach jej najwięk- szej popularności.

Z artykułu napisanego przez dziennikarza, który cie- szył się powszechnym szacunkiem, Sterling dowiedział się, że Monica zginęła dźgnięta, i to kilkakrotnie, ostrym narzędziem w klatkę piersiową. Miała też ranę po lewej stronie głowy, na wysokości skroni. W domu widać było ślady walki. Paru sąsiadów podobno zauważyło, że jakiś mężczyzna opuścił jej dom dosłownie kilka minut przed przybyciem służącej, która powiadomiła policję o znale- zieniu zwłok. Rysopisu mężczyzny nie podano, a przy- najmniej nie ujawniono go dziennikarzom.

Psiakrew! Sterling cisnął gazetę na podłogę. Po jakie- lichu Jake tam polazł? Czego chciał od tej wrednej baby? Nie dość, że Ben się z nią zadawał, to teraz jeszcze Jake? Wprawdzie niechętnie, ale musiał przyznać Ericie rację. Zdaje się, że najstarszy syn Kate faktycznie narobił sobie kłopotów.

Podjejrzał, że Kate wiedziała już z telewizji lub z prasy o śmierci Moniki, nie sądził jednak, aby nazwisko Jake'a wypłynęło w związku ze sprawą. Gdyby tak było, gdyby ktoś gdzieś wspomniał, że jej syn może być zamieszany w zabójstwo aktorki, Kate natychmiast by się z nim, Sterlingiem, porozumiała. Skoro nie dzwoniła, znaczyło, że nazwisko Jake'a ani razu nie padło w obecności dziennikarzy. Detektyw Rosczak zaś nie skontaktował się z nią, ponieważ nie miał pojęcia, że Kate żyje.

Innymi słowy on sam, Sterling Foster, będzie musiał ją o wszystkim poinformować. Umył zęby, ogolił się, po czym włożył białą koszulę, wiśniowy krawat, szare spodnie ze sztucznego jedwabiu oraz zapinany z przodu na guziki staromodny sweter. Kilka minut później, starannie uczesany, z nie rzucającym się w oczy zegarkiem marki Patek-Phillippe na lewym ręku, zjechał windą do podziemnego parkingu i energicznym krokiem skierował się do lśniącego lincolna.

LaSalle, dwunastopiętrowy budynek z cegły, zbudowany w latach dwudziestych w stylu, który Sterling określał gotykiem znad Missisipi, dawniej należał do Związku Młodzieży Chrześcijańskiej. Przed paroma laty poddano go gruntownej modernizacji, zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz, i przerobiono na ekskluzywny dom mieszkalny składający się z trzydziestu małych, niezwykle drogich mieszkań dla ludzi ceniących prywatność. Bez własnego klucza do windy nie sposób było wjechać na górę. Nazwiska lokatorów nie figurowały ani przy domofonie, ani przy skrzynkach na listy.

Chociaż dorastał w czasach wielkiego kryzysu, kiedy dwunastopiętrowe budynki uważane były niemal za drapacze chmur, Sterling lubił LaSalle, jego przytulność, czarno-białą mozaikę na podłodze w holu, drewniane drzwi i poręcze, różne detale w stylu art deco. Podejrzał, że te same rzeczy przypadły do gustu Kate. Od czasu swojej „śmierci” w wypadku samolotowym ze trzy lub cztery razy zmieniała miejsce zamieszkania, bojąc się wykrycia. Kilka miesięcy temu wprowadziła się do jednego z dwóch mieszkań na ostatnim piętrze LaSalle. Lepiej nie mogła trafić. Mieszkanie było cudownie urządzone, miało miękkie dywany, piękne meble, kominek, mnóstwo świetlików w suficie oraz wielkie okna, z których rozciągał się widok na zachodnie dzielnice Minneapolis.

Zaparkowawszy lincolna przy chodniku, Sterling wszedł do budynku. Rozmyślał o dziwnej serii zdarzeń, które zmusiły jego i Kate do ukrywania przed resztą rodziny prawdy, że Kate ocalała z katastrofy. Czy słusznie postąpili? A może jednak mylili się, sądząc, że tym sposobem uda im się znaleźć niedoszłego mordercę?

Na razie szczęście im nie sprzyjało. Po raz tysięczny zaczął się zastanawiać nad tożsamością człowieka, który schował się w samolocie, zanim Kate wyruszyła w samotny rejs do Ameryki Południowej w poszukiwaniu brakującego składnika do owianego tajemnicą kremu młodości, i który wyszedł z ukrycia, gdy przelatywali nad amazońską dżunglą. Setki metrów nad ziemią przyłożył Kate do skroni pistolet. Podczas szarpaniny, jaka się wywiązała, samolot zaczął pikować. Dosłownie chwilę przed tym, jak maszyna zderzyła się z ziemią i stanęła

w ogniu, Kate wyleciała przez otwarte drzwi, prosto w gęste podszycie.

Zdaniem Sterlinga napastnikiem był płatny zabójca, którego wynajął nie znany rodzinie wróg. Jego tożsamość przypuszczalnie na zawsze pozostanie zagadką. Spalone ciało, które policja brazylijska wzięła za szczątki Kate, należało właśnie do niego. Kate natomiast przeżyła katastrofę. Leżała ranna w leśnym gąszczu - miała wstrząśnienie mózgu i połamane kości - gdy odnaleźli ją mieszkańcy odległej amazońskiej wioski. Zajęli się nią troskliwie, dopóki całkiem nie wróciła do zdrowia.

Gdy już odzyskała siły na tyle, by wrócić do Minneapolis, wiedziała, że musi zmienić swój wygląd, aby nikt jej nie rozpoznał. Miała świadomość, że skoro ktoś raz chciał ją pozbawić życia, może ponowić próbę, jeśli wyjdzie na jaw, że pierwsza się nie powiodła. Sterling nigdy nie zapomni tego dnia, gdy podniósłszy telefon, usłyszał jej lekko ochrypły głos, przepojony strachem i gniewem: „To ja, Sterling. Żyję. Tylko błagam, nikomu o tym ani słowa!”

Chociaż miał klucz, nie użył go, lecz zastukał do drzwi. Robił tak, gdy nie uprzedzał Kate telefonicznie o swojej wizycie. Powitała go ubrana w czerwony jedwabny szlafrok, który podkreślał jej zgrabną, szczupłą figurę. Kasztanowe włosy poprzetykane siwizną miała upięte w kok. Trzymając w dłoni kubek aromatycznej czarnej kawy, wprowadziła gościa do salonu, gdzie stał włączony telewizor.

- Siadaj, mój drogi! - Wskazała ręką fotel. - Siadaj i słuchaj. Nigdy w to nie uwierzysz.

W telewizji podawano tę samą wiadomość, którą Jessica

Holmes wysłuchała poprzedniego wieczoru w hotelu, i o której Sterling - po telefonie od Eriki - przeczytał rano w prasie. Oczywiście z każdą mijającą godziną dziennikarze zdobywali nowe szczegóły i przeprowadzali kolejne wywiady ze znajomymi lub sąsiadami zmarłej. W przeciwieństwie do Jessiki Kate była żywo zainteresowana tematem. Dawno temu, kiedy Monica potrzebowała pracy, Kate zatrudniła ją na stanowisku rzeczniczki w Fortune Cosmetics; niewdzięcznica natychmiast wdała się w trwający, z przerwami, wiele lat romans z Benjaminem. A przynajmniej tak Kate podejrzewała. Od dłuższego zaś czasu czuła, że Monica Malone pała do niej nienawiścią.

- Monica Malone nie żyje! Została zamordowana!

Sterling przyjął od służącej filiżankę kawy i z ponurą miną wysłuchiwał sprawozdania. Jeżeli Jake ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią aktorki...

Kate nie zauważyła wyrazu zatroskania na twarzy przyjaciela.

- Powiedz, Sterling, co o tym myślisz? - spytała podczas przerwy reklamowej. Policzki miała zarumienione z podniecenia. - Wiesz, że nie jestem mściwa, prawda? Że nie skrzywdziłabym żmii, chyba że chciałaby mnie ukąsić? Ale wydaje mi się, że Monica w pewnym sensie zasłużyła na to, co ją spotkało.

Kiedy indziej może pokiwałby ze zrozumieniem głową albo uśmiechnął się smutno, ale tym razem wiedział, że musi natychmiast przejść do rzeczy.

- Obawiam się, że Jake może być w to wmieszany.

- Na miłość boską, o czym ty mówisz? - Skierowała na niego swoje niebieskie oczy.

Sterling Foster streścił jej rozmowę telefoniczną, jaką odbył z Ericą.

- Oczywiście zgaduję - rzekł. - Ale bardzo prawdopodobne, że był u niej wczoraj wieczorem i że to właśnie jego widzieli sąsiedzi kilka minut przed odkryciem zwłok. W przeciwnym wypadku dlaczego szukałaby go policja?

Kate wbiła w oparcie fotela polakerowane na czerwono paznokcie.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że Jake zabił Monicę? - spytała z oburzeniem.

- Nie bądź śmieszna, Kate.

Ze słów detektywa Rosczaka wynikało, że Jake nie nocował w rezydencji nad jeziorem Travis, do której przeniósł się po rozstaniu z żoną. W takim razie gdzie spędził noc? Czyżby się ukrywał? Kate nie wierzyła w winę najstarszego syna. Jake, którego ona знаła, nie mógłby nikogo zadźgać.

- Może policja chce z nim porozmawiać w całkiem innej sprawie.

- Na przykład w jakiej?

- Nie wiem, Sterling. Może chodzi o sprawy finansowe? Pamiętasz, jakiś czas temu sprzedał Monice akcje firmy. Pojęcia nie mam dlaczego. Przypuszczalnie zanim doszło do sprzedaży, kontaktowali się ze sobą i osobiście, i przez telefon. Może policja sprawdza wszystkie ślady, rozmawia z każdym, kto w ciągu ostatnich pięć miesięcy stykał się z Monicą?

Prawnik pokręcił głową.

- Może, choć nie sądzę - oznajmił. - Podejrzewam, że Jake wpakował się w poważne kłopoty.

Kate podejrzała to samo. Poderwawszy się z fotela, zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem.

- Niech szlag trafi tę wstrętną babę! Niech się zołza w piekle smaży! Najpierw latami uwodzi mojego Bena, a teraz jeszcze chce zniszczyć mojego pierworodnego syna!

Sterling nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego - mając taką żonę jak Kate - Ben mógł zadawać się z Monicą. Mimo że pochodziła z ubogiego domu, Kate była prawdziwą damą, wspaniałą, mądrą, pełną temperamentu kobietą. I taką pozostała do dziś.

- Co chcesz, żebym zrobił?

Chciała, aby chronił Jake'a. Żeby wstawił się za nim na komendzie. Żeby powstrzymał go przed popełnieniem jakiegoś głupstwa. Kochała syna, ale znała jego słabe strony. Jeżeli zorientuje się, że jest poszukiwany przez policję, może spanikować. Zawsze dotąd ona służyła mu radą i wsparciem, teraz jednak nie przyjdzie do niej, bo nie wie, że ona żyje. Był zbyt dumny, aby prosić o pomoc Ericę. Ale może zadzwoni do Sterlinga? Może już próbował się z nim skomunikować?

- Kochany, błagam cię, jedź do domu i czekaj na telefon od Jake'a. Może będzie chciał zasięgnąć twojej rady? Gdyby się odezwał, natychmiast daj mi znać. Dobrze?

Niezbyt zadowolony, liczył bowiem na to, że zjedzą wspólnie śniadanie, prawnik dźwignął się z fotela.

- Jak zawsze, jestem do twych usług.

- Jeżeli Jake zadzwoni, wybierzesz się z nim na policję?

- Oczywiście.

Chociaż wcale się tego nie spodziewał, uściśnęła go mocno i dopiero wtedy odprowadziła do drzwi.

Obudził się w brudnym, chylącym się ku upadkowi motelu. Poprzedniego wieczoru upił się do nieprzytomności. W ustach miał nieświeży oddech, jedzenie podchodziło mu do gardła, głowa pękała z bólu. Po chwili, czując przejmujący ból w prawym ramieniu, przypomniał sobie przerażające wydarzenia, w których uczestniczył wczorajszego wieczoru. Jęcząc pod nosem, zamknął powieki. Nie pomogło. To, przed czym uciekał i o czym pragnął zapomnieć, nie chciało zniknąć. Różne obrazy przewijały mu się przed oczami. Widział kłótnię z Monicą; widział, jak ona pędzi na niego, trzymając w garści uniesiony nóż do papieru; jak dźga go w ramię; jak on, sycząc z bólu, odpycha ją od siebie; jak ona wpada na marmurowy kominek i osuwa się na podłogę.

Jak idiota, jak ostatni kretyn, poszedł do niej do domu, żeby się z nią rozmówić. Od pewnego czasu szantażowała go; groziła, że ujawni światu, iż jego ojcem nie był Benjamin Fortune, który wszystko w życiu osiągnął dzięki swojej pracowitości, inteligencji i uporowi, lecz jakiś biedny wojak, który zginął w trakcie drugiej wojny światowej.

Właśnie na takie rewelacje czekał jego brat przyrodni Nate, który marzył o przejęciu władzy w firmie. Jake z kolei za wszelką cenę chciał zachować wiadomość o swym poczęciu w tajemnicy. Ale powinien był wiedzieć, że Monica ani nie zwróci mu akcji, które jej sprzedał, ani nie będzie trzymała języka za zębami. Tak, po-

winien był wiedzieć, że zamiast odbyć z nim rozmowę, rzuci się na niego z nożem.

Z powodu jej intryg i knowań niemal doprowadził do ruiny firmę, którą jego rodzina budowała od pół wieku, i niemal całkiem stracił szacunek do siebie. Teraz Monica nie żyła; znaleziono ją martwą na podłodze w salonie, przynajmniej tak usłyszał wczoraj wieczorem w telewizji.

Nie zabiłem jej! - powtarzał w myślach. Wiem, że nie zabiłem! Żyła, kiedy opuszczałem jej dom. Odzyskała przytomność, a wtedy pomogłem jej wstać i przejść do kanapy. Może powinienem był zostać dłużej. Może należało zadzwonić po lekarza i czekać na jego przybycie. Ale nie sprawiała wrażenia osoby potrzebującej pomocy lekarskiej. Wydierała się na mnie, przeklinała, groziła, że zaraz się ze mną porachuje, tym razem skutecznie. Odwróciłem się na pięcie i ile sił w nogach pognałem do drzwi.

W takim razie kto ją zabił?

Nie miał najmniejszego pojęcia. Nie wiedział też, czy ktokolwiek zauważył, jak opuszcza dom Moniki Malone. Szlag by to trafił! W salonie zostawił odciski palców. No i krew z rany w ramieniu - mogła skapać na podłogę. I jeszcze jedno: Monica próbowała go podrapać. Pewnie pod jej długimi czerwonymi pazurami policja znajdzie skrawki jego skóry. Psiakość, jeżeli któryś z sąsiadów go rozpoznał i doniósł policji, że Jake Fortune wyszedł z domu panny Malone mniej więcej w tym czasie, kiedy ją zabito, policja niewątpliwie będzie go szukać.

Strach podszedł mu pod gardło niczym nie strawiony posiłek. Jake zwłóknął się z łóżka i ociężałym krokiem po-

człapał do łazienki. Wciąż miał na sobie to samo ubranie, w którym przyjechał wczoraj do motelu. Na szczęście posłuchał Natalie i po powrocie od Moniki wzięął prysznic; potem włożył czysty sweter i spodnie, a podartą koszulę i zakrwawione spodnie wrzucił do kosza z brudami. Niestety, z ust mu cuchnęło alkoholem, a nie zabrał z domu pasty do zębów.

Potrząsnął głową. Biedna Natalie. Co sobie musiała pomyśleć, kiedy przeprawiła się na drugą stronę jeziora i zobaczyła rannego, pijanego ojca, który bełkocze coś niewyraźnie pod nosem? Teraz, gdy zniknął, pewnie odchodzi od zmysłów z niepokoju. Obiecał sobie, że kiedyś wynagrodzi jej ten koszmar.

Na razie musiał zastanowić się, jak wybrnąć z kłopotów, w które się wplątał. Boże, nawet nie wiedział, gdzie dokładnie się znajduje! Po usłyszeniu wiadomości o zabójstwie Moniki po prostu wszedł w samochód i ruszył przed siebie. Jechał kilka godzin, zanim w końcu, gdzieś w północnej części stanu Wisconsin, zatrzymał się na noc w jakimś ohydny, obdrapanym motelu.

Zerknąwszy na rachunek, który dostał wczoraj w recepcji, zobaczył, że spędził noc w „Porywach Serca” nad jeziorem Round w pobliżu miasta Hayward. Przyszło mu do głowy, że policji nie spodoba się jego ucieczka do drugiego stanu. Przypuszczalnie będzie potrzebował adwokata.

Chociaż wydawało mu się, że dom Moniki opuścił wieki temu, to jednak od tamtej chwili minęła niecała doba. Zadumał się. Była sobota. Mała szansa, aby w sobotę zastał Sterlinga Fostera w biurze. Skupił się, usiłując

sobie przypomnieć prywatny numer prawnika, po czym drżącą ręką sięgnął po słuchawkę.

Po wyjściu od Kate Sterling wrócił prosto do siebie. Ale zamiast siedzieć w domu i czekać na wiadomość od Jake'a, tak jak początkowo zamierzał, wybrał się do Natalie nad jezioro Travis. Córka Jake'a i Kate zadzwoniła do niego bardzo zdenerwowana; chciała mu opowiedzieć o wczorajszej wizycie swojego ojca u Moniki Malone, ale oczywiście wolała to zrobić osobiście.

W pierwszej chwili był zły, że musi wyjść z domu, kiedy Kate błagała go, aby czekał na telefon od Jake'a, lecz po wysłuchaniu Natalie uznał, że słusznie postąpił, iż do niej przyjechał. Dowiedział się o tym, że Monica szantażowała Jake'a, o kłótni, do jakiej doszło między nimi, o tym, że Monica dźgnęła Jake'a nożem w ramię, a on ją pchnął na podłogę. Ale kiedy od niej wychodził, starzejąca się gwiazda wciąż żyła; nie tylko żyła, ale gotowa była dalej się awanturować. Jeśli chodzi o sam szantaż, Jake niewiele o tym mówił. Prawdę rzekłszy, zaczął się nawet wycofywać, twierdząc, że Natalie musiała coś źle zrozumieć.

Słowa Jake'a, że Monica Malone żyła, kiedy się rozstali, pocieszyły prawnika, lecz nie rozproszyły jego obaw. Zważywszy na to, że kobieta została zamordowana, wizyta Jake'a w jej domu, ich kłótnia i szamotanina niczego dobrego nie wróżyły. Kate skłonna była przyznać mu rację, kiedy zadzwonił do niej wkrótce po jedenastej.

Ledwo odłożył słuchawkę, kiedy w pokoju rozległ się przenikliwy dźwięk telefonu. Sterling odebrał po pierwszym dzwonku.

- No nareszcie! - zawołał, kiedy na drugim końcu linii usłyszał głos Jake'a. - Do jasnej cholery, gdzie się podziewasz? Wszystkie gazety i stacje telewizyjne trąbią o zabójstwie Moniki Malone. Policja cię szuka. Zdaje się, że chcą cię przesłuchać.

Jake pożegnał się z nadzieją, że może od wczoraj policji udało się schwycić mordercę aktorki. Wyjaśnił Sterlingowi, że jest w motelu w Wisconsin.

- Ale musisz mi uwierzyć, ja jej nie zabiłem. Przyśięgam. Owszem, posprzeczaaliśmy się. Lecz Monica żyła, kiedy od niej wychodziłem. A teraz skoro policja mnie szuka, to znaczy, że sprawa jest poważna. Będę potrzebował twojej pomocy.

Sterling wyliczył, że motel, w którym Jake nocował, znajduje się jakieś dwie i pół godziny drogi od Minneapolis. Wydawało mu się nierozważne, aby Jake ruszył samotnie w drogę powrotną. Przypuszczalnie policjanci z Minneapolis uprzedzili swoich kolegów z innych miast Minnesoty oraz sąsiedniego Wisconsin, aby mieli oczy otwarte. Jeżeli Jake zostanie aresztowany, czy choćby zatrzymany w celu przesłuchania, kiedy będzie wracał do domu, nikt mu nie uwierzy, że zamierzał zgłosić się na policję i złożyć wyjaśnienia.

Najrozsądniej będzie, jeśli on, Sterling Foster, pojedzie po Jake'a, zawiadomiwszy wcześniej policję, że dziś po południu Jacob Fortune, prezes Fortune Industries, zjawi się na komendzie i z własnej nieprzymuszonej woli odpowie na wszystkie pytania.

W ten sposób jako pierwszy wysłucha relacji Jake'a, wypyta o wszystkie szczegóły i pomoże ustalić mu ofi-

cialną wersję, zanim policja weźmie go w krzyżowy ogień pytań.

Słyszając ciszę w telefonie, Jake zaczął się niecierpliwić.

- Na miłość boską, Sterling, powiedz coś. Doradź mi, co mam robić.

Wybrawszy najlepsze, jego zdaniem, rozwiązanie, Sterling oświadczył stanowczym tonem:

- Czekaj na mnie. Nie wychodź z pokoju i z nikim nie rozmawiaj. Kiedy dotrę do Hayward, zadzwonię do komendy głównej w Minneapolis i powiem, że za kilka godzin zjawimy się tam razem i chętnie odpowiesz na wszystkie pytania. W moim budynku mieszka młody chłopak, którego wezmę z sobą. Ty i ja wrócimy moim samochodem, a on odprowadzi twój.

Przerażony, że może być oskarżony o zbrodnię, której nie popełnił, Jake szybko zgodził się na wszystko, co prawnik mu zaproponował. Rozłączywszy się, Sterling wziął głęboki oddech i wykręcił numer Kate.

- Przed chwilą rozmawiałem z twoim synem - oznajmił, gdy tylko odebrała telefon. - Jest w Wisconsin. Zaraz po niego ruszam. Poradziłem mu, aby sam dobrowolnie zgłosił się na policję i poddał przesłuchaniu. Oczywiście cały czas będę mu towarzyszył.

Przez moment Kate milczała.

- Myślisz, że go aresztują? - spytała wreszcie.

Nie miał pojęcia, starał się jednak nadać swojemu głosowi optymistyczne brzmienie.

- Nie sądzę - odparł. - Rzecz jasna więcej będę wiedział, kiedy go dokładnie o wszystko wypytam.

Na drugim końcu linii usłyszał westchnienie, w którym ulga mieszała się z lękiem.

- Dziękuję, Sterling - szepnęła Kate. - Bez ciebie moja rodzina by się rozpadła. A ja... - Nie dokończyła zdania. Nagle coś sobie przypomniała. - Zadzwoń, kochany, do Eriki, dobrze? Żeby się nie martwiła. Niech ona porozumie się z dziećmi. Tylko nie podawaj jej zbyt wielu szczegółów.

Jessica dyżurowała przy łóżku chorej córki; czekając, aż z laboratorium nadejdą pierwsze wyniki, nerwowo zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby się skontaktować z rodziną Fortune'ów. Około pierwszej po południu do pokoju zajrzała pielęgniarka, żeby sprawdzić, czy Annie śpi.

- Ojej, pani tu tkwi od siódmej rano! - zawołała na widok Jess. - Nawet oka pani nie zmrzyła. I podejrzewam, że nic pani nie jadła! Tak nie można. Naprawdę nie pomoże pani córce, jeśli sama też się rozchoruje. Niech pani skoczy do bufetu. Ja popilnuję Annie, a doktor Hunter wezwie panią przez głośnik, kiedy nadejdą wyniki.

Jess wiedziała, że jeżeli wszystko dobrze pójdzie, rehabilitacja Annie potrwa wiele miesięcy. A sama faktycznie była głodna. Postanowiła skorzystać z rady pielęgniarki. Siedziała w jasno oświetlonym bufecie na pierwszym piętrze, jedząc kanapkę z tuńczykiem i pijąc filiżankę herbaty, kiedy do stolika przysiadł się doktor Stephen Hunter.

- Coś się stało? - spytała przejęta.

Była taka śliczna. Taka smutna i zdenerwowana. I jeśli się nie mylił, w całym mieście nie znała nikogo. Z trudem się powstrzymał, żeby nie zacisnąć dłoni na jej rękę.

- Nie, nic się nie stało - odparł.

- Nadeszły wyniki?

- Nie wszystkie. Ale już wiemy, że Annie ma piekielnie dużo białych krwinek oraz mnóstwo nagromadzonych we krwi patologicznych komórek niezdolnych do dalszego dojrzewania. Żeby wyzdrowieć, musi mieć zrobiony przeszczep szpiku, i to jak najszybciej. Na razie, jako środek zastępczy, dopóki nie znajdziemy dawcy, chciałbym zaproponować łagodną formę chemioterapii. Przez kilka dni Annie będzie się bardzo źle czuła, ale potem powinna nastąpić kilkumiesięczna remisja. To nam da trochę czasu.

Jess wiedziała, na czym polega białaczka, a zatem wiedziała też, że Annie nie ma innego wyboru. Niechętnie, bo każdy zabieg, po którym córka gorzej się czuła, był jak dźgnięcie nożem w serce, skinęła głową, wyrażając zgodę na proponowaną przez Huntera formę leczenia.

- Prosiłem oddziałową, żeby przesłała dane Annie do wszystkich banków tkankowych na świecie. Kilka razy z dalekiej Australii dostaliśmy pasujący szpik. Nigdy nic nie wiadomo. Tyle że trzeba uzbroić się w cierpliwość - dodał. - Czasem czekanie na odpowiedni szpik może trwać miesiącami. Skany Anula43, przerobienie pona.

- A jeśli się nie znajdzie?

- Obniżony układ odpornościowy Annie zdaje się wykluczać możliwość zrobienia przeszczepu autogennego,

kiedy to od pacjenta pobiera się jego własny szpik, który oczyszcza się, usuwając z niego komórki rakowe, a potem umieszcza z powrotem, wcześniej poddawszy chorego chemioterapii. Ale jeśli nie znajdzie się pasujący szpik od obcego dawcy, możemy spróbować autoprzeszczepu. Choć byłoby to ogromnie niebezpieczne.

Jess nic nie odpowiedziała. Zresztą w wypadku Annie lekarze w Anglii też byli zdecydowanie przeciwko pomysłowi autoprzeszczepu.

- Może mi pani zdradzić, dlaczego spośród wszystkich miejsc na świecie, wybrała pani akurat Minneapolis?
- spytał, zmieniając temat.

Postanowiła wyznać mu prawdę, mimo że jej pokrewieństwo z Fortune'ami nie zostało jeszcze udokumentowane.

- Kiedy zbadano w Anglii członków mojej rodziny, lekarzy zdziwiło, że wyniki osób najbliższej spokrewnionych z ojcem mojej mamy tak bardzo różnią się od wyników Annie. Jakiś czas później porządkowałam rzeczy na strychu. Z książki, którą mama czytała mi, kiedy byłam dzieckiem, wypadł stary list. Ku mojemu zdumieniu odkryłam, że prawdziwym ojcem mamy, czyli moim dziadkiem, nie był, jak do tej pory sądziłam, mąż babci George Simpson, lecz niejaki Benjamin Fortune.

Ze sceptycznego wyrazu twarzy Stephena Huntera widziała, że lekarz nie bardzo jej wierzy. Pewnie uważa, że mam urojenia, że zmyślam, albo gorzej, że chcę uszczknąć część ogromnego majątku Fortune'ów.

- Mam ten list przy sobie. Chętnie go panu pokażę
- zaproponowała. Chciała go przekonać, że kieruje nią

wyłącznie troska o zdrowie córki, a nie chęć wzbogacenia się.

- Może rzeczywiście rzuciłbym na niego okiem.

Bez słowa wyjęła z torebki list i wręczyła go lekarzowi.

Przez chwilę Stephen czytał w skupieniu. List wydawał się autentyczny. Hm, czyżby piękna, ciemnowłosa Angielka faktycznie była spokrewniona z Fortune'ami? Jeśli tak... Nagle ucieszył się z nowych możliwości, jakie to otwierało przed jego małą pacjentką.

- Podczas tych kilku dni, jakie minęły od mojego przyjazdu do Minneapolis, robiłam co mogłam, żeby skontaktować się z którymś z Fortune'ów - podjęła po chwili Jess. - Niestety bez powodzenia. Przypuszczalnie wszyscy z nich mają zastrzeżone numery. Udało mi się jedynie porozmawiać z sekretarką Jacoba Fortune'a, która obiecała przekazać mu ode mnie karteczkę z prośbą o telefon. Ale nie wierzę, że zadzwoni.

Zauważyła, że Stephen przygląda się jej jakoś dziwnie.

- Przypuszczam więc, że pani nie wie, iż doktor Lindsay Todd, pediatra pani córki, należy do klanu Fortune'ów?

Jess zaniemówiła z wrażenia.

- Jeśli chodzi o ścisłość, jest córką Benjamina Fortune'a - ciągnął. - Po wyjściu za mąż za Franka Todda, który również pracuje w naszym szpitalu, przez pewien czas używała podwójnego nazwiska, Fortune-Todd, ale potem zrezygnowała z panieńskiego.

Jess poczuła się tak, jakby była na środku rozhukanego morza i ktoś rzucił jej koło ratunkowe. Rumieńce zabarwiły jej policzki. Przejęta i uradowana, poderwała się na nogi.

- Boże! Kiedy doktor Todd dowie się o naszym pokrewieństwie, na pewno nie odmówi mi pomocy!

- Proszę się tak nie podniecać - poradził Stephen, również wstając od stolika. - W zeszłym roku zginęła w wypadku samolotowym Kate Fortune. Lindsay i jej rodzeństwo odziedziczyli po rodzicach ogromny majątek, który, rzecz jasna, przyciąga różnych oszustów i naciągaczy. Nie tak dawno temu pojawiła się kobieta, która podaje się za siostrę bliźniaczkę Lindsay. Twierdzi, że została porwana wkrótce po narodzinach i domaga się należytą jej części pieniędzy. Nic dziwnego, że Fortune'owie, a zwłaszcza Lindsay, dość podejrzliwie traktują pojawiających się znikąd ludzi, którzy upierają się, że są ich rodziną.

- Ale ja, ja nie chcę żadnych pieniędzy! - zaprotestowała Jess. - Ja tylko...

Ujął jej rękę w swoje dłonie.

- Spokojnie, niech się pani nie denerwuje - powiedział. - Ja pani wierzę. Proszę posłuchać. Lindsay i ja nie tylko pracujemy w jednym szpitalu, ale jesteśmy przyjaciółmi i sąsiadami. A także darzymy się zaufaniem. Może ja z nią porozmawiam? Co pani na to?

Z wdzięczności miała ochotę rzucić mu się na szyję.

- Ojej, panie doktorze! Zrobiłby pan to dla mnie?

- Oczywiście. I dla malej Annabel. No, chodźmy na górę. Chcę sprawdzić, jak ona się czuje, zanim ruszę do domu.

Błada i krucha dziewczynka, która spała przykryta szpitalnym kocem, wyglądała jak zjawa. Patrząc na swoje chore dziecko, Jess poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

- Tak bardzo się martwię - szepnęła. - Tylko ją jedną mam na świecie. Nie chcę jej stracić.

Stephen, który sam stracił syna, doskonale ją rozumiał. Niewiele się namyślając, przytulił do siebie zrozpaczoną matkę. Pragnął ją tylko pocieszyć, nic więcej, przynajmniej tak sobie tłumaczył. Po chwili fartuch na piersi miał mokry od łez.

Czuła się bezpiecznie w jego ramionach. Chciała przytulić się mocniej, zlać się z nim w jedno. Mimo strachu o Annie nagle zdała sobie sprawę, że dotyk tego mężczyzny coś w niej obudził - jakieś głęboko skrywane pragnienia, które leżały odłogiem, odkąd dowiedziała się o zdradach swojego zmarłego męża.

Trzymając ją w objęciach, Stephen milczał. Bał się poruszyć, bał się odezwać. Miał wrażenie, że ta kobieta, która tak idealnie mieści się w jego ramionach, równie idealnie mogłaby się zmieścić w jego sercu - i w jego życiu.

Po chwili zwolnił uścisk i cofnął się o krok. Bądź co bądź był lekarzem jej córki. Etyka zawodowa nie pozwalała mu mieszać spraw zawodowych z prywatnymi, wiązać się uczuciowo z pacjentką lub rodziną pacjentki.

- No, pora na mnie. Wracam do domu, żeby się prześpać. Pani radzę to samo. Odpocząć. Jutro porozmawiamy, dobrze?

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Jess usiadła w fotelu przy łóżku Annie i pograżyła się w zadumie. Doktor Stephen Hunter nie nosił na palcu obrączki. Oczywiście to o niczym nie świadczyło. Ale mogło świadczyć, pomyślała. Wtedy w zoo wydawało jej się, że jest bardzo

samotnym człowiekiem, który wie, co to smutek i cierpienie.

Miała świadomość, że tuląc się do niego, kiedy próbował ją pocieszyć, wprowadziła go w zakłopotanie. Modliła się w duchu, żeby to tylko nie zmieniło jego podejścia do Annie. I żeby pamiętał o tym, co obiecał na dole w bufecie: że porozmawia w jej imieniu z doktor Lindsay Todd.

Wróciwszy do pustego domu, w którym miał spędzić samotne popołudnie, Stephen powędrował do pokoju Davida. Otworzył pudełko z zabawkami, z którego wyjął kilku plastikowych kowbojów i Indian na koniach. Syn uwielbiał się nimi bawić.

Odejście Davida pozbawiło jego ojca chęci do życia. Przy okazji otworzyło mu też oczy na pewną nieprzyjemną prawdę, mianowicie, że podczas kryzysu emocjonalnego nie sprawdza się jako partner. On i Brenda nie wytrzymali napięcia, bólu, rozpacz; nie umieli się pocieszyć ani wesprzeć. Po śmierci syna ich małżeństwo legło w gruzach. Ale może teraz...

- O nie! Nawet nie próbuj myśleć o Jessice Holmes!
- skarcił sam siebie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sterling Foster wraz z dwudziestodwuletnim młodzieńcem, synem zaufanego sąsiada, przybył do „Porywów Serca” nad jeziorem Round tuż po trzeciej po południu. Młody człowiek został w lincolnie, prawnik zaś zastukał do drzwi pokoju Jake'a. Wystarczył mu jeden rzut oka, by poznać, w jakim stanie fizycznym i psychicznym znajduje się prezes Fortune Industries. Chociaż jako doświadczony i zaprawiony w bojach prawnik niejedno w życiu widział, to jednak wstrząsnął nim widok tego dumnego, pewnego siebie człowieka, który dziś wydawał się całkiem przytłoczony ciężarem wydarzeń.

W porządku, pomyślał. Współczucie mu nie pomoże. Pomoże dobra rada, wsparcie, rozmowa i zrozumienie.

Wziąwszy od Jake'a kluczyki do porsche, wyszedł na dwór i wręczył je swojemu pomocnikowi wraz z banknotem studolarowym i poleceniem, aby odprowadził wóz do Minneapolis.

- Zostaw go w podziemnym parkingu pod naszym domem, w miejscu dla gości. Kluczyki wrzuc do mojej skrzynki na listy. Gdyby po drodze zatrzymał cię patrol, powiedz, że na prośbę przyjaciela odprowadzasz auto do Minneapolis. Nic więcej nie wiesz. W razie jakichkolwiek kłopotów dzwoń na moją komórkę. Jasne?

Młodzieniec, którego Sterling cenił za opanowanie, przytomność umysłu i dyskrecję, skinął głową i schował pieniądze do kieszeni.

- Jak słońce, panie Foster - odparł z typową dla siebie nonszalancją.

Kiedy z piskiem opon ruszył spod motelu, Sterling wrócił do pokoju.

- No dobrze. - Starł warstwę kurzu ze starego drewnianego krzesła i usiadł naprzeciwko Jake'a. - Zaczniemy od początku. Opowiedz mi po kolei, co wydarzyło się wczorajszego wieczoru. Niczego nie pomijaj.

Wciąż odczuwając skutki alkoholu, Jake wziął się w garść i opowiedział o wizycie, którą złożył wczoraj Monice. Przyznał się też do kłótni, jaka wybuchła między nimi, kiedy wspominał, że chętnie odkupiłby od niej akcje, które sprzedał jej przed paroma miesiącami.

- Proponowałem znacznie wyższą cenę. - W jego głosie słychać było gorycz. - Odmówiła, używając języka, jakiego nie powstydziliby się najgorszy bandzior. A potem nagle rzuciła się na mnie z nożem do papieru. Dźgnęła mnie w ramię. Szamotaliśmy się. Kiedy wykręciłem jej rękę, żeby wypuściła nóż, zaczęła mnie drapać. Popchnąłem ją dopiero wtedy, kiedy ponownie chwyciła nóż i znów chciała mnie dźgnąć. Uznałem, że muszę się bronić, bo ta wariatka gotowa mnie zabić. Nie zdawałem sobie sprawy z własnej siły, bo poleciała do tyłu i rąbnęła głową o marmurowy komin, ten z dwoma amorkami po bokach. Straciła przytomność, ale na krótko. Po kilkunastu sekundach otworzyła oczy. Pomogłem jej wstać i dojść do kanapy. Ledwo usiadła, ponownie zaczęła się

pieklić. Bałem się, że znów mnie czymś zaatakuje. Nie miałem ochoty na nową szamotaninę, więc pożegnałem się i wyszedłem. Pojechałem do siebie, to znaczy nad jezioro Travis.

- Czy Monica Malone była sama w domu?

Jake przeczesał ręką włosy.

- Nie mam pojęcia - przyznał.

- A czy kogoś się spodziewała?

- Jeżeli tak, nic mi o tym nie mówiła.

Przez chwilę Sterling wpatrywał się w Jake'a w milczeniu. Jeżeli Monica go szantażowała, a tak wynikało z relacji Natalie, dobrze by było wiedzieć dlaczego. Postanowił jednak nie pytać o to Jake'a wprost.

- Co cię skłoniło, żeby w ogóle sprzedać jej akcje firmy?

Jake spodziewał się tego pytania. Prawnik nie był pierwszą osobą, która je zadawała. Inni też nie potrafili zrozumieć, co nim kierowało. Nate długo suszył mu o to głowę, podobnie jak paru innych dyrektorów. Wszystkich niepokoił fakt, iż Monica staje się coraz większym udziałowcem; mogło to mieć duży wpływ na dalsze funkcjonowanie firmy.

Nie zamierzał jednak pozwolić, by prawda kiedykolwiek ujrzała światło dzienne.

- Wiesz, rozstałem się z Ericą. Przypuszczalnie czeka nas sprawa rozwodowa, no i... potrzebowałem gotówki.

Sterling wydał pogardliwie wargi.

- Nie chrzań. Mów prawdę.

Jake jakby się skurczył.

- Czy mogę liczyć na twoją dyskrecję? - spytał. - Możesz mi obiecać, że to, co powiem, zostanie między nami?

Prawnik skinął głową.

- No dobrze. A więc kilka miesięcy temu Monica poinformowała mnie, że nie jestem synem Benjamina. Według niej moim prawdziwym ojcem był jakiś szeregowiec o nazwisku Joe Stover, który zginął podczas drugiej wojny światowej. Groziła, że to ujawni, jeżeli nie pójdę jej na rękę.

Sterling gwizdnał pod nosem. Wiedział, że tym razem Jake go nie oszukuje - świadczył o tym ból malujący się na jego twarzy. Zdawał sobie również sprawę, że gdyby informacje uzyskane przez Monicę były prawdziwe, mogłyby się zmienić układ sił w firmie. Nate, z którym Jake stale toczył boje, mogłyby przejąć kontrolę i o wszystkim decydować. Najgorsze jednak było to, że Jake miałyby doskonały powód, aby na zawsze chcieć uciszyć panią Malone.

- Uwierzyłeś jej?

Jake wbił wzrok w swoje dłonie.

- Nie. A przynajmniej nie od razu. Wiesz, to dziwne. W rubryce „ojciec” na moim akcie urodzenia figuruje Ben. Ale już jako dziecko miałem poczucie, że traktuje mnie inaczej niż moje rodzeństwo. Nie twierdzę, że mnie nie kochał, bo kochał. Ale z Lindsay, Rebeką i Nate'em łączyło go coś więcej, znacznie bliższa i głębsza więź.

Sterling od lat uważał się za przyjaciela Kate, a jednak nigdy słowem nie wspomniała mu o tym, by Jake nie był synem Bena.

- Ale skoro później uwierzyłeś, to zakładam, że wredne babsko przedstawiło ci jakieś dowody? - spytał Sterling, nie kryjąc irytacji.

- Zatrudniła prywatnego detektywa. Ten zdobył zło-

zone pod przysięgą oświadczenia od ludzi, którzy znali mamę, kiedy w wieku kilkunastu lat pracowała jako kelnerka. Według nich, zaszła w ciążę ze Stoverem, zanim jeszcze ojciec pojawił się na horyzoncie.

- Widziałeś te oświadczenia?

Jake skinął głową.

- Sprawiały wrażenie autentycznych.

- Gdzie się teraz podziewają?

- Nie wiem. Monica twierdziła, że zabezpieczyła je w swojej skrytce bankowej.

Prawnik zaklął w duchu. Przypuszczalnie oświadczenia zostaną znalezione przez policjantów prowadzących dochodzenie i przejdą na własność syna Moniki, Brandona, niespełnionego aktora, który najczęściej występował w roli gońca swej matki. Może Brandon wyrzuci je do śmieci, ale jeśli Jake będzie oskarżony o zabójstwo aktorki, wówczas oświadczenia, którymi go szantażowała, trafią do akt sprawy, a zatem i do prasy.

Musiał temu zapobiec, choćby ze względu na dobre imię Kate. Ale nie tylko; również z powodu Jake'a i reszty rodziny. Na razie jednak co innego nie dawało mu spokoju.

- Z tego, co mówiłeś, odciski twoich palców są w całym salonie. Zapewne policja znajdzie również ślady twojej krwi na podłodze, a spod paznokci Moniki wydobędzie twój naskórek. A teraz zastanów się uważnie. Czy dotykałeś noża do papieru, tego, którym cię trafiła? Być może on jest narzędziem zbrodni.

Jake siedział skupiony, wpatrując się w jakiś punkt nad ramieniem Sterlinga i usiłując odtworzyć w pamięci wszystkie szczegóły wczorajszego horroru.

- Chyba tak - odparł po chwili. - Wtedy, kiedy próbowałem go jej odebrać.

Sterling jęknął w duchu. Niewesoło to wygląda! Wprawdzie nie było świadków, którzy twierdziliby, że Jake zabił Monicę Malone, ale było mnóstwo poszlak wskazujących na jego winę. Jeżeli policja i prokurator zadowolą się Jakiem i przestaną szukać prawdziwego mordercy, niewykluczone, że na wiele lat Jake trafi do więzienia.

Wiedział, że syn Kate potrzebuje obrońcy, wysokiej klasy fachowca od prawa karnego, a najlepiej dwu- lub trzyosobowego zespołu obrońców. On sam jako specjalista od prawa handlowego nie miał odpowiednich kwalifikacji. Zamierzał służyć Jake'owi radą i pomocą, ale wyłącznie w charakterze przyjaciela. Przez moment zastanawiał się, czy już teraz nie zatrudnić obrońcy. Rozważywszy wszystkie za i przeciw, uznał, że jeszcze zdąży.

Na razie niech Jake wystąpi na komendzie jako filar społeczeństwa, uczciwy, praworządny człowiek szantażowany przez Monicę Malone. Przez kobietę, która żyła, kiedy wczoraj od niej wychodził. Niech policja zobaczy, że ma do czynienia z niewinnym człowiekiem, który zgłosił się na komendę dobrowolnie, gotów udzielić wszelkich wyjaśnień, i który dla wsparcia przyprowadził z sobą wieloletniego przyjaciela rodziny, a nie doświadczonego wygę miejscowej palestry.

No dobrze, czas na telefon, pomyślał Sterling. Zanim jednak wykręcił numer, udzielił Jake'owi kilku rad. Głównie - aby powtórzył policji swoją wersję, tak jak ją przedstawił teraz. Krótko, prosto, rzeczowo, bez upiększeń i ozdobników.

- O szantażu też mam mówić? - spytał Jake. - Jeśli wyjdzie na jaw, że nie jestem synem Bena, Nate zrobi wszystko, żeby mnie wydziedziczyć.

Szantaż. Sterlinga dręczyły wątpliwości. Może uda się ukryć knowania Moniki, dopóki policja nie znajdzie prawdziwego mordercy. Ale szansa na to była znikoma. Poza tym w domu aktorki istniało mnóstwo dowodów wskazujących na szamotaninę pomiędzy Jakiem a ofiarą. Jake musi się z tego jakoś wytłumaczyć; podać powód, dlaczego walczył z Monicą, inaczej jego wersja będzie brzmiała mało wiarygodnie.

Żałował, że w tak ważnej sprawie sam nie może zasięgnąć rady fachowca, którego jeszcze nie wynajęli. Ale trudno. Po chwili podjął decyzję i oznajmił z charakterystyczną dla siebie stanowczością:

- Tak, Jake, o szantażu też powiedz. Po pierwsze, to uprawdopodobni twoją wersję. A po drugie, sprawa i tak wyjdzie na jaw. A Nate'em się nie zajmuj. Bez względu na to, kim był twój ojciec, jesteś synem Kate. I to po niej dziedziczysz, nie po Benie.

Zamiast kontaktować się z detektywem Rosczakiem, Sterling zadzwonił do jego przełożonego. Tak się składało, że Nels Petersen, komendant policji w Minneapolis, był jego dobrym znajomym.

- Podobno twoi chłopcy chcą porozmawiać z moim klientem, Jakiem Fortune'em, szefem Fortune Industries, w sprawie morderstwa Moniki Malone - powiedział bez żadnych wstępnych powitań, gdy tylko Petersen odebrał telefon. - Wczorajszego wieczoru pan Fortune odwiedził panią Malone. Chociaż nie ma nic wspólnego z jej śmiercią,

uważa, że jego relacja o wizycie w domu pani Malone może w jakiś sposób pomóc policji w odnalezieniu sprawcy zbrodni.

Jake czekał spięty, podczas gdy Sterling stał ze słuchawką przy uchu, od czasu do czasu kiwając głową.

- W porządku - oznajmił wreszcie prawnik. - Jednakże pan Fortune przebywa teraz poza miastem. Moglibyśmy się spotkać z tobą i detektywami, którzy prowadzą dochodzenie, na przykład o wpół do ósmej w ratuszu. Liczę na twoją obecność, Nels.

Sterling miał świadomość, że przysłuchiwanie się rozmowie detektywów z osobą przez nich przesłuchiwaną, zwłaszcza w sobotni wieczór, nie należy do obowiązków komendanta policji. Ale Petersen się zgodził. Teraz należy tylko zawieźć Jake'a do Minneapolis, przypilnować, aby się wykąpał, ogolił, zjadł ciepły posiłek, i jeszcze raz omówić z nim wydarzenia poprzedniego wieczoru.

Przemknęło mu przez myśl, że czasem praca prawnika nie różni się od pracy opiekunki do dzieci.

Wieczorne spotkanie w ratuszu nie było zanadto stresujące. Oprócz Sterlinga i komendanta Petersena obecny był detektyw Rosczak oraz jego wspólnik, detektyw Harbing. Policjanci nie uciekali się do żadnych podstępów czy sztuczek; swoją pracę wykonywali uczciwie, z powagą. Jake miał wrażenie, jakby setki razy odpowiadał na te same pytania. Chociaż obydwaj detektywi byli zaskoczeni, słysząc, że Monica Malone szantażowała go, to jednak nie bardzo chyba uwierzyli w wersję zdarzeń, którą im przedstawił.

W końcu Sterling postanowił zakończyć spotkanie.

- Panowie, od czterdziestu pięciu minut wałkujecie jedno i to samo - rzekł. - Albo aresztujcie pana Fortune'a, albo pozwólcie mu wrócić do domu.

Jake popatrzył na prawnika z przerażeniem, ten jednak wiedział, że wyniki z laboratorium jeszcze nie nadeszły, a to oznaczało, że policja nie ma żadnych podstaw, aby kogokolwiek aresztować. Rosczak z Harbinem niechętnie zgodzili się z propozycją Sterlinga, aby zakończyć spotkanie. Spytali jednak, czy nazajutrz rano mogliby się ponownie spotkać z Jakiem.

- Na miłość boską, panowie! - zirytował się Sterling. - Jutro jest niedziela! W kółko na okrągło pytaliście o to samo. Ile można? Mój klient z podziwu godną cierpliwością odpowiadał na wszystkie pytania. Szczerze, bez żadnych uników, opowiedział wam o swojej wizycie u panny Malone. Jeśli chcecie go dalej wałkować, chyba możecie zaczekać do poniedziałku?

Detektywi wymienili między sobą spojrzenia.

- W porządku, a zatem do poniedziałku rano - rzekł Rosczak. Po czym spytał, czy Jake miałby coś przeciwko temu, aby stanąć w szeregu z pięcioma innymi mężczyznami i uczestniczyć w tak zwanej konfrontacji.

Jake wytrzeszczył oczy. Takie rzeczy zdarzają się na filmach; nie były udziałem szanowanych prezesów firm.

- Nie widzę ku temu najmniejszego powodu - odparł spokojnie Sterling. - Po pierwsze, mój klient nie zabił pani Malone. Po drugie, przyznał się, że wczorajszego wieczoru był u niej w domu. W tej sytuacji nie należy się dziwić, jeśli ktoś go widział, gdy opuszczał jej dom.

Podczas całego przesłuchania detektyw Harbing grał rolę „dobrego gliniarza”.

- Po prostu chcieliśmy ustalić czas, o której pan Fortune wyszedł. Nic więcej - wyjaśnił.

Po zakończonym spotkaniu Sterling podjechał do budynku, w którym wynajmował mieszkanie. Tam, w podziemnym parkingu, Jake przesiadł się do porsche, po czym dwoma samochodami ruszyli do rezydencji nad jeziorem, by omówić sprawę wynajęcia dla Jake'a dobrego obrońcy. Korzystając z tego, że przez moment jest sam - Jake poszedł do sypialni przebrać się w coś wygodniejszego - Sterling zadzwonił do Kate, by zdać jej krótką relację z wizyty w ratuszu. Kiedy Jake pojawił się w bibliotece, prawnik rozmawiał już z Ericą.

Kiedy ta usłyszała w tle głos swojego męża, natychmiast zażądała, aby Sterling poprosił go do telefonu. Jednakże nie udało się jej nic z Jake'a wyciągnąć.

- Powiedz dzieciom, że jestem niewinny - mruknął do słuchawki. - Nie mogę teraz rozmawiać, Erico. Muszę się czegoś napić. I wziąć tabletkę od bólu głowy. A poza wszystkim innym, naradzić się ze Sterlingiem.

Jess pojechała taksówką do hotelu, wzięła prysznic, przebrała się, po czym wróciła do szpitala, gdzie spędziła bezseną noc. Duży wygodny fotel, który stał koło łóżka Annie, świetnie nadawał się do siedzenia, gorzej do spania. Chociaż Annie czuła się znacznie lepiej; głównie dzięki dodanemu do kroplówki antybiotykwowi, wciąż była bardzo osłabiona. Jess z przerażeniem myślała o czekającej córkę chemioterapii.

- Jesteś całym moim światem, maleńka - szepnęła, patrząc na śpiące dziecko. - Musisz być bardzo dzielna, myszko. I musisz bardzo mocno walczyć, wtedy wyzdrowiejesz. Obiecuję ci to. Czeka cię długie, wspaniałe życie...

Około siódmej rano, kiedy Stephen zajął się sali, Annie leżała z otwartymi oczami i narzekała na wenflon w rękę. Zaskoczona obecnością Stephena w niedzielny poranek, Jess ucieszyła się, że godzinę temu przejechała szczotką po włosach i pociągnęła usta szminką.

- Boże, co pan tu robi? - spytała. - Nie ma pan ani jednego dnia wolnego?

Chwilę wcześniej Stephen przystanął w dyżurce pielęgniarek, żeby zerknąć do historii choroby swojej małej pacjentki. Nie spodziewał się jeszcze żadnych wyników badań, ale chciał zobaczyć, co figuruje w rubryce „ojciec”. W tym miejscu Jessica Holmes wpisała: „nie żyje”. Oczywiście, to o niczym nie świadczy. Mogła mieć przyjaciela lub narzeczonego. Mogła powtórnie wyjść za mąż. Jakoś jednak nie sądził, aby dzieliła z kimś życie. Gdyby tak było, czy sama zmagałaby się z chorobą córki? Czy ktoś by jej nie towarzyszył, nie służył wsparciem?

Widząc jej podkrążone oczy i wyraz strasznego zmęczenia na twarzy, pragnął wziąć ją w ramiona i pocieszyć. Z własnego doświadczenia wiedział, co biedaczka przeżywa. Znał to uczucie bezradności, kiedy patrzy się na ciężko chore dziecko.

Nagle uświadomił sobie, że nie odpowiedział na jej pytanie. Od śmierci Davida właśnie w niedzielę najtrudniej było mu wytrzymać samemu w domu. Zamiast złościć się, kiedy wzywano go w tym dniu do szpitala, odczuwał ulgę.

Ale nie mógł jej tego powiedzieć.

- Mam starszą pacjentkę, której stan mnie trochę niepokoi - odparł. Nie wdawał się w szczegóły, nie tłumaczył, że lada chwila pani Munson może umrzeć. - Pomyślałem sobie, że skoro już tu jestem, odwiedzę również Annie. - Popatrzył na dziewczynkę. - Widzę, że byłaś grzeczna i nie pozbyłaś się tej rurki, mimo że troszkę uwiera, prawda? Moim zdaniem zasłużyłaś na medal. A przynajmniej na jakąś nagrodę.

Oczy Annie rozbłysły.

- Dasz mi jeszcze jeden plaster?

Potrząsnął głową.

- Nie. Tym razem mam dla ciebie prawdziwą niespodziankę.

Zapisała z radości, kiedy wyjął z kieszeni garść należących dawniej do Davida zabawek: małego plastikowego kowboja, plastikowego Indianina i dwa koniki.

- To dla mnie? Naprawdę dla mnie? Mogę je zatrzymać?

Stephen uśmiechnął się szeroko.

- Możesz, ślicznotko.

- Ojej, kowboj i Indianin! - Annie nie posiadała się z radości. - Dziękuję!

Uśmiech również zagościł na twarzy jej matki.

- Sprawił jej pan niesamowitą frajdę.

Na Forest Road, w domu sąsiadującym z domem Stephena, Lindsay Fortune-Todd jadła śniadanie ze swym mężem Frankiem, z siedmioletnią córką Chelsea i sześciolatnim synem Carterem. Na stole stał talerz usmażo-

nych przez nią naleśników z jagodami, dzban świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego oraz zaparzona przez Franka kawa o smaku orzechów laskowych.

W ogrodzie śpiewały ptaki, a widoczne z okna jezioro migotało, jakby pokrywała je cienka brylantowa siateczka.

Ale mimo cudownej pogody i beztroski malującej się na twarzach dzieci, Lindsay nie potrafiła się odprężyć. Nic dziwnego. Najpierw zadzwoniła do niej jej młodsza siostra Rebeka, a po chwili bratowa Erica; z tego, co mówiły, wynikało, że być może Jake zostanie aresztowany i postawiony przed sądem za zabójstwo Moniki Malone.

Kiedy tak siedziała przy stole, tępo wpatrując się w dwie białe żaglówki pływające po jeziorze, Frank, wysoki, jasnowłosy internista, który podobnie jak ona pracował w Minnesota General, zacisnął rękę na jej dłoni.

- Nie denerwuj się, Lin - powiedział uspokajającym tonem. - Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Przecież oboje wiemy, że Jake jest niewinny. Prędzej czy później policja znajdzie mordercę.

Ze względu na dzieci starała się nie wpadać w panikę.

- Niekoniecznie - rzekła. - Może mając Jake'a, nie będą dalej szukać.

Ciszę, jaka zapadła, przerwał dzwonek telefonu.

- Odbiorę - powiedział Frank. - A ty zjedz coś, skoro masz jechać do szpitala.

Wstawszy od stołu, ruszył w stronę kuchni, zdejmując po drodze słuchawkę z umocowanego na ścianie aparatu. Lindsay nie słyszała poszczególnych słów Franka, ale sądząc po intonacji głosu, był zaskoczony i zirytowany.

Chwilę później wrócił do jadalni i z wyraźną niechęcią oddał żonie słuchawkę.

- Policja - wyjaśnił. - Koniecznie chcą z tobą rozmawiać, chociaż mówiłem, że nic nie wiesz o tym zabójstwie.

Lindsay popatrzyła zmieszana na telefon, po czym przystawiła słuchawkę do ucha.

- Lindsay Todd - przedstawiła się cicho.

- Dzień dobry - oznajmił męski głos. - Mówi detektyw Tom Harbing z komendy głównej w Minneapolis. Przepraszam, że pani przeszkadzam w niedzielny poranek, ale muszę zadać pani pytanie w związku z zabójstwem Moniki Malone. Słyszała pani, że pani Malone została zamordowana, prawda?

- Tak - odparła krótko.

Detektyw odchrząknął.

- Proszę mi wybaczyć, pani Todd, ale chciałbym wiedzieć, co pani robiła w piątek między dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą piętnaście?

Lindsay nawet nie próbowała ukryć zdumienia.

- Na miłość boską! - zawołała. - Chyba mnie pan nie podejrzewa?

- Tego bym nie powiedział - rzekł, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając. - Jednakże sąsiadka pani Malone, która około dziesiątej wieczorem wyszła z psem na spacer, podobno widziała w pobliżu kobietę odpowiadającą pani rysopisowi. Interesuje mnie, czy może w piątek wieczorem złożyła pani wizytę pannie Malone, podobnie jak pani brat?

Żeby się uspokoić i nie użyć słów, których nie po

winno się używać w obecności dzieci, Lindsay wzięła głęboki oddech i policzyła w myślach do pięciu.

- Żałuję, detektywie, ale muszę pana rozczarować. Na ten wieczór mam żelazne alibi. Byłam w szpitalu, gdzie najpierw zajmowałam się kilkuletnią dziewczynką, a potem noworodkiem, który walczy o życie. Przynajmniej pół tuzina pielęgniarek z oddziału pediatrii i kilka osób z personelu technicznego na pewno to potwierdzi.

Przerywając detektywowi w pół słowa, gdy zaczął jej dziękować za wyjaśnienia, pożegnała się i odłożywszy słuchawkę, przytuliła się do męża.

- Zobaczysz, kochanie, wszystko się dobrze ułoży...
- O nic nie pytał, świadom, że w obecności dzieci nie będzie chciała rozmawiać ani o morderstwie, ani o telefonie od detektywa.

- Mam nadzieję - szepnęła. - Odkąd mama umarła, dzieją się same złe rzeczy.

Po chwili wściekła, że zabójstwo Moniki Malone w jakiś dziwny sposób dotyka ich wszystkich, przeszła do biblioteki, żeby stamtąd zadzwonić do Sterlinga Fostera i opowiedzieć mu o rozmowie z Harbingiem.

Wciąż była zirytowana, kiedy godzinę później zjawiała się w szpitalu i w pokoju lekarskim niemal zderzyła się ze Stephenem. Ciekaw był, co ją tak zdenerwowało. Jeszcze nigdy nie widział jej tak wzburzonej.

- Proszę - powiedział, ustępując jej miejsce przy ekspresie z kawą.

Kiedy oboje nalali sobie po kubku aromatycznego płynu, zaproponował, aby usiedli przy jednym z okrągłych

mahoniowych stolików. Lindsay potrząsnęła niecierpliwie głową.

- Mam mnóstwo roboty...

Pewnie nie był to najlepszy moment, aby mówić jej o liście, jaki Jessica Holmes znalazła wśród rzeczy swojej matki, ale sprawa dawcy szpiku dla małej Annie była ważna; nie chciał odkładać rozmowy na później. Dziewczynka była tak chora, że liczył się każdy dzień. Gdyby ktoś z rodziny Fortune'ów mógł ofiarować dziecku swój szpik...

- Nie przesadzaj. Jest niedziela. Poza tym muszę z tobą pogadać.

Wzruszywszy ramionami, skierowała się do stołu.

- Chodzi o Annabel Holmes - powiedział, ostrożnie biorąc łyk gorącej kawy. - Z tego, co mówi jej matka, przyleciały na leczenie do Minneapolis, ponieważ okazało się, że mają tu rodzinę, o której wcześniej nie wiedziały. Pani Holmes liczy na to, że może któraś ze spokrewnionych z nią osób będzie chciała i mogła zostać dawcą szpiku dla Annie.

- To wspaniała wiadomość! - ucieszyła się Lindsay, na moment zapominając o kłopotach własnej rodziny. - Szansa znalezienia dawcy wśród ludzi ze sobą spokrewnionych jest nieporównywalnie większa niż wśród obcych.

Urwała. Coś w twarzy Stephena mówiło jej, że jeszcze nie powiedział wszystkiego.

- Nie wiem, czy nadal będziesz to uważała za wspaniałą wiadomość, kiedy usłyszysz, że chodzi o twoją rodzinę.

Kiedy detektyw Harbing spytał ją, gdzie była w wie-

czór zabójstwa Moniki Malone, Lindsay sądziła, że to już szczyt wszystkiego. A teraz... Rzadko używała wulgarnego języka, nawet w myślach rzadko przeklinała, dziś jednak, już po raz drugi od rana, z trudem tłumiła bluźnierstwa.

Jessica Holmes wydawała się taka miła! Cóż, pozory mylą. Widocznie jest ulepiona z tej samej gliny co ta wstrętna Tracey Ducet, która z pomocą swojego ohydneho narzeczonego usiłuje przekonać wszystkich, że jest jej, Lindsay, siostrą bliźniaczką i została porwana tuż po urodzeniu.

- Przykro mi, ale mam już dość oszustów, którzy powołują się na swoje rzekome pokrewieństwo i liczą na spadek po Kate - oznajmiła, podrywając się na nogi. - Jeżeli Jessicę Holmes bardziej interesują pieniądze niż zdrowie jej córki, lepiej będzie, aby przydzielono Annie innego pediatrę.

- Poczekaj. - Stephen położył rękę na jej ramieniu. - Może mam miękkie serce, może jestem naiwny, ale wierzę, że pani Holmes chodzi wyłącznie o szpik, a nie o pieniądze. Przywiozła stary list adresowany do matki jej matki, z którego wynika, że jakieś pokrewieństwo między wami może jednak istnieć. Posłuchaj, zanim podejmiesz decyzję, że to kolejna oszustka, porozmawiaj z nią, dobrze? Choćby przez wzgląd na chorą dziewczynkę.

Jess z miejsca wyczuła wrogość promieniującą z Lindsay, gdy kilka minut później lekarka weszła do pokoju, by sprawdzić ogólny stan zdrowia Annie. Domysliła się, że Stephen - doktor Hunter, poprawiła się

w duchu - powiedział jej o tym, że ona, Jessica Holmes, poszukuje wśród Fortune'ów dawcy szpiku.

Sądząc po jej minie, doktor Lindsay Fortune-Todd nie uwierzyła mu; uznała, że ma do czynienia z następną pazerną naciągaczką. Jess zaczęła się nerwowo zastanawiać, jak ją przekonać, że nie kierują nią żadne finansowe pobudki...

Właśnie zamierzała poprosić panią doktor o chwilę rozmowy na korytarzu, tak by Annie ich nie słyszała, kiedy nagle Lindsay zwróciła się do niej z identyczną propozycją: aby porozmawiały w cztery oczy. Obie, wyraźnie zdenerwowane, weszły do małego pokoiku, oddzielonego szybą od korytarza, i zamknęły za sobą drzwi.

- Przystąpmy od razu do sedna - rzekła Lindsay. - Doktor Hunter poinformował mnie, że pani zdaniem jest pani spokrewniona z moją rodziną i że przyleciała pani z córką do Minneapolis w nadziei, że ktoś z Fortune'ów może być dawcą szpiku dla Annie. Chociaż bardzo sceptycznie podchodzę do tego rodzaju spraw, miałam bowiem do czynienia z różnymi krętaczami próbującymi zagarnąć dla siebie część majątku pozostawionego przez moich rodziców, to jednak gotowa jestem rzucić okiem na list, który podobno pani przywiozła. Ale ostrzegam: jeżeli uznam, że list jest fałszywy, zamierzam przekazać leczenie pani córki innemu lekarzowi.

Jessica poczuła, jak wstępuje w nią furia. Czy ta kobieta naprawdę uważa, że mogłabym się posłużyć chorym dzieckiem, aby wyłudzać pieniądze? Z trudem pohamowała gniew. Bez słowa, bojąc się, że może zaognić sytuację, wyjęła z torebki list i podała lekarce, która - jeśli

faktycznie łączyły je więzy krwi - była przyrodnią siostrą jej matki. Czyli jej, Jessiki, ciotką.

Lindsay w milczeniu przyjęła list, rozprostowała złożoną kartkę papieru i położyła ją na stole. Ze zdumieniem rozpoznała charakter pisma swego ojca. Benjamin Fortune nie tylko był dużą indywidualnością, ale miał też niezwykle zindywidualizowane, niepowtarzalne pismo, potwornie trudne do podrobienia. Ani przez moment Lindsay nie wątpiła, że list został napisany jego ręką.

Nie sądziła też, aby Jessica Holmes ukradła go niejakiej Celii, do której był adresowany, po to, by posłużyć się nim do niecznych celów. Nie, gotowa była uwierzyć, że w razie potrzeby Jessica może przedstawić dokumenty świadczące o jej pokrewieństwie z adresatką listu.

W skupieniu przeczytała list dwukrotnie, od początku do końca. O ile się zdołała zorientować, w okresie drugiej wojny światowej Ben, podczas stacjonowania w Anglii, poznał niejaką Celię Warwick, która urodziła mu córeczkę o imieniu Lana. Chociaż poczuła wyrzuty sumienia, że jej ojciec postąpił tak nieładnie i porzucił własne dziecko, zdała sobie sprawę, że to wszystko miało miejsce dawno, dawno temu. Po wojnie Ben wrócił do Stanów, ożenił się z Kate, a po paru miesiącach urodził im się pierwszy syn, Jake.

Starając się nie myśleć o matce, która przypuszczalnie nie wiedziała o nieślubnym dziecku męża, Lindsay skoncentrowała się na treści listu. Jej ojciec błagał w nim Celię o możliwość widywania się z dzieckiem, które spłodził w trakcie pobytu w Anglii. Kilka zdań zdawało się sugerować, że wielokrotnie zwracał się z tą prośbą do Celii, lecz ona uparcie mu odmawiała.

„Twierdzisz, że tylko niepotrzebnie zranilibyśmy moją żonę i twojego męża. Nie zgadzam się, Celio. Oni nie muszą o niczym wiedzieć; nie musimy im mówić, co nas łączyło, kiedy służyłem w Anglii. Ciebie i Kate dzieli ocean wody. Szansa waszego spotkania jest zerowa. Ja od czasu do czasu przyjeżdżam do Anglii w interesach. Żona rzadko mi towarzyszy. Jeśli chodzi o twojego męża George'a, mogłabyś mnie przedstawić jako dalekiego kuzyna z Ameryki. Piszesz, że mam inne dzieci, które znają mnie jako ojca i na pewno dają mi mnóstwo radości. To prawda. Ale jako matka musisz wiedzieć, że w sercu każdego rodzica jest miejsce dla wszystkich jego dzieci”.

List nie nosił żadnej daty. Lindsay ze zdumieniem uzmysłowiła sobie, że ma przyrodną siostrę Lanę, która jest mniej więcej w wieku Jake'a. Postanowiła, że musi ją poznać. Teraz, gdy Kate nie żyje, nie powinno to stanowić problemu.

Jess spostrzegła zmianę w nastawieniu Lindsay, gdy ta podniosła wzrok znad listu. W milczeniu czekała na werdykt.

- Skoro twierdzi pani, że istnieje między nami pokrewieństwo, domyślam się, że jest pani córką Lany?

Jess potwierdziła skinieniem głowy.

- Gdzie obecnie przebywa pani matka? - indagowała dalej Lindsay. - Wciąż mieszka w Anglii?

Tym razem Jess zaprzeczyła.

- Nie. Zmarła na serce, już kilka lat temu.

- Przykro mi. Chętnie bym ją poznała - dodała po chwili lekarka.

Na jej ustach powoli zakwitł ciepły, przyjazny

uśmiech. Jess poczuła się tak, jakby po burzy z piorunami na niebie wreszcie zaświeciło słońce.

- Przepraszam, że tak na panią naskoczyłam. Nie powinienam była, zwłaszcza że widzę, jak bardzo martwi się pani o córkę. Ale... po prostu tyle się kręci wokół nas dziwnych ludzi, chcących uszczknąć dla siebie część spadku, że stałam się podejrzliwa. Ostatnio pojawiła się kobieta podająca się za moją siostrę bliźniaczkę.

Jess gotowa była wybaczyć jej wszystko.

- Pani nieufność jest całkiem zrozumiała - odparła drżącym głosem. - Na pani miejscu każdy byłby ostrożny. Czy mogę mieć nadzieję, że skontaktuje mnie pani ze swoją rodziną? Abym mogła ich prosić o przebadanie się? Gdyby udało się znaleźć dla Annie szpik...

Głos uwiązał jej w gardle, łzy popłynęły po twarzy. Ku jej zdumieniu Lindsay Todd, od której jeszcze parę minut temu wiało chłodem i wrogością, pochyliła się i serdecznie ją uściśnęła.

- Jeśli pani woli, sama z nimi porozmawiam. Zaczniemy od dorosłych, prawda? Ja oczywiście chętnie oddam krew do zbadania. Aha, dobrze by było, gdybym miała kopię tego listu...

Uśmiech rozjaśnił twarz Jess. Choć oczy miała czerwone, a łzy wisały na rzesach, wstąpiła w nią nadzieja.

- Zrobiłam kilka kopii przed wyjazdem z Anglii...

Kiedy Stephen zjrzał do Annie przed wyjściem ze szpitala, dziewczynka od ośmiu godzin nie miała podwyższonej temperatury. Wprawdzie wciąż była osłabiona, ale siedziała na łóżku i bawiła się plastikowymi figurkami, które jej rano podarował.

- Zobacz! Indianin z kowbojem toczą pojedynek - poinformowała go radośnie.

Ożywienie dziewczynki i jej gotowość do zabawy ucieszyły Stephena.

- Oby tylko nie wyrządzili sobie krzywdy - powiedział, podnosząc chudą rączkę, by zmierzyć puls.

- Na pewno nie wyrządzą. - Annie zachichotała. - To taka zabawa na niby. Jak na filmie.

Lindsay, która akurat przechodziła korytarzem i weszła na moment do pokoju, by zapewnić Stephena, że porozmawia z rodziną w sprawie szpiku dla Annie, zauważyła serdeczną więź, jaka wytworzyła się między jej przyjacielem a Jessicą. Czyżby Stephen, który od czasu rozwodu był tak nieczuły na punkcie kobiecych wdzięków, że żeńska połowa personelu określała go mianem „przystojnego sopła”, wreszcie się kimś zainteresował?

Mniej więcej godzinę po jego wyjściu Jess udała się do dyżurki pielęgniarek po szklanekę soku dla Annie. Wracając do pokoju córki, usłyszała, jak dwie siwe salowe rozmawiają o Stephenie. Zaintrygowana, na moment przystanęła, ale po chwili ruszyła dalej - było jej wstyd, że córka chce pić, a ona, zamiast szybko przynieść jej sok, bawi się w podsłuchiwanie. Później, nie potrafiąc oprzeć się pokusie, spytała jedną z nich, czy doktor Hunter jest żonaty.

- Zdaje się, że rozwiedziony - odparła z uśmiechem siwowłosa kobieta. - Ale niech się pani nie łudzi, ko-chaniutka. To beznadziejny przypadek.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W poniedziałek, wkrótce po dziesiątej rano, Jake w towarzystwie Sterlinga zjawił się na komendzie niewyspamy, ponieważ w nocy męczyły go koszmary. Wszedł do budynku zażenowany i zły, że znów ma być publicznie upokorzony. Kiedy oficer dyżurny prowadził ich do pokoju, w którym mieścił się wydział zabójstw, Jake miał wrażenie, że wszyscy, sekretarki, interesanci, inni pracownicy komendy, wytykają go palcami i obmawiają. Dla człowieka, któremu zawsze okazywano szacunek, było to wyjątkowo nieprzyjemne doświadczenie.

Tak jak w sobotę, czekali na niego detektywi Rosczak i Harbing. Podziękowawszy mu za przybycie, z kamiennymi minami zaprosili go do mieszczącego się w głębi małego pokoju przesłuchań, w którym stał obskurny, porysowany stół i cztery krzesła, każde z innej parafii. Dwa z nich miały oparcia i miękkie siedzenia. Zajęli je panowie oficerowie, wskazując gościom pozostałe dwa krzesła, proste i twarde.

Chociaż Jake nie był tego pewien, podejrzewał, że szyba z matowego szkła w ścianie naprzeciwko jest w rzeczywistości lustrem weneckim, przez które osoby będące na zewnątrz, na przykład kapitan policji czy prokurator, mogą obserwować to, co się dzieje wewnątrz.

Na myśl o tym, że za szybą stoi cichy, niewidoczny widz, który słucha pytań i notuje odpowiedzi, zrobiło mu się niedobrze.

- W porządku - oznajmił Rosczak. - Zaczniemy od początku. Proszę opowiedzieć wszystko, co pan pamięta z tego wieczoru, gdy zamordowano panią Monicę Malone.

Jake otworzył usta, zamierzając posłusznie wykonać polecenie, zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał zdecydowany sprzeciw Sterlinga.

- Nie tak szybko, panowie! Mój klient jest prezesem Fortune Industries. Ma znakomitą opinię, cieszy się zasłużonym szacunkiem. Przyszedł tu w dobrej wierze, chcąc wam pomóc w znalezieniu zabójcy, a nie po to, żebyście go od nowa przesłuchiwali i gdy tylko noga mu się powinie na jakimś nieistotnym szczególe, aresztowali za przestępstwo, którego nie popełnił. Jeżeli pan Fortune jest podejrzany, proszę mu to jasno powiedzieć, i to teraz, żeby mógł wynająć adwokata, który będzie go bronił w sądzie.

Detektywi wymienili spojrzenia.

- No, właściwie możemy uznać, że jest podejrzany - stwierdził Harbing. - Chyba że zdoła nas przekonać o swojej niewinności.

Jake poczuł, jak serce mu łomocze. Gotów był się tłumaczyć, przekonywać, ale Sterling znów nie dał mu dojść do głosu.

- Pan chyba żartuje! - rzekł podniesionym głosem.
- Wie pan równie dobrze jak ja, że zasada działa w odwrotną stronę. Każdy jest niewinny, dopóki nie udowodni

mu się winy. A niełatwo wam będzie udowodnić panu Fortune'owi jakąkolwiek winę z tej prostej przyczyny, że to nie on zabił panią Malone. Przyszliśmy tu dzisiaj, oczekując nowych pytań, takich, których panowie nie zadali w sobotę. Nie spodziewaliśmy się, że będziecie chcieli w kółko wałkować to samo. Ale skoro taki macie zamiar, to jestem zmuszony poradzić mojemu klientowi, aby odmówił składania jakichkolwiek wyjaśnień aż do chwili, kiedy będzie zeznawał pod przysięgą.

Detektywi ponownie wymienili spojrzenia. Nie odezwali się. Jake siedział, trzęsąc się ze zdenerwowania; pewien był, że za moment Harbing wykręci mu ręce na plecy, a Rosczak zakuje je w kajdany i odczyta mu jego prawa.

Tak się nie stało - przynajmniej na razie.

- Jak pan chce. - Rosczak wzruszył ramionami. - Ale ta chwila może nastąpić znacznie szybciej, niż się panu wydaje. Tymczasem zaś niech pan łaskawie poinformuje swojego klienta, aby nie opuszczał miasta bez wcześniejszego porozumienia się z nami.

Annie czuła się coraz lepiej. Po południu Lindsay wpadła powiedzieć, że z wieloma członkami rodziny zdołała się już porozumieć przez telefon. Niektórzy, jeszcze nie do końca przekonani, prosili o czas do namysłu, ale jej siostra Rebeka, bratanek Adam oraz bratanica Caroline obiecali jak najszybciej dać krew do zbadania.

- Moim zdaniem inni też się zgoda, muszą tylko się nad wszystkim spokojnie zastanowić - rzekła lekarka. - Jeśli o mnie chodzi, zaraz po obchodzie wstąpię do laboratorium.

Dzięki dobrym chęciom Lindsay Fortune, jej wsparciu i pomocy Jess uświadomiła sobie, że Annie wreszcie ma szansę na wyzdrowienie. Z trudem powstrzymała się, aby nie rzucić się lekarce na szyję i z wdzięczności jej nie wycałować. Wolała jednak nie ryzykować; nie była pewna, jak Lindsay odczytałaby ten gest. Może przeszkadzałyby jej zbyt duża poufałość?

- Pani doktor... - szepnęła wzruszona. - Aż nie wiem, jak pani dziękować.

Lindsay uśmiechnęła się promiennie.

- Nie ma o czym mówić - powiedziała. - Cieszę się, że trzy osoby się zgodziły. Trzy plus ja to cztery. Zawsze coś. A nad resztą popracujemy. Bo w sytuacji, w jakiej znajduje się Annie, liczy się każda spokrewniona osoba. Im więcej jest potencjalnych dawców, tym większa szansa znalezienia szpiku.

Jess skinęła głową. Wiedziała o tym, ale wiedziała też, że jest to bardzo żmudny i skomplikowany proces.

- A tak swoją drogą - dodała po chwili lekarka - chyba czas najwyższy, żebyśmy mówiły sobie po imieniu. Nie chcę więcej słyszeć „pani doktor”. „Ciociu” też nie. Wystarczy „Lindsay”...

Podczas gdy w szpitalu między Lindsay a Jessicą nawiązywała się nie sympatii i przyjaźni, Sterling z Jakiem siedzieli w obitej dębową boazerią bibliotecę w rezydencji Fortune'ów, rozmawiając o życiu Jake'a i kłopotach, w jakie się wplątał.

Prawnik wrócił z nim do domu nad jeziorem nie po to, aby go pocieszać, nie po to, by próbować uciszać,

gdy ten snuł katastroficzne wizje i nie po to, aby wdawać się w jakiegokolwiek dyskusje filozoficzne. Nie, Sterling chciał omówić sprawę wynajęcia obrońcy, najlepszego specjalisty od prawa karnego. Miał dla Jake'a dwie propozycje. Albo Eamon Walsh z Minneapolis, świetny fachowiec o wielkim intelekcie, człowiek opanowany, zawsze odprężony, który doskonale sobie radzi z ławą przysięgłych złożoną głównie z ludzi białych ze średnich i wyższych warstw społecznych, albo Aaron F. Silberman z St. Paul, który walczył w sądzie jak wściekły buldog, rozszarpując przeciwnika na strzępy. W pierwszej chwili ławnicy, bez względu na pochodzenie czy kolor skóry, patrzyli na niego jak na furiata, lecz szybko ich sobie zjednywał: podobało im się, że tak zażarcie broni racji niewinnie oskarżonych.

Chociaż Sterling podejrzewał, że Jake lepiej by się dogadywał z Walshem, to jednak zamierzał go namawiać na Silbermana. Bądź co bądź chodzi o to, aby prezes Fortune Industries nie trafił do więzienia za przestępstwo, którego nie popełnił, a nie o to, by miał nowego kumpla do gry w golfa.

Wiedział, że zanim dojdzie do rozmowy o konieczności wynajęcia obrońcy, najpierw będzie musiał wcielić się w rolę spowiednika i psychoterapeuty. Miał w tym duże doświadczenie; wysłuchiwał i pocieszał wszystkich Fortune'ów, odkąd przed wielu laty został doradcą prawnym Bena i Kate. Wolałyby tylko, żeby Jake odstawił butelkę whisky. Jeszcze nie było dwunastej, a on kończył już drugą szklankę. W nadchodzących dniach i tygodniach powinien zachować trzeźwość umysłu.

Jake jednak miał wszystkiego serdecznie dość. Nie chciał zastanawiać się nad wyborem adwokata ani rozmawiać o strategii obrony. Był zmęczony życiem, robieniem dobrej miny do złej gry, próbami rozwiązania kłopotów osobistych i zawodowych. Marzył o tym, by wyjechać i o wszystkim zapomnieć.

Prawdę rzekłszy, świat biznesu nigdy nie był jego żywiołem. Jako najstarszy syn Bena i Kate niemal od dziecka był przygotowywany do zarządzania rodzinną firmą. A przecież wcale tego nie chciał. Dorastając, zupełnie inaczej wyobrażał sobie swą przyszłość. Teraz było za późno na zmiany, za późno, by zacząć wszystko od nowa. Już nawet nie chodzi o ciężące na nim podejrzenie o zabójstwo. Miał pięćdziesiąt cztery lata, a kości dawno temu zostały rzucone. Jednakże w ciele dorosłego, poważnego biznesmena i ojca rodziny wciąż tkwił młody chłopak, który nie znosił tego typu odpowiedzialności, który pragnął poleniuchować, pomarzyć, nie myśleć o pieniądzach.

- Wiesz - powiedział smętnym tonem, opaloną ręką przeczesując swe ciemne, gdzieniegdzie przyprószone siwizną włosy - to by się nigdy nie stało, gdybym poszedł na medycynę. I wcale nie mówię tego pod wpływem alkoholu. Gdybym nie uległ namowom ojca, gdybym postawił na swoim...

Zdaniem Sterlinga, gdybanie nie miało sensu. Uważał, że bez względu na to, kim byłby Jake, to jednak odziedziczyłyby po rodzicach akcje firmy, czyli Monica Malone w dalszym ciągu starałaby się je od niego wyłudzić. Swoją drogą ciekaw był, skąd zdobyła informacje na temat

pochodzenia Jake'a. Ktoś musiał się wygadać, szepnąć jej słówko, które skłoniło ją do grzebania w przeszłości Kate i poszukiwania świadków. Ale kto? Tylko jedna odpowiedź przychodziła Sterlingowi do głowy: musiał to być dawny kochanek Moniki, przypuszczalnie Ben Fortune, który znał całą prawdę.

Dlaczego Jake na to nie wpadł? Mniejsza z tym.

- Dlaczego więc zgodziłeś się zostać prezesem firmy, skoro tego nie chciałeś? - spytał Sterling.

Jake wzruszył ramionami.

- Bo inaczej zostałyby nim Nate - odparł.

Pograżeni w rozmowie, nie słyszeli, kiedy w kuchni rozległ się dzwonek domofonu świadczący o tym, że ktoś czeka przy bramie. Nie zdawali sobie sprawy, że pani Laughlin, którą Jake zatrudnił po rozstaniu z żoną, wcisnęła przycisk zwalniający blokadę. Nie mieli pojęcia o wizycie policjantów, dopóki pani Laughlin nie zastukała do solidnych drzwi biblioteki.

- Tak, pani Laughlin? O co chodzi? - spytał znużonym tonem Jake.

Kobieta potraktowała to jako pozwolenie na otwarcie drzwi i wejście do biblioteki.

- Na zewnątrz czekają panowie z policji, proszę pana - oznajmiła, kościstymi palcami nerwowo międląc fartuch. - Chcą się z panem widzieć. Co mam im powiedzieć?

Jake nie potrafił wydobyć z siebie głosu; siedział nieruchomo, jakby był z kamienia.

- Niech pani poprosi ich do środka - odparł Sterling, a kiedy kobieta zamknęła za sobą drzwi, zwrócił się do

Jake'a: - Jeżeli przyszli bez nakazu, natychmiast złożymy skargę u samego komendanta.

Jake modlił się w duchu, aby tak było, ale w głębi serca wiedział, że zaraz trafi za kratki. Odkąd w jego życiu pojawiła się Monica Malone, *wszystko zaczęło* toczyć się po równi pochyłej.

- No dobra, czas wynająć najlepszego karnika - oznajmił, patrząc na Sterlinga. - Decyzję, kto to ma być, zostawiam tobie.

Po chwili gospościa wprowadziła do biblioteki Rosczarka i Harbinga. Od razu przystąpili do sedna, nawet nie czekając, aż kobieta wyjdzie.

- Jacobie Fortune, jest pan aresztowany pod zarzutem morderstwa Moniki Malone - oznajmił Harbing. Gdy to mówił, jego partner założył Jake'owi ręce na plecy i zakłuł w kajdany. - Ma pan prawo zachować milczenie. Jeżeli pan z niego zrezygnuje, wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu. Ma pan prawo do obrońcy...

Nie mogąc się im przeciwstawić, Sterling bez słowa obserwował ten ponury spektakl.

- Rozumiem, że macie nakaz aresztowania? - spytał wreszcie.

Detektyw Harbing popatrzył na niego z taką miną, jakby zamierzał zrezygnować z roli dobrego gliniarza i przyłożyć prawnikowi w zęby.

- Owszem, proszę pana. Mamy - odparł, wyjmując z kieszeni na piersi pomietą kartkę papieru.

Sterling rzucił na nią okiem; do niczego nie mógł się przyczepić. Nakaz podpisany był przez sędziego. Oczy-

wiecie, z taką ilością poszlak wskazujących na winę Jake'a sędzia zapewne nie musiał się długo wahać.

- Masz milczeć - poradził swemu klientowi. - Bez względu na to, czy cię strasza, czy się miło uśmiechają, nie wdawaj się w żadną dyskusję. Najlepiej w ogóle nie otwieraj ust. Chyba że musisz skorzystać z toalety.

Jake Fortune wytrzeszczył oczy.

- To... to ty ze mną nie idziesz? - spytał łamiącym się głosem.

Sterling pokręcił przecząco głową.

- Nie, Jake. Muszę wynająć dla ciebie obrońcę - wyjaśnił, żałując, że wcześniej tego nie zrobił. - Jeżeli uda mi się skontaktować z człowiekiem, o którym myślę, i jeżeli on zgodzi się cię reprezentować, wkrótce odzyskasz wolność.

Kiedy dwaj detektywi wyszli, zabierając ze sobą Jake'a, Sterling najpierw wykręcił numer Kate.

- Mam złe wieści, kotku - oznajmił, nieświadomie używając zdrobnienia, którym posługiwał się przed laty, kiedy był młody i beznadziejnie w Kate zakochany.

Przez kilka sekund milczała, po czym ochryplym głosem rzekła:

- Wal.

Miała w sobie niesamowitą siłę. Mimo jedwabiów i koronek, które czasem nosiła, była kobietą ze stali, niezmordowaną, twardą. Można ją było zgiać, lecz nie złamać.

- Zatrzymano Jake'a pod zarzutem zabójstwa Moniki Malone - powiedział, wdzięczny za jej opanowanie i siłę. - Właśnie w tej chwili znajduje się w drodze do are-

sztu. Uprzedziłem go, żeby nic nie mówił, dopóki nie wynajmę dla niego obrońcy.

Zaległa cisza, w której dźwięczało nie wypowiedziane na głos pytanie: Czy Jake zostanie skazany, jeśli sprawa trafi do sądu? Świadom, że spośród wszystkich swoich dzieci Kate zawsze najbardziej troszczyła się o pierworodnego i że będzie niepokieszona, gdy prawda o jego poczęciu wyjdzie na jaw, Sterling nie wiedział, co jej powiedzieć.

- O kim myślisz? - spytała w końcu.

Kiedy wymienił nazwisko Aarona Silbermana, wydawała się zadowolona.

- Widziałam go w telewizji. Niski, dość bojowy, o potarganych włosach i w okularach w drucianych oprawkach, zgadza się? Sprawia wrażenie faceta, który wie, czego chce, i potrafi osiągnąć cel.

Sterling ucieszył się, że Kate popiera jego wybór.

- Zaraz do niego zadzwonię - obiecał, obmyślając kolejne kroki. Uznał, że po rozmowie z Silbermanem następny telefon wykona do detektywa Gabriela Devereax. Niech Gabe zostawi sprawę katastrofy samolotowej, włamań oraz innych nieszczęść, jakie w ostatnim czasie nawiedziły Fortune'ów, i całą uwagę skupi na szukaniu zabójcy aktorki.

- Świetnie. Do usłyszenia później.

- Odezwę się wieczorem.

- Jeśli dasz radę, wpadnij na drinka.

Po rozmowie z Gabrielem i otrzymaniu wstępnej zgody Aarona Silbermana, Sterling wybrał się do aresztu,

żeby zobaczyć, czy biednemu Jake'owi niczego nie trzeba. Ledwo znalazł miejsce do parkowania i wysiadł ze swego lincolna, otoczył go tłum dziennikarzy, wśród których było kilku reporterów telewizyjnych.

Ze wszystkich stron posypały się pytania. Podobno aresztowano Jake'a Fortune'a w związku z zabójstwem Moniki Malone. Czy to prawda? O co jest oskarżony? Czy przyznaje się do winy?

Zdaniem Sterlinga, Rosczak z Harbingiem pewnie jeszcze nie zdążyli sporządzić raportu, więc skąd te hieny wiedzą o aresztowaniu Jake'a? Kto im dał cynk? Czyżby któryś z nadgorliwych detektywów?

- Plotka, drodzy państwo, z pewnością nie jest najlepszym źródłem informacji. Jeśli chodzi o pana Fortune'a, twierdzi on, że pani Malone żyła, kiedy się z nią rozstawał. Ja mu wierzę. Członkowie rodziny także są przekonani o jego niewinności.

Wystarczył telefon do komendanta Petersena, aby parę minut po przybyciu Sterlinga na komendę przeniesiono Jake'a ze wspólnej celi do małej celi jednoosobowej. Pół godziny później do Sterlinga i Jake'a dołączył Aaron Silberman. Na widok energicznego, wygadanego prawnika Jake wzdrygnął się z niesmakiem, ale nic nie powiedział. W sytuacji, w jakiej się znajdował, nie bardzo mógł sobie pozwolić na kręcenie nosem. Zresztą jedno wiedział ponad wszelką wątpliwość: że Sterling zna się na swojej robocie. Jeżeli wieloletni doradca prawny Fortune'ów uważa, że Aaron Silberman najlepiej nadaje się na obrońcę, to widocznie tak jest i już.

Drobiazgowe relacjonowanie wszystkiego, co się wy-

darzyło tego wieczoru, kiedy wybrał się z wizytą do Moniki Malone, sprawiało mu niemal fizyczny ból. W sobotę, gdy w obecności Sterlinga składał zeznania, jakoś nie do końca zdawał sobie sprawę z własnej głupoty. Ale teraz, gdy dwaj detektywi przywieźli go do aresztu, zakutego w kajdany...

Był przerażony. Co sobie pomyśli Erica, kiedy dowie się o jego aresztowaniu? A jego siostry? I dzieci? Czy uwierzą w zapewnienia, że nikogo nie zabił?

Kiedy każdy najdrobniejszy szczegół opisał co najmniej z pięć razy, rozłożył bezradnie ręce.

- Już nic więcej nie przychodzi mi do głowy - oznajmił znużonym tonem, po czym potarł skronie. - Przysięgam na wszystkie świętości, że nie zabiłem Moniki. Mógłbym to zrobić w obronie własnej, kiedy ona mnie zaatakowała, ale tego nie zrobiłem. Wyraźnie ją widzę, jak siedzi na kanapie i obrzuca mnie stekiem wyzwisk. Proszę mi wierzyć, jedyną osobą, która w czasie mojego pobytu na Summit Avenue została trafiona nożem, byłem ja.

Przez chwilę Aaron Silberman przyglądał mu się w milczeniu.

- Może jestem naiwny i głupi - powiedział wreszcie - a może po prostu lubię historie, których nikt przy zdrowych zmysłach by nie wymyślił. W każdym razie wierzę panu, panie Fortune. Ale... skoro pan jest niewinny, to kto ją zabił?

Jake nie miał najmniejszego pojęcia.

- Może się to panu wydać dziwne, ale ja jej prawie w ogóle nie znałem - rzekł. - Nasza znajomość zaczęła

się kilka miesięcy temu, kiedy przyszła do mnie, żeby omówić pewną, jak to ona określiła, niezwykle ważną sprawę. Tą sprawą okazała się kwestia mojego pochodzenia. Czyim jestem synem. Pokazała mi złożone pod przysięgą oświadczenia, które panu opisałem, i zagroziła, że jeżeli nie sprzedam jej po cenie sporo niższej od rynkowej znacznej części moich akcji, zniszczy mnie, ujawniając prasie i telewizji treść zdobytych przez nią dokumentów...

- Innymi słowy, nie orientuje się pan, kto ją zabił
- podsumował Silberman.

Tego wieczoru aresztowanie Jacoba Fortune'a było szeroko komentowane zarówno w programach telewizji lokalnej, jak i ogólnokrajowej. Sterling uprzedził Ericę, czego się powinna spodziewać. Po kilku nieudanych próbach dodzwonienia się do przebywającego w areszcie męża Erica wybrała się do swojej córki Natalie, aby wraz z nią obejrzeć wiadomości. Przyjechało też paru innych członków rodziny: Caroline, Adam, jego narzeczona Laura. Wszyscy byli zszokowani, wprost nie mogli uwierzyć w to, co się dzieje - wszyscy prócz Natalie, która w piątek wieczorem, gdy zabito Monicę, przeprowadziła się na drugi brzeg jeziora do rezydencji zajmowanej przez ojca. Ona jedna widziała Jake'a w zakrwawionej koszuli i słuchała jego pijackiego bełkotu o tym, co się stało na Summit Avenue.

Jednakże, podobnie jak jej rodzeństwo i matka, była głęboko przekonana o niewinności ojca.

- Trzeba do niego koniecznie zadzwonić! Niech wie,

że zawsze może na nas liczyć! - oznajmiła, kiedy spikerka przeszła do następnego tematu.

Rozmowa z ojcem nie doszła do skutku. Telefonistka w centrali podała jej numer aparatu znajdującego się w świetlicy. Natalie wykręcała ten numer przez kilka godzin, lecz ciągle otrzymywała zajęty sygnał. Zawsze dotąd nazwisko Fortune ułatwiało życie wszystkim, którzy je nosili. Teraz, kiedy naprawdę potrzebowali pomocy, nie tylko nie ułatwiało, ale wręcz stanowiło przeszkodę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jake miał wrażenie, jakby wpadł w jakiś koszmarny wir, który- ciągnął go w dół, ku ciemnej i ponurej otchłani. Uczucie to wzmogło się nazajutrz rano, gdy Silbermanowi nie udało się uzyskać zgody na zwolnienie za kaucją. Sędzia przychylił się do argumentów prokuratora, który stwierdził, że skoro Jacob Fortune uciekł z Minnesoty w wieczór, gdy popełniono morderstwo, istnieje obawa, że znów będzie próbował ucieczki. Oddalwszy prośbę obrony, sędzia walnął młotkiem w blat i oznajmił:

- Następna sprawa!

Silberman starał się pocieszyć swego klienta. Przekonywał go, że ten konkretny sędzia pochodzi z ubogiej rodziny, że wszystko, co ma, zawdzięcza własnej ciężkiej pracy, że znany jest z silnych uprzedzeń wobec bardziej uprzywilejowanych członków społeczeństwa, ale to nie on będzie przewodniczył podczas rozprawy wstępnej, która odbędzie się za dwa tygodnie. Sprawę poprowadzi inny sędzia, który na pewno zgodzi się, by Jake odpowiadał z wolnej stopy.

- Mimo oskarżenia o morderstwo, nie ma powodu trzymać pana za kratkami. Bądź co bądź sam dobrowolnie

zgłosił się pan na policję i opowiedział o swojej wizycie u pani Malone.

Jake czuł się głęboko zawstydzony i upokorzony tym, że kiedy jego dorosłe dzieci przyszły z wizytą, musiał rozmawiać z nimi przez szklaną szybę uniemożliwiającą jakikolwiek kontakt fizyczny. Zarówno kiedy były małe i pod czujnym okiem mamy lub taty bawiły się w domu, jak również później, kiedy nie pilnowane szalały na rowerach po okolicy, był dla nich bogiem. Przeszkadzało mu, że teraz jako osoby dorosłe widzą go w takim miejscu i w takim stanie: w pomiętym więziennym stroju, z podkrążonymi oczami, ślaniającego się z niewyspania, pełnego obaw o przyszłość.

Poprosił dzieci, by więcej go nie odwiedzały.

- To nie jest miejsce, w którym ktokolwiek z nas powinien przebywać - oznajmił stanowczo. - Ja nie mam wyboru, ale was nie chcę tu widzieć. Nie chcę, żeby taki obraz ojca pozostał w waszych wspomnieniach.

Ich protesty na nic się nie zdały.

- Wyjdę stąd, kiedy tylko zacznie się wstępna rozprawa - oznajmił, choć wcale nie był tego taki pewien. - Wtedy będziecie mogli odwiedzać mnie w domu nawet i pięć razy dziennie.

Niechętnie przystali na prośbę ojca, ale skoro nalegał... Wracając do celi, Jake pomyślał z ironią, że przynajmniej pod jednym względem miał szczęście. Erica nie zaszczyciła go wizytą, a zatem nie wryje się jej w pamięć obraz męża nieszczęśliwego, upodlonego, będącego na samym dnie.

Dwa tygodnie później Jake wciąż tkwił za kratkami. Mimo sprzeciwu Silbermana wstępną rozprawę odroczone na życzenie prokuratora. Tymczasem przebywająca w szpitalu Annie Holmes czuła się na tyle dobrze, że lekarze uznali, iż można ją wreszcie poddać chemioterapii.

Tego dnia Jess siedziała przy łóżku córki w specjalnym „sterylnym” pokoju, w którym Annie miała przebywać, dopóki jej szpik nie zregeneruje się. Głaskała córkę po głowie, boleśnie świadoma tego, że na skutek kuracji bidulka straci sporą część swych pięknych loków. Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Stephen Hunter. Za nim pojawiła się szczupła, rudowłosa pielęgniarka ze stojakiem do kroplówki i kilkoma plastikowymi torbami zawierającymi przezroczyste płyny.

Wybiła godzina zero, pomyślała Jess. Wstała, nie potrafiąc opanować drżenia. Jako matka pragnąca chronić swoje dziecko przed bólem i złym samopoczuciem miała ochotę zawołać, że zmieniała zdanie. Nie zgadza się na żadną chemioterapię. Nikomu nie wolno dotykać Annie! Ani podawać jej leków, po których dziewczynka będzie wymiotowała. Będzie czas na chemioterapię, kiedy znajdzie się dawca szpiku.

Stephen widział strach malujący się na twarzy Jess i doskonale rozumiał jej niepokój. Współczuł zarówno matce, jak i swej małej pacjentce, która na skutek zaordynowanej przez niego terapii przez kilka dni będzie non stop wymiotowała do stojącej obok łóżka metalowej misy.

W ciągu tych paru tygodni, jakie minęły, odkąd podarował Annie plastikowe zabawki należące kiedyś do

Davidą, ani razu nie dotknął Jessiki, nawet niechcący się o nią nie otarł. Co nie znaczy, że o tym nie marzył. Chciał wziąć ją w ramiona, przytulić, pocałować. Całym sobą pragnął czuć jej ciepłe ciało. Ale nie mógł; najpierw musiał przeanalizować własny stan ducha, zastanowić się, czy potrafi - czy ma odwagę - związać się z kobietą, której dziecko jest śmiertelnie chore. Bo jeżeli ją pokocha, a potem nie daj Boże zawiedzie...

A jeżeli stchórzy? Jeżeli będzie się bał i nie podejmie ryzyka? Co straci? Wiele...

Straci szansę na miłość, na ułożenie sobie życia ze wspaniałą kobietą, na radość i szczęście, przy którym zbledną tragedie nieuchronnie związane z zawodem lekarza. Straci możliwość słuchania wesołego śmiechu dziecka, które gramoli się na kolana, obejmuje za szyję i prosi o poczytanie bajki na dobranoc, możliwość całowania ukochanej kobiety w karczek, gdy pochylona nad kuchenką szykuje pyszne dania...

Niewątpliwie bardzo się zbliżyli w trakcie pobytu Annie w szpitalu. Już nie mówili do siebie per pan i pani, lecz po imieniu. Niemal codzienne kontakty i troska o zdrowie dziewczynki sprawiły, że nawiązała się między nimi autentyczna przyjaźń, która - był tego pewien - mogłaby się przerodzić w coś znacznie głębszego.

- Nie mamy wyjścia, Jess - powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu. - Chociaż ten rodzaj kuracji wydaje się niezwykle agresywny, to jednak przynosi dobre efekty. Nastąpi okres remisji. Annie poczuje się lepiej, a my będziemy mieli więcej czasu na szukanie dawcy.

Oczywiście miał rację. Pielęgniarka poprosiła Jess, że-

by się cofnęła od łóżka; musiała mieć swobodny dostęp do pacjentki. Jess wykonała polecenie. Wstrzymując oddech, patrzyła, jak pielęgniarka odkaża Annie rękę, po czym umieszcza w żyłę wenflon. Dziewczynka krzyknęła.

- Mamusiu! To boli!

Hamując szloch, Jess odwróciła się i wtuliła twarz w klatkę piersiową Stephena. Po chwili, uświadomiwszy sobie niestosowność własnego zachowania, popatrzyła ze współczuciem na córkę.

- Wiem, myszko - powiedziała cicho. - Ale musisz wytrzymać. Musisz być dzielną dziewczynką. Gdyby mamusia mogła, zamieniłaby się z tobą na miejsca...

Stephen znał to uczucie. Ilekroć leczył śmiertelnie chore dziecko, przed oczami stawał mu obraz własnego syna. I za każdym razem ogarniała go wściekłość i bezradność. Ale z Annie sytuacja była całkiem inna. Od czasu śmierci Davida jeszcze żadne dziecko tak mocno nie zawładnęło jego sercem. Podczas tych paru tygodni, jakie spędziła na jego oddziale, pokochał tę pełną temperamentu, złotowłosą kruszynę.

Zdawał sobie sprawę, że częściowo było to spowodowane uczuciem, jakim darzył jej matkę. Pamięć o przykrym rozstaniu z Brendą nie zapobiegła narodzinom nowego uczucia.

- Zaaplikujemy jej słabszą dawkę - oznajmił rzeczowym tonem. - Myślę, że już za kilka dni zobaczymy znaczną poprawę. Pojutrze będzie mogła normalnie przyjmować pokarm. A kiedy szpik się zregeneruje, puścimy Annie do domu. Wróci do nas dopiero na przeszczep.

Mówił tak, jakby przeszczep był sprawą przesądzoną,

a przecież, pomyślała Jess, jeszcze nie ma dawcy. Z pewnością, tak jak i ona, liczył na Fortune'ów - bo informacje, jakie dotąd otrzymali z banku tkanek, były mało zachęcające.

Wiedziała, że znalezienie odpowiedniego szpiku jest rzeczą znacznie bardziej skomplikowaną od znalezienia krwi do transfuzji. Przy transfuzji musi się zgadzać grupa krwi, lecz aby przeszczep zakończył się sukcesem, z sześciu antygenów zgodności tkankowej dawca i biorca muszą mieć przynajmniej trzy identyczne, a lepiej żeby było ich więcej.

W krwi pobranej od Lindsay zgadzały się tylko dwa antygeny z sześciu. Ale nie należało tracić nadziei. Mimo kłopotów rodzinnych Caroline, Adam i Rebeka też dali krew do zbadania. Wyniki powinny wkrótce nadejść. Lindsay zaś przekonała kolejnych członków rodziny, więc...

Na razie Jess musiała uzbroić się w cierpliwość i cieszyć na myśl o chwili, kiedy będzie mogła zabrać Annie do domu, nawet jeśli domem jest apartament w hotelu.

- Postaram się o tym pamiętać, kiedy bidulka będzie wymiotować - powiedziała szeptem do Stephena.

Wreszcie wszystko było na miejscu, igła, kroplomierz, płyny. Pielęgniarka zakończyła pracę i odsunęła się, pozwalając Jess wrócić do córki. Łamiąc zasadę zabraniającą osobom w tak zwanych „sterylnych” pokojach siedzenia na łóżku pacjenta, Jess ułożyła się koło córki i objęła ją ramieniem. Niestety, tak jak Stephen i pielęgniarka, miała na ustach specjalną maseczkę, nie mogła więc pocałować Annie w policzek.

- To boli, mamusiu - poskarżyła się dziewczynka. - Chcę wrócić do domu. Do Anglii i Herkiego. Dlaczego muszę tu leżeć z igłą w ręku?

Jess instynktownie czuła, że musi udzielić córce poważnej i wyczerpującej odpowiedzi.

- Wiem, że boli, myszko. I bardzo bym chciała ci tego zaoszczędzić. Gdybym mogła, sama odbyłabym za ciebie tę paskudną kurację. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Za kilka dni poczujesz się dużo lepiej, a za kolejne kilka będziesz mogła opuścić szpital. W tym czasie wszyscy będziemy szukać dla ciebie tego magicznego lekarstwa, o którym ci mówiłam, po którym już nigdy więcej nie będziesz słaba i zmęczona.

Annie popatrzyła na matkę ze sceptyczną miną.

- Tęsknię za Herkiem - powtórzyła. - Przy nim na pewno też bym się poczuła lepiej.

Za Herkiem? Stephen ciekaw był, któż to taki. Czy Jess darzy Herkiego taką samą sympatią co jej córka? Na razie nie miał czasu o to pytać; czekali na niego inni pacjenci.

- No, kwiatuszku, głowa do góry - rzekł do Annie, palcem w gumowej rękawicy unosząc jej brodę. - Zajrzę do ciebie za kilka godzin. I wiesz, co ci powiem? Tam, skąd przybył ten kowboj z Indianinem, jest więcej takich kowbojów i Indian. Nie zdziwiłbym się, gdyby któregoś dnia kolejni kowboje postanowili cię odwiedzić.

W miarę upływu poranka dziewczynkę ogarniały coraz większe mdłości. Podtrzymując miskę i przecierając córce twarz mokrą ściereczką, Jess martwiła się, czy Annie nie grozi odwodnienie. Tym bardziej że biedne dziecko

było tak umęczone, że nie miało ochoty nawet na pół szklanki wody. Zgodnie z obietnicą, Stephen wpadł około dwunastej, a drugi raz koło piątej po południu; niestety, za każdym razem mógł zostać dosłownie kilka minut.

Wkrótce po jego wyjściu Annie wreszcie przestała wymiotować i zasnęła. Jess, zdrętwiała od siedzenia na łóżku, wstała, przeciągnęła się i podeszła do okna, aby choć chwilę popatrzeć w niebo. Kiedy tam stała, z budynku wyłonił się Stephen ubrany w spodnie i marynarkę, bez szpitalnego fartucha, i wsiadł do srebrzystoszarego kabrioletu, w którym czekała szczupła kobieta o sięgających do ramion włosach w kolorze pszenicy. Jess poczuła lekkie ukłucie zazdrości, kiedy Stephen z kobietą uścisnęli się na powitanie. Po chwili mały sportowy samochód, zaparkowany nielegalnie przed samym wejściem do szpitala, odjechał z piskiem opon.

Miała wrażenie, jakby opuścił ją bliski przyjaciel. Hm, nie powinna była wierzyć salowej, która twierdziła, że doktor Hunter z nikim się nie spotyka. Może sam rzeczywiście nie szukał towarzystwa, co nie znaczyło, że kobiety nie zabiegały o jego względy. Zrobiło się jej głupio, kiedy przypomniała sobie, jak dziś rano wtuliła twarz w jego fartuch. Ze wstydu najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Drugi raz na pewno nie powtórzy tego błędu. Usiadłszy w fotelu przy łóżku córki, uzmysłowiła sobie, że jest mnóstwo matek samotnie wychowujących chore dzieci. Jeżeli wszystkie, widząc uprzejmość i troskę w oczach przystojnego lekarza, zaczynają darzyć go uczuciem... Oprzytomniej, Jess! - zganiła się w duchu. Nie bujaj

w obłokach. Ty i Annie jesteście same na świecie i toczycie zaciętą walkę o jej życie. Nawet jeśli tę walkę wygracie, istnieje mała szansa, aby stan liczebny waszej rodziny się powiększył. Więc nie rozpraszaaj się, nie myśl o miłości.

Przez całą drogę do pobliskiej restauracji Stephen czynił sobie wyrzuty. Po jakie лихо umówił się na kolację z dawną przyjaciółką swej byłej żony, kobietą, która niedawno się rozwiodła? Kiedy ni stąd, ni zowąd zadzwoniła do niego, żeby opowiedzieć mu o rozstaniu z mężem i poskarżyć się, jak bardzo doskwiera jej samotność, starał się ją pocieszyć. Wówczas ona spytała, czy nie dałby się zaprosić na kolację. Próbował się wykręcić, tłumaczył, jaki jest zapracowany, ale nie chciała przyjąć odmowy do wiadomości. Czy naprawdę ani jednego wieczoru nie miał wolnego?

Nastawił się psychicznie na to, że się straszliwie wynudzi. O ile pamiętał, Gloria miała kilka ulubionych tematów: wyniki turniejów golfowych, gra w brydża, ukochany pudel Muppet, zakupy oraz plotki o ludziach z kręgów towarzyskich Brendy.

Pamięć go nie myliła. Odkąd widzieli się po raz ostatni, Gloria właściwie wcale się nie zmieniła. Przez pierwszą godzinę, kiedy jedli sałatkę oraz makaron z suszonymi pomidorami, Stephen od czasu do czasu kiwał głową, uśmiechał się i od niechcienia zadawał jakieś pytanie. Podejrzewał, że Gloria ostrzy sobie na niego zęby.

Nie mógł się doczekać, kiedy kolacja dobiegnie końca. Przed powrotem do domu chciał jeszcze na moment zaj-

rzec do Jessiki i Annie. Przejmował się ich losem nie tylko jako lekarz; po prostu obie wiele dla niego znaczyły.

Po dłużej się rozmowie o niczym, po kawie, deserze i kilku wzmiankach o tym, że jutro od samego rana czeka go bardzo pracowity dzień, Gloria wreszcie oznajmiła, że pewnie powinna go odwiedzić do szpitala.

- Chyba że wolałbyś do mnie... - Speszyła się na widok zaskoczenia, jakie odmalowało się na jego twarzy.

Nastała krępująca cisza, którą Stephen przerwał, udając, że nie słyszał propozycji.

- Jesteś cudowna, naprawdę. Nie każda kobieta potrafiłaby zrozumieć, jak zajętymi ludźmi bywają lekarze.

Nieco później Gloria zatrzymała kabriolet przed wejściem do szpitala. Na pożegnanie Stephen cmoknął ją w policzek, następnie podziękował za miłe towarzystwo i wspaniałą kolację. Zanim jeszcze tylne światła samochodu zniknęły z podjazdu, energicznym krokiem maszerował ku windzie. Po wieczorze z Głorią tym bardziej tęskno mu było do Jess.

W pokoju lekarskim włożył pośpiesznie fartuch, nasunął maseczkę na usta i nos, wciągnął rękawiczki, po czym skierował się do pokoju Annie. Podczas jego dwugodzinnej nieobecności na dworze zapadł zmierzch. Jess nie zapaliła lampki; półmrok działał na nią kojąco. W świetle wpadającym przez okienko pod sufitem Stephen widział, że Annie śpi - może niezbyt głęboko, ale przynajmniej spokojnie.

Jessica, nieświadoma tego, że przez cały wieczór była porównywana z rozwiedzioną przyjaciółką Brendy, siedziała na fotelu przy łóżku córki i na zmianę to zasta-

nawiała się nad swą samotną przyszłością, to martwiła, co będzie, jeśli po przebadaniu całej rodziny okaże się, że wciąż nie ma odpowiedniego dawcy.

Na widok Stephena poderwała się na nogi.

- Jak Annie? - spytał szeptem, spoglądając na nią przyjaźnie.

Nie zamierzała dać się nabrać. Kilka godzin temu z okna czwartego piętra zaobserwowała czułą scenę powitania między Stephenem a jego przyjaciółką. To jej wystarczyło. Zrozumiała, że nie powinna liczyć na nic poza fachową opieką dla Annie. Całe szczęście, że się w porę opamiętała.

- W miarę nieźle - odparła.

Nie był pewien, czy wyobraźnia płata mu figła, czy od Jess faktycznie bije chłód. Zadał kolejne pytanie:

- A ty? Jadłaś coś?

Pokręciła głową.

- Musisz jeść, Jess. Nie możesz się głodzić. Jeżeli nie chcesz zostawiać Annie samej, chętnie zejść do bufetu i coś ci przyniosę.

Nie był jej bratem ani opiekunem. Był lekarzem jej córki, cenionym hematologiem, który miał pod opieką wielu innych pacjentów. Gdyby tak każdy z odwiedzających chciał go wysyłać do bufetu po hot doga lub inną przekąskę, kto by się zajmował chorymi?

- Dziękuję, nie trzeba - rzekła bez cienia uśmiechu.

- Jedna z pielęgniarek proponowała mi jogurt. Jeśli zgłodnieję, zajrzę do niej do dyżurki.

Tak, od Jessiki zdecydowanie wiało chłodem. Stephen był wyczulony na tym punkcie od czasu, gdy po śmierci

syna zaczęły się jego kłopoty małżeńskie. Próbował się pocieszać. Nic dziwnego, że patrzy na mnie wilkiem, myślał. Jej córka jest chora; na skutek zaordynowanej przeze mnie kuracji czuje się paskudnie. W takiej sytuacji rodzice nie zawsze zachowują się racjonalnie. To zrozumiałe, że mają pretensję do lekarza. Instynkt podpowiadał mu, że chodzi jednak o coś więcej.

Obiecawszy, że zajrzy do Annie z samego rana, pożegnał się i skierował do drzwi. Szedł do windy ze zwieszoną głową, jakby coś przeskrobał i został ukarany. A przecież podczas „randki”, na którą zaprosiła go Gloria Denham, ledwo mógł wytrzymać. Marzył o tym, aby jak najszybciej wrócić do Jess. Chciał na nią patrzeć, słuchać jej głosu, rozkoszować się jej obecnością. Prawdę mówiąc, czuł, że jest na granicy szaleństwa - że jeszcze moment, a straci głowę dla pięknej Angielki.

Ocalił go kubeł zimnej wody, jaki na niego wylała. I bardzo dobrze, pomyślał, idąc przez placyk w stronę zarezerwowanych dla lekarzy miejsc parkingowych. Wsiadł do mercedesa i ruszył w kierunku jeziora Travis, nad którym stał jego dom. Im bardziej oddalał się od szpitala, tym większy ogarniał go smutek. Wcale nie chciał rozstawać się z Jess. Za bardzo ją podziwiał, za bardzo za nią tęsknił, za bardzo jej pragnął, aby cieszyć się, że chłód, z jakim się dziś do niego odniosła, ocalił go przed zakochaniem.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Stephen zostawił samochód w garażu i wszedł do cichego, pustego domu, Erica wróciła z zajęć, na które regularnie uczęsz-

czała jako studentka miejscowej uczelni. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, bezceremonialnie rzuciła notes, skórzaną torebkę i kaszmirowy sweter na elegancki fotel stojący obok kominka w urządzonym na biało salonie i skierowała się do kuchni po dwie tabletki aspiryny i szklanekę odtłuszczonego mleka.

Próba skupienia się na wykładzie poświęconym upadkowi cesarstwa rzymskiego, a jednocześnie zamartwianie się o biednego Jake'a, skończyło się koszmarnym bólem głowy. Połknąwszy aspirynę, zaczęła pocierać palcami nasadę nosa; dopiero po chwili zauważyła mrugające czerwone światełko na aparacie telefonicznym.

Odsłuchiwała wiadomości nagrane na sekretarkę automatyczną. Pierwsza była od Jake'a, druga od Lindsay. Zwłaszcza ta pierwsza ją zdziwiła, albowiem nie tak dawno temu Jake wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby się z nim kontaktowała podczas jego pobytu w areszcie. Cofnęła taśmę do początku i ponownie odsłuchiwała wiadomość; usiłowała skoncentrować się na brzmieniu głosu, uchwycić jakieś niuanse, aluzje...

Żadnych się nie doszukała. Mamrocząc pod nosem, że szkoda, iż jej nie zastał, Jake prosił, by się odezwała. Podyktował numer telefonu, pod który może zadzwonić. Szybko zapisała go na odwrocie koperty. Przypuszczalnie był to numer do świetlicy w areszcie. Z rozmów z Caroline i Adamem wiedziała, jak trudno się tam dodzwonić.

Zdjęła buty i podreptawszy w rajstopach do sypialni, w której spała z Jakiem przed ich rozstaniem, usiadła na łóżku i wykręciła podany przez męża numer. Ku jej zdumieniu telefon odebrano po pierwszym dzwonku.

- Dobry wieczór. Chciałabym mówić z Jacobem Fortune'em. Mówi jego żona.

- Nie wiedziałem, że gość jest żonaty - zdziwił się strażnik. - Chwileczkę.

Mniej więcej po minucie, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, w słuchawce rozległ się męski głos:

- Erica?

- Tak. To ja, Jake.

Zalała go fala wspomnień - wspomnień, przed którymi się bronił i o których chciał zapomnieć. Różne obrazy przesuwały mu się przed oczami: wspaniałej, długonogiej modelki, która z niewiadomych mu powodów wolała jego od innych swoich adoratorów; pięknej młodej mamy karmiącej piersią Adama; nagiej, ponętnej kochanki, którą trzymał w ramionach.

To był błąd, uświadomił sobie, zżerany tęsknotą. Nie powinien był do niej dzwonić.

- Ja... po prostu chciałem się dowiedzieć, co u ciebie słychać. I u dzieci. Pewnie ci mówiły, że zabroniłem im tu przychodzić?

Co mu szkodziło powiedzieć, że ją kocha, nawet jeśli nie był tego stuprocentowo pewien? Że potrzebuje jej pomocy i wsparcia w tych trudnych dla siebie chwilach? Na to liczyła. I chociaż wiedziała, że nie usłyszy tych słów, mimo wszystko poczuła się zawiedziona.

- U mnie w porządku - odparła neutralnym tonem. - Chodzę na wykłady. U dzieci też bez zmian. Mówiły mi o twojej decyzji. Uważam, że nie masz racji.

Jake przygarbił ramiona. Ledwo wymienili dwa zdania, a już byli po przeciwnych stronach barykady.

- Uznałem, że tak będzie lepiej - oświadczył. - Nie chcę, żeby w ich pamięci pozostał obraz ojca za kratkami.

Chcesz czy nie, to i tak pozostanie, odpowiedziała mu w duchu Erica. Ale jakie to ma znaczenie? One cię kochają, podobnie jak ja. Pragną ci pomóc, a ty je odpychasz.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Jake? - spytała.

Możesz mnie przytulić, odparł w myślach. Możesz zapomnieć o tych bzdurach, jakie gadałem, i powiedzieć, że mi wybaczasz.

Nie potrafił ubrać swojej prośby w słowa.

- Zapewnij dzieci o mojej niewinności.

Już to uczyniłam, Jake. Na głos jednak powiedziała:

- Oczywiście, Jake. Ale o to się nie martw. Dzieci od początku wierzą, że nikogo nie zabiłeś. Każdy, kto cię zna, wie, że nie byłbyś w stanie dokonać czegoś tak potwornego.

Zrozumiał, że w ten lekko zawołowany sposób daje mu znać, że ona również wierzy w jego niewinność.

- Dziękuję, Erico. Słuchaj, muszę kończyć. Świetlica jest już nieczynna. Strażnik poszedł mi na rękę, pozwalając chwilę z tobą porozmawiać.

Nie wspomniał, kiedy znów się do niej odezwie.

- No dobrze. Trzymaj się, Jake.

- Ty też, maleńka. Dobranoc - powiedział i szybko się rozłączył.

Miała wrażenie, że się przesłyszała.

Od jakiegoś czasu coraz bardziej się od siebie oddalali, aż wreszcie uznali, że separacja jest najlepszym wyj-

ściem. Erica jednak tęskniła za ich dawną bliskością. O ileż łatwiej byłoby teraz Jake'owi, pomyślała. Ale on najwyraźniej nie podzielał jej zdania. Postanowiwszy, że z Lindsay porozumie się rano, zdjęła biżuterię, potem bluzkę i spódnicę. Wyciągnęła się na łóżku w halce i rajstopach; po chwili kosztowna narzuta z morzy była mokra od łez.

Nazajutrz rano biedną Annie znów wstrząsały mdłości. Narzekając, że od tego chce jej się wymiotować, odmawiała przyjęcia nawet łyka wody. Żeby się nie odwodniła i żeby poziom elektrolitów we krwi był wyrównany, Stephen zarządził, aby do kroplówki dołączono kolejną porcję płynów. Kiedy kwadrans po trzeciej zajrzał sprawdzić, jak się Annie czuje, Jess była na skraju wyczerpania nerwowego.

- Boże, nie wiem, co robić - szepnęła. - To moje dziecko! Nie mogę patrzeć, jak cierpi.

On zaś nie mógł patrzeć na jej cierpienie. Może wczoraj wydawała mu się chłodna, wrogo nastawiona, trudno jednak było się jej dziwić. Przebywając non stop z tak bardzo chorym dzieckiem, miała prawo do huśtawki nastrojów.

Nie zastanawiając się, czym to może się skończyć, wziął ją w ramiona i mocno do siebie przytulił.

- Będzie dobrze, Jess. Zobaczysz, najgorsze wkrótce minie - szepnął przez maskę, którą włożył na użytek pacjentki. - Tylko patrzeć, jak Annie będzie jadła watę na patyku, grała w klasy, rozkopywała nogą stopy jesiennych liści. Myślę, że remisja na pewno potrwa do zimy

i dopiero wtedy przyjmie ją z powrotem do szpitala, żeby zrobić przeszczep.

Zaskoczona zarówno przyjaznym gestem, jak i pewnością w głosie Stephena, że dojdzie do przeszczepu, na moment uspokoiła się - uwierzyła, że będzie tak, jak obiecywał. Obraz atrakcyjnej blondynki w małym sportowym wozie powoli zaczął się zamazywać. Znikł doktor Hunter, wybitny specjalista, a na jego miejscu pojawił się Stephen, sympatyczny człowiek, który pomógł im w zoo i w którym chyba się zakochała.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym nie spotkała cię w ogrodzie zoologicznym i gdybyś nie kazał mi tu przywieźć Annie - przyznała. - Niemal mam wrażenie, jakby tamto spotkanie było nam pisane...

Gdyby ich ust nie zakrywały maski, pocałowałyby Jessicę. Pragnął tego z głębi serca, bardziej niż czegokolwiek od czasu, gdy pogrążył się w żałobie po śmierci Davida.

- Och, Jess - westchnął bezradnie.

W tym momencie do pokoju weszła Lindsay. Oczywiście udała, że nic nie widzi i niczego się nie domyśla, choć Stephen z Jess odskoczyli od siebie, jakby przyłapała ich na gorącym uczynku. Pochylając się nad Annie, Lindsay uśmiechnęła się w duchu. Nie mogła się doczekać, aby opowiedzieć o wszystkim mężowi. Ich najbliższy sąsiad i przyjaciel znów nabrał ochoty do życia! Teraz trzeba tylko uratować tę słodką kruszynę.

Pod koniec tygodnia Annie czuła się o wiele lepiej, niż można się było spodziewać. Jess wiedziała, że musi

minąć trochę czasu, zanim szpik zregeneruje się po chemioterapii, ale przynajmniej mogła liczyć na to, że wkrótce córka opuści szpital. Rzecz jasna, będzie musiała regularnie przychodzić na wizyty kontrolne zarówno do Lindsay, jak i do Stephena, ale co innego półgodzinna wizyta, a co innego kilkudniowy pobyt w szpitalu.

Niestety, wciąż nie było odpowiedniego dawcy. Z laboratorium nadeszły wyniki badań krwi Rebeki, Caroline i Adama, ale nie pasowały nawet trzy antygeny - wymagane minimum. Nadeszła też negatywna odpowiedź z banku tkanek w Australii. Jeżeli nie znajdzie się dawca, prędzej czy później Annie znów zachoruje. Będzie musiała stale być poddawana chemioterapii. Z czasem kuracja będzie przynosiła coraz gorsze efekty...

Największe nadzieje Jessica pokładała w pozostałych członkach rodziny. Kilka następnych osób zgodziło się poddać badaniu, między innymi córka Jake'a i Eriki, Allie, modelka i aktorka, która mieszkała w południowej Kalifornii, oraz jej siostra bliźniaczka Rocky, która w Clear Springs w stanie Wyoming prowadziła jakąś własną firmę. Obie obiecały udać się do szpitala w swoim miejscu zamieszkania i prosić o przesłanie wyników do laboratorium szpitala w Minnesocie.

Ponieważ liczyła się każda osoba - im więcej ich było, tym większa była szansa na znalezienie dawcy - Jess ucieszyła się, gdy któregoś dnia, całkiem nieoczekiwanie, w pokoju Annie pojawiła się Natalie, kolejna córka Eriki i Jake'a, która niedawno wyszła za mąż.

- Cześć. Jestem Natalie Dalton, siostrzenica Lindsay Todd - przedstawiła się. - A wy to Jessica i Annie, pra-

wda? Podobno jesteście spokrewnione? Wiem, że przed przylotem do Stanów dzwoniłaś do mnie, Jessico, i strasznie cię przepraszam, że nie oddzwoniłam, ale... Po prostu tak wiele się działo w moim życiu, że zupełnie o tym zapomniałam. Niedawno wyszłam za mąż i zostałam macochą ośmioletniego chłopca, więc sama rozumiesz...

Ponad maską zakrywającą usta i nos Jess ujrzała lśniące wesołość oczu. Kilka tygodni temu zauważyła w miejscowej gazecie zawiadomienie o ślubie Natalie z architektem Erikiem Daltonem; ponieważ zbiegło się to w czasie z aresztowaniem Jake'a, Jess domyśliła się, że uroczystość miała charakter bardzo kameralny.

- Gratuluję - rzekła. - To miło, kiedy ludzie odnajdują swoją drugą połowę. I cieszę się, że wreszcie mam okazję cię poznać.

Natalie usiadła w fotelu i patrząc na swą ciemnowłosą kuzynkę z Anglii, która stała wsparta o parapet, wyjaśniła, że przed wyjściem ze szpitala zamierza wstąpić do laboratorium i dać do zbadania krew.

- Lindsay mówiła, jakie to ważne. Byłabym zachwycona, gdyby okazało się, że to ja mogę zostać dawcą dla twojej córeczki. - Uśmiechnęła się. - Poza tym mam coś, co cię może zainteresować.

Grzebiąc w wielkiej skórzanej torbie, po chwili wydobyla plik listów, pożółkłych ze starości i trochę stęchłych, jakby leżały w wilgotnym pomieszczeniu.

- Są to listy od twojej babki do mojego dziadka. - Wręczyła je Jessice. - Mój pasierb wyciągnął je spod jakiejś luźnej kładki na naszej przystani. Jeżeli list, który pokazałaś Lindsay, nie przekonał wszystkich o naszym

pokrewieństwie, myślę, że po lekturze tych nikt nie powinien mieć żadnych wątpliwości.

Dowiedziawszy się o listach przyniesionych przez Natalie, Lindsay zaproponowała, że skontaktuje się ze Sterlingiem na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś kłopoty natury prawnej.

Sterling Foster słyszał o Jessice i jej chorej córce od innych Fortune'ów. Prawdę mówiąc, był dość sceptycznie nastawiony do ludzi powołujących się na swoje pokrewieństwo z tą bogatą rodziną. O ile wiedział, Jessica Holmes twierdziła, że jest wnuczką Benjamina Fortune'a, utrzymywała jednak, że nie chodzi jej o pieniądze Fortune'ów, lecz o ich pomoc w ratowaniu życia małej Anabel.

- Jeśli myślisz, że te listy cokolwiek wyjaśnią, to oczywiście. Poproś, żeby wpadła do mnie do biura w piątek o jedenastej - powiedział w rozmowie telefonicznej z Lindsay. - Zobaczmy, co się da zrobić. Może chociaż ubezpieczenie pokryje część kosztów szpitalnych.

Po odłożeniu słuchawki Sterling przez chwilę siedział pogrążony w zadumie. Do tej pory słowem nie wspominał Kate o Jessice Holmes. Ponieważ Kate z nikim się nie kontaktowała, a wiadomość o tym, iż przeżyła katastrofę, trzymana była w tajemnicy, wątpił, aby z jakiegoś innego źródła dowiedziała się o istnieniu Jessiki i jej córki.

Skoro jednak cała rodzina interesowała się sprawą szpiku i prędzej czy później informacja o nieślubnej wnuczce Bena może przedostać się do prasy, Sterling uznał, że czas najwyższy powiadomić Kate. Nie wiedział,

jak starsza pani na to zareaguje. Nie dość, że jej syn trafił do aresztu oskarżony o morderstwo, nie dość, że ją samą ktoś chciał zabić, to teraz kolejny cios. Może pozostali - Natalie, Lindsay, Caroline - cieszą się z kuzynki, o której nigdy wcześniej nie słyszeli, ale czy Kate będzie miała powód do radości? Wiadomość o pojawieniu się Jessiki powinna raczej obudzić w niej gorzkie wspomnienia o mężu, który ją zdradzał.

Z drugiej strony, diabli wiedzą, co ta kobieta na to powie. Może w ogóle się nie przejmie? Z Kate nigdy nic nie wiadomo. Podniósłszy słuchawkę, wykręcił zastrzeżony numer.

Odpowiedziała po drugim dzwonku.

- Może byś przyrządziła drinka zaprzyjaźnionemu staruszkowi, co? - spytał.

Oczami wyobraźni widział, jak się rozpromienia; przez godzinę czy dwie będzie miała się z kim podroczyć, pożartować, pospierać.

- Chętnie - odparła ze śmiechem. - Pod warunkiem, że nie będziesz używał niedozwolonych słów, takich jak staruszek. Ja już dawno przestałam liczyć lata i obchodzić urodziny.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nalała mu szklaneczkę szkockiej, tak jak lubił, bez wody i bez lodu - swoją odrobinę rozcieńczyła - po czym zapraszającym gestem wskazała fotel. Przez duże, wychodzące na zachód okna rozciągał się widok na miasto, w którym powoli zapalały się światła.

Jak na osobę, której syn siedział w areszcie oskarżony o morderstwo i która sama na skutek nieprzewidzianych okoliczności musiała ukrywać się przed rodziną, wyglądała rewelacyjnie. W wąskich czarnych spodniach, w białej jedwabnej bluzce, której poły zawiązała w pasie, i z wpiętymi we włosy japońskimi grzebykami, kojarzyła mu się z Katherine Hepburn z czasów jej najlepszych filmów. Może kilka zmarszczek znaczyło jej twarz, ale kto by na nie patrzył! Za to cerę miała świeżą i delikatną jak dwudziestolatka. W oczach Sterlinga, który liczył kilka lat mniej, Kate wciąż była tą cudowną dziewczyną, którą Ben Fortune poślubił, a na którą nie zasługiwał.

- Mam ci coś do powiedzenia - rzekł. - Coś, co może ci się nie spodobać.

Pochyliła się lekko do przodu; stykali się kolanami.

- Wal.

Jak zwykle, niczego nie owijał w bawełnę. Kate słuchała, ani razu mu nie przerywając. Gdy skończył, po-

trząsnęła smutno głową; po jej wargach przebiegł uśmiech żalu, lecz nie bólu.

- Tak, mój słodki Ben był strasznym kobieciarzem - westchnęła. - Ale nie przejmuj się mną, kochany. Te wszystkie jego szaleństwa i wybryki należą do przeszłości. I skoro dawniej sobie z nimi radziłam, to i teraz sobie poradzę. Ale powiedz, co zamierzasz uczynić?

Sterling popatrzył na nią z podziwem; zawsze uważał, że odznaczała się wielką klasą.

- Ponieważ chodzi o życie dziecka, postanowiłem przejrzeć te listy, które Natalie znalazła. A raczej jej piasierb. Były schowane w starej przystani, do której Ben często zaglądał. Jeśli są autentyczne, myślę, że trzeba biedaczce pomóc.

- Kiedy i gdzie zamierzasz się z nią spotkać?

- W piątek rano u mnie w gabinecie. Jeżeli będzie mogła zostawić córkę samą.

- Czy ktoś z rodziny będzie jej towarzyszył?

Natychmiast odgadł, co Kate knuje.

- Nie zgadzam się... - zaczął protestować, oczami wyobraźni widząc mnóstwo komplikacji.

Uciszyła go, ujmując jego rękę.

- Och, nie bądź taki, proszę cię. Nic złego się nie stanie, przyrzekam. Nawet jeśli Jessica widziała moje zdjęcia, to przecież myśli, że nie żyję. A twojej sekretarki nigdy nie widziała, więc... Zresztą, odkąd w wolnym czasie zaczęłam pomagać tym dzieciakom z teatru St. Paul, stałam się mistrzynią kamuflażu. Zobaczysz, nikt się nie zorientuje.

Rzadko śmiał się do rozpuku, ale w piątek rano, kiedy pół godziny przed przyjściem Jessiki Kate zjawiła się w jego biurze na jednym z wyższych pięter gmachu znanego powszechnie jako Foushay Tower, o mało nie spadł z krzesła. Nie wiedział, jak tego dokonała, ale wyglądało to tak, jakby całkiem zmieniła rysy twarzy. Usta miała ściągnięte w ciup, nie pomalowane szminką, nos dziwnie garbaty, kasztanowe włosy poprzetykane srebrnymi nitkami ukryła pod nie rzucającą się w oczy siwą peruką.

Ale to nie wszystko. Po raz pierwszy, odkąd ją znał, była niepozorna i zaniedbana. Miała na sobie źle dopasowaną spódnicę i przyciasny żakiet, które pewnie nabyła w sklepie z używaną odzieżą lub wypożyczyła z garderoby teatralnej. Chodząc, głośno stukąła obcasami.

- Podobają mi się twoje nowe okulary - oznajmił ze śmiechem.

Na co dzień nosiła kolorowe kontakty.

- Wiedziałam, że docenisz moje starania - rzekła zadowolona z siebie. - A teraz może byś mi coś podyktował? Tak dla wprawy, co?

Jess przybyła niedługo później, oczywiście nie domyślając się żadnych podstępów. Zgodziła się, aby sekretarka prawnika pozostała w gabinecie.

Wyjawszy z torebki listy, podała je Sterlingowi.

- Ten z wierzchu jest od Bena Fortune'a do mojej babki, Celi Warwick, która wyszła za męża za George'a Simpsona - wyjaśniła. - Odkryłam go po śmierci mojej mamy, kiedy robiłam porządki w jej rzeczach. Mama miała na imię Lana i jeśli informacje zawarte w liście

są prawdziwe, była córką Bena. To by znaczyło, że ja jestem jego wnuczką, a moja córka Annabel jego prawnuczką. Jak pan zapewne wie od Lindsay, pozostałe trzy listy są od Celii do Bena. Znalazł je pasierb Natalie Dalton, Toby, w starej przystani po drugiej stronie jeziora, patrząc od rezydencji Fortune'ów.

Jess zamilkła. Sterling włożył okulary i nie patrząc na Kate, która wcześniej robiła notatki, a teraz czekała na dalsze instrukcje, rozłożył pozołkłe kartki na biurku i zaczął je uważnie czytać.

Lektura zajęła mu kilka minut. Kiedy wreszcie podniósł wzrok, spytał Jessicę, czy mogłoby sporządzić kserokopie. Nie miała nic przeciwko temu.

- Panno... hm, panno Johnson, czy byłaby pani tak miła?

Wziąwszy od niego listy, Kate pośpiesznie opuściła gabinet. Długo nie wracała. Jess przemknęło przez myśl, że może kserograf się zaciął. Może sekretarka męczyła się, usiłując go uruchomić? Może musiała wstawić nową kasetę z tonerem, a przy okazji ubrudziła sobie ręce, więc poszła do łazienki, by je umyć?

- Moja stała sekretarka ma dziś wolne - oznajmił Sterling, jakby czytał w jej myślach. - Panna Johnson ją zastępuje.

Jess uśmiechnęła się. Nie pytała prawnika o jego zdanie na temat autentyczności korespondencji. Po paru minutach do gabinetu wróciła Kate; zarówno oryginały, jak i kopie podała Sterlingowi. Kiedy stała zwrócona plecami do Jess, Sterling popatrzył pytająco w jej oczy. Kate dyskretnie skinęła głową; wierzyła, że listy nie są podróbką.

Prawnik odczytał to jako zgodę na udzielenie Jessice poparcia.

- No dobrze - rzekł, zwracając listy. - Uważam, że są autentyczne. - Po chwili przerwy kontynuował: - Mówiono mi, że szuka pani dawcy szpiku dla swojej córki. I że nie ma pani zamiaru rościć praw do spadku po Benjaminie.

- Tak - odparła Jessica, czując ucisk w gardle. - Dzięki mądrym inwestycjom poczynionym przez moją świętą pamięć męża Annabel i ja mamy dość pieniędzy na dostatnie życie. Niestety, szpiku, którego Annie tak bardzo potrzebuje, nie można kupić...

Mimo że starała się zachować spokój, łzy napłynęły jej do oczu. Sterling, który chciał poprosić Jessicę, by podpisała oświadczenie, iż zrzeka się wszelkich praw do majątku należącego do Fortune'ów, zawahał się, widząc, jak Kate podaje jej chusteczkę do nosa.

Po chwili Jessica zapanowała nad wzruszeniem.

- Przepraszam. Po prostu na myśl o Annie czasem nie potrafię powstrzymać łez.

Skoro Kate nie miała zastrzeżeń do listów, Sterling postanowił jak najszybciej skontaktować się ze wszystkimi członkami rodziny i, podobnie jak Lindsay, namawiać ich do zbadania krwi. Prawdę mówiąc, podobała mu się ta młoda Angielka, która przecież nie była winna temu, że jej babka miała płomienny romans z Benem.

- Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby pani pomóc, pani Holmes - oznajmił, wykrzywiając usta w grymasie, który sam nazwałby uśmiechem.

Domyślając się, że spotkanie dobiegło końca, Jess po-

dziękowała serdecznie prawnikowi i skierowała się do wyjścia.

- Sprawia sympatyczne wrażenie - oświadczyła Kate, gdy Jessica zniknęła za drzwiami. - Wykazała nie lada odwagę, przyjeżdżając do obcego kraju, żeby szukać ratunku dla córki. Musimy jej pomóc.

Kilka dni później Stephen zaprosił Jess na kolację. Ucieszyła się. W okresie, gdy Annie gwałtownymi torsjami reagowała na chemioterapię, zachowywał się wspaniale i jako lekarz, i jako człowiek. Podobało się Jessice również to, że się nie narzucał, że z propozycją kolacji odczekał, aż Annie będzie się czuła całkiem dobrze.

- Z przyjemnością, Stephen - odparła.

Uśmiech widoczny w jej piwnych oczach przepełnił jego serce radością.

Żadne z nich nie zapomniało o pocałunku, do którego na pewno by doszło, gdyby nie mieli na twarzach maseczek ochronnych i gdyby Lindsay nie wparowała do pokoju dosłownie chwilę po tym, jak Stephen wziął Jess w ramiona. Oboje wiedzieli, że okazja, w dodatku bardziej dogodna, z pewnością się kiedyś powtórzy. I oboje niecierpliwie jej wypatrywali.

Umówili się, że spotkają się w hotelu, w holu przy słynnej fontannie. Stephen wszedł głównymi drzwiami i aż wstrzymał oddech na widok pięknej kobiety, która podniosła się z ławeczki i ruszyła mu naprzeciw. Kobieta ta miała na sobie czerwony żakiet od Valentina i krótką czerwoną spódniczkę odsłaniającą długie, zgrabne nogi.

- Wyglądasz fantastycznie - szepnął, wciągając za-

pach perfum, którymi skropiła się za uszami, i pocałował ją w policzek.

Jego dotyk podziałał na nią elektryzująco. Po plecach przebiegł ją dreszcz, na całym ciele wystąpiła gęsia skórka. Ani przed ślubem z Ronaldem Holmesem, ani w trakcie małżeństwa nie czuła tak silnego podniecenia. A to było tylko lekkie muśnięcie wargami! Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby ten wysoki, przystojny lekarz położył ją na łóżku i zaczął rozbierać...

- Ty też wyglądasz wyjątkowo atrakcyjnie - powiedziała z uśmiechem. - Po cywilnemu, bez fartucha...

Chociaż nie umiał zgadnąć, czy dzisiejszego wieczoru lub kiedykolwiek w przyszłości dojdzie między nimi do zbliżenia, czuł, że Jess nie miałyby nic przeciwko temu. Od pierwszego wejrzenia sprawiała wrażenie osoby, która pragnie ciepła i gotowa jest ofiarować je innym.

- Co ty na to, żebyśmy poszli do restauracji na piechotę? - spytał. - To niedaleko, a pogoda jest wspaniała.

Urządzony w stylu francuskim lokal, słynny z powodu doskonałej kuchni, mieścił się na parterze gmachu, w którym Sterling Foster miał swoją kancelarię. Kelner wskazał im zaciszny stolik pod oknem.

Jess rozejrzała się z zaciekawieniem po sali. Podobał się jej wystrój, długi, zastawiony butelkami bar, małe stoliki, marmurowa posadzka, dekoracje z lat trzydziestych, podobał się panujący nastrój ożywienia, głośne rozmowy, kelnerzy w długich białych fartuchach.

Dwa delikatne rumieńce rozkwitły na jej policzkach. Jednym uchem słuchała, kiedy kelner wymieniał potrawy figurujące w karcie dań, potem jednak powiedział coś

dziwnego: że zachęca się gości, by w trakcie picia koktajlu i czekania na posiłek umilali sobie czas rysowaniem po papierowym obrusie. Kredki leżą na stole.

Kiedy kelner wrócił, pytając, czy są gotowi złożyć zamówienie, Jess oparła brodę na dłoni i poprosiła Stephena, aby wybrał coś dla nich obojga. Uczynił to z przyjemnością, decydując się na kurczaka duszonego w winie, jedną z najlepiej znanych specjalności lokalu. Wzruszyła go niespodziewana bezradność Jessiki. Dotychczas podziwiał jej przebojowość, odwagę i niesamowitą siłę, z jaką walczyła o zdrowie córki, teraz widział naprzeciw siebie istotę wrażliwą, nieśmiałą, delikatną.

Zadumał się. Chciał dla niej jak najlepiej, ale czy zdoła zapobiec nieszczęściu? Uchronić ją przed tym, czego najbardziej się w życiu bała? Siebie nie zdołał uchronić - David zmarł. Otrząsnął się ze smutnych wspomnień, nie chcąc psuć romantycznego wieczoru.

- Opowiedz mi o sobie. O tym, co robiłaś w Anglii - poprosił. - Ty przynajmniej wiesz, gdzie ja pracuję, a ja o tobie nie wiem nic.

Opisała mu przedmieścia Londynu, na których dorastała, swoje lata studenckie, pracę na stanowisku doradcy inwestycyjnego w londyńskiej firmie oraz krótkie weekendowe wypady do Sussex, które obie z Annie uwielbiały - mieszkały tam w odziedziczonym po mamie domku. Opowieść urozmaicały mapki i śmieszne ilustracje, które rysowała na obrusie.

Kelner przyniósł zamówione sałatki, a potem kurczaka, który był tak miękki i soczysty, że mięso samo odpadało od kości. Na prośbę Stephena Jessica podjęła swo-

ją opowieść; między innymi opowiedziała o swoim małżeństwie z Ronaldem Holmesem i jego tragicznej śmierci w wypadku. Nie wspomniała, że niemal od samego początku mąż ją zdradzał.

- Musiało ci być strasznie ciężko. Najpierw dowiadujesz się o białaczkę córki, a wkrótce później tracisz męża.

Nawet nie wiesz, jak ciężko, pomyślała Jess.

- Czasem tak w życiu bywa - zauważyła.

Zapadła cisza. Nagle Stephenowi przyszło do głowy, że w jednej sprawie jego ciekawość nie została zaspokojona. Postanowił skorzystać z okazji i spytać.

- A kto to jest Herkie?

Popatrzyła na niego zdziwiona, a potem w jej policzku ukazał się dołeczek.

- Pies Annie - odparła ze śmiechem, nawet nie wyobrażając sobie, jaką Stephen poczuł ulgę. - Szkocki terrier. Właściwie nazywa się Herkimer McTavish Junior. Annie go uwielbia i potwornie za nim tęskni. Bez przerwy o nim opowiada.

Na deser zamówili kawę i miniaturowe czekoladowe ekierki. Wkrótce potem zebrali się do wyjścia, tym bardziej że Stephen skoro świt musiał być w pracy.

Trzymając się za ręce, ruszyli spacerkiem do hotelu, w którym Jessica wynajmowała apartament. Co jakiś czas spoglądali na siebie w milczeniu. Cieszyła ich bliskość, jaka się między nimi wytworzyła, ale oboje mieli świadomość, że to dopiero początek, że ich uczucie jest świeże, delikatne, kruche. Mogło je zepsuć jedno niewłaściwe słowo, jeden nierozważny krok.

Szybciej niż tego chcieli, dotarli na miejsce. Powiniennem był ją pocałować wcześniej, w cieniu jakiegoś budynku, gdzie bylibyśmy sami i nikt by nas nie widział, pomyślał Stephen, kiedy portier w mundurze powitał ich uśmiechem zarezerwowanym wyłącznie dla kochanków i przytrzymał ogromne szklane drzwi.

Miał ochotę szepnąć Jess do ucha, aby spędziła z nim noc, ale wiedział, że nie może. Jeszcze nie teraz. Jessica nie należy do kobiet, którym odpowiadają przelotne romanse. A oni dopiero się poznawali...

Stojąc przy zasadzonej w donicy palmie, zastanawiał się, czy pożegnać się z Jess w jaskrawo oświetlonym holu, czy odprowadzić ją na górę do pokoju. Żadne rozwiązanie mu się nie podobało. W holu było za jasno i za gwarno, a z kolei, jeśli wjadą windą na górę, Jess może czuć się w obowiązku zaprosić go do środka. Też niedobrze.

Podczas gdy on toczył walkę z samym sobą, Jessica również przeżywała rozterki. Nie wiedziała, co robić. Bała się, że Stephen cmoknie ją na dobranoc w policzek. Albo gorzej - uściśnie jej rękę. Nie chciała, by ich pierwsza randka okazała się ostatnią, ale nie chciała też niczego na siłę przyśpieszać.

- Dziękuję za cudowny wieczór - powiedziała, patrząc Stephenowi prosto w oczy. - Doskonale się bawiłam. Skany Anula43, przerobienie pona.

Nie, nie zamierzał pozwolić, aby tak wyglądało ich pożegnanie. Musi znaleźć jakiś cichy kąt, pocałować ją na dobranoc...

- Jess, mogę cię prosić na chwilę?

Skierował się w stronę pustego saloniku, w którym stało kilka kanap i foteli. W rogu paliła się pojedyncza lampa.

- O co chodzi?

Wystraszyła się, że chce jej przekazać jakąś przykrą wiadomość na temat Annie. Ale ledwo zadała pytanie, gdy Stephen pochwyił ją w ramiona i przywarł ustami do jej warg.

Po tylu dniach spędzonych samotnie przy łóżku córki nagle znalazła się w wirze namiętności. Nigdy nie sądziła, że pocałunek może być tak podniecający. Miała ochotę ofiarować Stephenowi wszystko, siebie, swoje emocje, uczucia, pragnienia, tajemnice.

Oboje zapomnieli o otaczającym ich świecie.

Ale nagle było po wszystkim. Ich chwilę intymności brutalnie zburzył pracownik hotelu, który pojawił się z odkurzaczem, szczotką i innymi przyborami do czyszczenia. Widząc objętą parę, wycofał się szybko, ale to wystarczyło, żeby Stephen się opamiętał.

- Jess, wybacz - szepnął, wygładzając jej żakiet. - Straciłem głowę. Nie powinienem był...

Popatrzyła mu w oczy; dłonie wciąż trzymała oparte na jego ramionach.

- Mam wrażenie, że oboje straciliśmy głowę - oznajmiła lekko. - A czy powinniśmy byli, czy nie, to rzecz warta przedyskutowania.

Uśmiechnął się, wdzięczny za jej wyrozumiałość i poczucie humoru.

- Masz rację. A więc nie żałuję ani chwili. Koniec dyskusji - stwierdził tak emfaticznie, że Jess również uśmiechnęła się szeroko. - Jeśli ty też nie żałujesz i jeśli

nie przeszkadza ci fakt, że jestem lekarzem Annie, to chciałbym się z tobą częściej widywać. Poza szpitalem.

Ogarnęła ją radość. Nie wycofywał się, nie uciekał. Pragnął się z nią spotykać. Wiedziała, że prędzej czy później zblizą się do siebie i zostaną kochankami, choć intuicyjnie czuła, że wcześniej muszą zburzyć kilka murów.

- Ja z tobą również.

- Świetnie. Czyli załatwione! - Nie mogąc się powstrzymać, znów ją pocałował, ale tym razem był to przyjacielski buziak. - Ponieważ nie bardzo sobie ufam, odprowadzę cię tylko do windy, dobrze?

Jake'owi dopisało szczęście. Okazało się, że sędzia, który przewodniczył rozprawie wstępnej, był znajomym Sterlinga. Nie łączyła ich przyjaźń, ale obracali się w tych samych kręgach. Studiowali w tym samym college'u, choć nie w tym samym czasie, i później na tej samej uczelni zrobili dyplom z prawa. Sędzia doskonale orientował się, kim jest Jacob Fortune, znał jego opinię, wiedział, czym się zasłużył dla miasta.

Znał również Aarona Silbermana; wprawdzie nie widywał go na gruncie towarzyskim, ale zawsze z respektem odnosił się do jego osiągnięć zawodowych.

Sędzia z uwagą wysłuchał argumentów obrońcy, który stwierdził, że po pierwsze, dowody pośrednie zebrane przez prokuratora są niewystarczające, aby oskarżyć Jake'a o morderstwo, a po drugie, Jake ma zbyt wiele do stracenia - szacunek rodziny i środowiska, funkcję prezesa Fortune Industries - aby uciekać z miasta.

Zgodnie z procedurą, po obrońcy głos zabrał prokurator,

który wyjaśnił, dlaczego Jake powinien pozostać za kratkami. Dodał, że człowiek, który raz dopuścił się morderstwa, zwykle nie ma oporów przed popełnieniem kolejnej zbrodni i dlatego nie powinien odpowiadać z wolnej stopy.

Ostateczny głos należał do sędziego, który oznajmił, że prokuratura zgromadziła dostateczną ilość dowodów, aby proces się odbył. Natomiast w kwestii poręczenia majątkowego przychylił się do prośby obrońcy i zgodził się, aby Jake'a zwolniono z aresztu.

- Wyznaczam kaucję w wysokości jednego miliona dolarów - zwrócił się srogim tonem do Jake'a. - Do czasu rozprawy ma pan zakaz opuszczania okręgu Hennepin. Jeśli złamie pan zakaz, natychmiast trafi pan z powrotem do aresztu.

Jake, oszołomiony tym, co usłyszał, patrzył to na Aarona Silbermana, to na Sterlinga Fostera. Czy naprawdę jest wolny? Foster skinął głową. Po chwili, po raz pierwszy od momentu aresztowania ubrany we własne rzeczy, Jake opuścił pokój sędziego i - nie odpowiadając na pytania dziennikarzy - wyszedł do holu, gdzie czekała na niego rodzina. Dzieci, wnuki i - ku jego zdumieniu - Erica, która trzymała się nieco na uboczu, jak przystało na żonę będącą w separacji z mężem. Był wzruszony, a zarazem lekko zażenowany.

Natalie, która pamiętnego wieczoru przybyła z wizytą do rodzinnej rezydencji i widziała ojca w zakrwawionej koszuli, dotrzymała słowa. Nikomu poza Sterlingiem nie wspomniała o tym, co Jake bełkotał po pijanemu na temat konfrontacji z Monicą. Teraz ona pierwsza rzuciła mu się na szyję.

Oślepił ich błysk fleszy.

- Upięłam twoje ulubione ciastka, tato - oznajmiła ze łzami w oczach, odwracając się od dziesiątek kamer i mikrofonów, jakie dziennikarze podtykali jej pod nos.
- Czekoladowo-orzechowe. Czekają na ciebie w domu.

Kolejno z Jakiem witały się wszystkie jego dzieci. Na końcu podeszła Erica, wolno, nieśmiało, jakby nie była pewna, czy może. Oślaniając twarz przed fotoreporterami, wyciągnęła na powitanie rękę.

- Cieszę się, że cię wypuścili, Jake - powiedziała ochryplym głosem. Serce zabiło jej mocniej, kiedy przytrzymał jej dłoń. - To nie jest odpowiednie miejsce dla kogoś takiego jak ty. Chciałam... chciałam, abyś wiedział, że wierzę w twoją niewinność. Jeżeli w jakikolwiek sposób mogłabym ci pomóc, nie wahaj się przyjść do mnie.

Dziękując jej, przez chwilę wodził wzrokiem po jej twarzy i włosach. Była taka śliczna i tak bardzo za nią tęsknił! Pobrali się z wielkiej miłości, mieli razem pięcioro dzieci. Mimo sprzeczek, jakie im się zdarzały, i problemów, których było mnóstwo, Erica wciąż uosabiała jego ideał kobiety. Była wszystkim, czego pragnął. Niestety, w tym momencie niewiele mógł jej ofiarować.

Chyba miała tego świadomość, bo w trakcie owych paru sekund, kiedy musiał odpowiedzieć na pytanie Aarona Silbermana, poczuł, że żona cofa rękę, po czym dyskretnie kieruje się ku wyjściu. Zapewne nie zamierzała uczestniczyć w przyjęciu powitalnym, jakie Caroline, Adam i Natalie postanowili wydać na jego cześć w rezydencji nad jeziorem.

Mimo radości, że wreszcie jest wolny i nie musi dłu-

żej znosić upokorzenia, w głębi duszy odczuwał smutek. Bez Eriki jego życie było niepełne. Nie przyszło mu do głowy, że żona może czekać, aby on pierwszy wykonał jakiś krok, wyciągnął rękę na znak zgody.

Po wyjściu z budynku sądu Erka miała wrażenie, że Jake trochę zmięknął i zaczyna żałować rozpadu ich małżeństwa. Ale nie była pewna. Okazało się, że nie tylko ona odniosła takie wrażenie. Tego samego zdania był również Adam, który powiedział jej o tym wieczorem przez telefon.

- Zrozum, mamó - rzekł głosem o identycznym brzmieniu co głos Jake'a - ojciec tłumi w sobie uczucie, bo jest mu wstyd z powodu kłopotów, w jakie się wpakował. Ale widzę, jak bardzo żałuje, żeście się rozstali. Myślę, że gdy tylko oczyści się z zarzutów, spróbuje naprawić ten błąd. Nikomu z nas się nie podoba, że żyjecie w separacji, ale mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Czasem trudności pozwalają ludziom przejrzeć i ponownie się do siebie zbliżyć.

Dzień po tym, jak Jake odzyskał wolność, Annie zaczęła tracić włosy. Wypadały garściami. Choć Jess była o tym uprzedzona i już wcześniej, czesząc córkę, widziała na szczotce całkiem sporo kosmyków, to jednak przeżyła szok. Czegoś takiego się nie spodziewała. Robiąc dobrą minę do złej gry, spokojnie starała się przygotować córkę do tego, aby się nie zdziwiła, kiedy spojrzy do lustra i zamiast wspaniałych gęstych loków zobaczy głowę gdzieniegdzie porośniętą krótkim delikatnym puchem.

Kolejni członkowie rodziny zostali przebadani, ale niestety, wciąż nie było odpowiedniego dawcy. Ku zdumieniu i radości Jess, jak również Stephena, szpik Annie regenerował się znacznie szybciej, niż oczekiwano. Wprawdzie za jakiś czas wszystko miało znów powrócić do stanu sprzed chemioterapii, lecz zanim to nastąpi, Annie będzie mogła bawić się jak inne dzieci. Przypuszczalnie już pod koniec tygodnia wyjdzie ze szpitala.

Chociaż Stephen nic o tym Jessice nie wspominał, postanowił zająć się sprawą, o której ona jeszcze nie zdążyła pomyśleć. Wiedział, że matka z córką muszą zostać w Minneapolis do czasu znalezienia dawcy. Ale przecież nie muszą mieszkać w hotelu. Spytał Lindsay, czy nie ma jakiegoś pomysłu.

Lindsay poradziła mu zapytać Sterlinga, czy nie mogłyby zamieszkać w domku dla gości na terenie posiadłości nad jeziorem Travis. Ucieszył się - byłoby to idealne rozwiązanie, w dodatku miałyby do nich dosłownie parę kroków.

- Sądysz, że rodzina się zgodzi?

Rozmawiali w tym samym pokoju, w którym przed paroma tygodniami poinformował Lindsay o liście, jaki Jess mu pokazała, sugerującym, że jest spokrewniona z Fortune'ami. Pamiętał zdziwienie i podejrzliwość w oczach Lindsay. Teraz Lin była jego sprzymierzeńcem; polubiła Jessicę i bardzo chciała jej pomóc.

- Myślę, że tak - odparła. - Domek gościnny stoi dość daleko od głównej rezydencji, więc nikomu to nie powinno przeszkadzać. Poza tym jest w sam raz dla Jess, nie za mały, nie za duży...

- A co z meblami?

- Wszystko jest na miejscu, począwszy od łóżek, szaf i foteli, a skończywszy na talerzach i sztućcach. Jess powinna być zadowolona. Wiesz co? Może ja pogadam ze Sterlingiem...

Zgodnie z wyrażoną w testamencie wolą Kate, posiadłość nad jeziorem przeszła na własność wszystkich jej dzieci, lecz zarządzać nią miał Sterling. Prawnik nie widział powodu, dlaczego Jess nie mogłaby wprowadzić się na kilka tygodni do domku gościnnego, powiedział jednak, że wpiery musi poprosić o zgodę Jake'a, który bądź co bądź mieszka w głównym budynku.

Od wyjścia z aresztu, chcąc zachować odrobinę prywatności, Jake niemal zabarykadował się w domu. Nie bardzo podobał mu się pomysł, że oprócz niego ktoś jeszcze miałby mieszkać na terenie posiadłości. Ale w gruncie rzeczy był szlachetnym człowiekiem, który zawsze chętnie pomagał osobom słabszym i pokrzywdzonym przez los, toteż po zastanowieniu się oddzwonił nazajutrz do Sterlinga i oznajmił, że Jessica może zamieszkać w domku gościnnym, byleby tylko nie wchodziła mu w drogę.

Oczywiście Sterling porozumiał się również z Kate. Nie zdziwił się, gdy ta bez najmniejszego wahania wyraziła zgodę.

Wieczorem tego samego dnia Lindsay zaproponowała domek Jessice.

- O Boże, naprawdę? - ucieszyła się Jess; oczy jej lśniły. - To byłoby cudowne! Własny domek, w którym mogłyśmy mieszkać, dopóki Annie nie wydobrzeje! Na-

wet przyszło mi do głowy, że powinnam się za czymś rozejrzeć, ale jakoś nie mogłam się do tego zabrać. Jesteś pewna, że...?

- Najzupełniej. - Lindsay obdarzyła ją ciepłym uśmiechem. - Rozmawiałam z doradcą prawnym rodziny; wszystko już załatwione. Domek jest do twojej dyspozycji, za darmo, na tak długo, jak długo będziesz go potrzebowała. Stephen zaferował, że cię tam podrzuci, żebyś obejrzała swoje królestwo.

Zamierzała skorzystać z oferty Stephena, tym bardziej że sama nie miała samochodu. Odkąd oddała samochód do agencji, uznając, że to zbędny wydatek, poruszała się po mieście taksówkami. Kiedy po południu powiedziała Stephenowi o rozmowie z Lindsay, on natychmiast ponowił swą propozycję.

- Tylko jestem potwornie głodny - oznajmił. - Najpierw wstąpmy coś przekąsić, dobrze? Po drodze pokażę ci, gdzie ja mieszkam i gdzie mieszka Lindsay. Dzieli nas paręset metrów. Kiedy się wprowadzisz, wszyscy troje będziemy sąsiadami, a ja będę miał cię na oku.

Tak jak poprzednia kolacja we francuskim bistro, tak i dzisiejsza w małym wietnamskim lokalu nieopodal szpitala była przepyszna. Jess ze smakiem zjadła *canh cua*, czyli zupę krabowo-szparagową, oraz kremetki z bambusem.

Drogę z centrum do podmiejskiego osiedla nad jeziorem Travis pokonali w pół godziny.

Najpierw przejechali koło domu Stephena. W zapadającym zmroku sprawiał wrażenie pustego, jakby nikt w nim nie mieszkał. Duży, drewniany dom, zbudowany

w nowoczesnym stylu, mógł mieć ze cztery sypialnie, może dwa salony.

Przypomniawszy sobie, że Stephen jest rozwiedziony, Jess zaczęła się zastanawiać, czy dzieci, które pewnie zostały z matką, przyjeżdżają do niego na weekendy.

- Wiesz, uświadomiłam sobie, że nic nie wiem o twoim życiu pozaszpitalnym - powiedziała, kiedy mijali bardziej tradycyjny, zbudowany z cegły dom Lindsay. - Tak świetnie się dogadujesz z Annie, że chyba musisz mieć własne dzieci, co?

W ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie warknąć „Nie!”. Jess przecież nie jest niczemu winna. Ale jej pytanie wzbudziło w nim wyrzuty sumienia. Brenda ciągle mu wypominała, że za dużo energii poświęca pracy, a za mało rodzinie. Gdyby tyle godzin nie spędzał w szpitalu, miałby więcej czasu dla syna. Oczywiście nie zapobiegłoby to chorobie chłopca, ale...

- Nie, nie mam - odparł. - Tego w życiu najbardziej żałuję. Ale biorąc pod uwagę ilość czasu, jaką przebywam w szpitalu, chyba byłbym kiepskim ojcem.

Miała ochotę zaprotestować, lecz intuicyjnie wyczuła, że lepiej nie drażnić tematu.

Zanim dotarli do posiadłości Fortune'ów i kartą magnetyczną, którą dostali od Lindsay, otworzyli bramę, było już całkiem ciemno. Tu mieszkał mój dziadek, pomyślała Jess na widok przysłoniętego drzewami dużego białego domu, który znała tylko ze zdjęć. Ojciec mojej matki. Człowiek, któremu babcia Celia zabroniła odwiedzać ich wspólną córkę.

Jess marzyła o tym, by obejrzeć dom z bliska, przejść

się po pokojach, po których chadzał Benjamin Fortune. Niestety. Kilka sekund później, stosując się do wskazówek Lindsay, skręcili w lewo i drogą prowadzącą między szpalerem wysokich sosen oraz starych, rozłożystych dębów zaczęli oddalać się od rezydencji. Po chwili podjechali pod pomalowany na biało domek, który wyglądał jak jej miniaturowa wersja.

Wysiedli z mercedesa i przeszli kilka kroków w stronę ganku. W zalegającej wokół ciszy słychać było, jak ich buty skrzypią na żwirowym podjeździe.

Mimo że domek stał nie używany od dłuższego czasu, nie odłączono w nim prądu. Stephen zapalił lampę w salonie. Z mroku wyłoniły się wygodne miękkie fotele, drewniana podłoga przykryta wyblakłym perskim dywanem, nieduży kominek z cegły, nad którym wisiała rycina Audubona przedstawiająca ptaki. W pokoju były także książki, wielkie poduchy oraz kosz z drewnem na podpałkę.

- Jak tu przytulnie - szepnęła Jess. - Jak miło. Annie oszaleje z zachwytu...

Przeszli dalej.

Kiedy Stephen zapalił światło w kuchni, oczom Jess ukazała się czarno-biała terakota na podłodze, staromodna lodówka i kuchenka, pomalowane na biało drewniane szafki, z których część miała drzwiczki z matowego szkła. W niedużej wnęce służącej za kącik jadalny stał stolik z czterema krzesłkami; nad nim wisiała lampa o witrażowym kloszu.

Sypialni Jess nie zdołała obejrzeć. Stephen wszedł po omacku do ciemnego pomieszczenia, znalazł lampę na

stoliku nocnym, wcisnął pstryczek i w tym momencie żarówka się przepaliła.

Nad swoim lewym uchem usłyszał głos Jessiki:

- Może w szufladzie jest zapasowa?

Zamiast wyciągnąć szufladę, odwrócił się. Przez chwilę, w słabym blasku dochodzącym z korytarza, wpatrywał się w oczy Jess. Potem zgarnął ją w ramiona i przywarł ustami do jej warg.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Było to coś, czego pragnęła, odkąd pocałowali się w pustym hotelowym saloniku, a właściwie coś, czego pragnęła całe życie. Ogarnęło ją uczucie szczęścia, cudownej błogości. Zdawała sobie jednak sprawę, że czeka ich długa droga najeżona wieloma trudnościami. Stephen coś przed nią ukrywał, coś w sobie tłumił. Musiał to z siebie wyrzucić, zburzyć mur, którym się otaczał; wiedziała, że jeżeli tego nie zrobi, nie mają szansy na udane wspólne życie.

Bała się porażki i upokorzenia. Wciąż miała w pamięci ból, jaki raz po raz sprawiał jej Ronald Holmes. Modliła się, aby przykre doświadczenia z przeszłości nie wpływały na decyzje, jakie będzie podejmowała w przyszłości. Bo dla Stephena gotowa była wiele zaryzykować.

On zaś jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnął żadnej kobiety. Pragnął ją kochać, pragnął chronić, pragnął...

- Och, Jess! - westchnął. On, lekarz o zazwyczaj tak sprawnych dłoniach, rozpinał jej bluzkę niezdarnie niczym uczniak. - Wiesz, że szaleję za tobą? Jeśli chcesz, żebym cię zostawił, to powiedz. Bo za moment będzie za późno. Nie powstrzymam się.

- To dobrze. Bo ja też cię pragnę.

Jej wyznanie jedynie wzmoгло jego żądę. Po chwili

bluzka leżała na podłodze, obok niej stanik, Jess zaś siedziała na łóżku ze spódnicą podciągniętą do bioder, a Stephen klęczał między jej udami. Drżąc z podniecenia, przytknęła policzek do jego miękkich włosów, po czym nerwowymi ruchami zaczęła wyciągać koszulę z jego spodni.

- Zdejmij krawat, koszulę - szeptała. - Chcę cię czuć, dotykać wszędzie...

Pragnął jej z całego serca, lecz nie potrafił się odprężyć. Wiedział, że musi wyjść ze swojej skorupy, zostawić za sobą przeszłość, rozpocząć nowe życie. Ale mając stale w pamięci śmierć Davida, bał się związać z kobietą, której dziecko znajdowało się na krawędzi życia i śmierci.

Jesteś lekarzem Annie, powtarzał w myślach; próbujesz ją ratować, ale sam najlepiej wiesz, jak to czasem bywa. Wszystko może się zdarzyć. Jeżeli nie uda ci się jej ocalić, będziesz winił los, lecz częściowo również i siebie. Nie zdołasz spojrzeć Jessice w oczy, nawet jeśli ona nie uzna cię winnym.

Wtedy ona wróci do Anglii, a ty...

Jessica wyczuła zmianę w jego nastroju. To było tak, jakby dmuchnął powiew zimnego wiatru albo jakby zwały ciemnych chmur nagle przysłoniły słońce.

- Stephen, co się stało? - spytała, kładąc dłonie na jego ramionach. - Czy zrobiłam coś nie tak? Nie chcesz się ze mną kochać?

Nie odpowiedział. Ona zasługuje na coś więcej, pomyślał; na coś, czego ja jej nie mogę jeszcze dać. Zrezygnowany, dźwignął się z kolan i odwrócił plecami, dając jej szansę się zasłonić.

Upokorzona, zdziwiona i coraz bardziej zła, Jessica pośpiesznie włożyła stanik i bluzkę. Wstała z łóżka i obciągnęła spódnicę.

- Nic mi nie powiesz? - szepnęła drżącym głosem.

- Nie myśl, że cię nie pragnę, Jess - odezwał się wreszcie. - Pragnę. Pragnę od pierwszego dnia, kiedy cię ujrzałem. Ale nie powinienem był dopuścić do takiej sytuacji jak ta. Zwłaszcza nie teraz. Jestem lekarzem Annie, obowiązuje mnie pewien kodeks etyczny. Mam nadzieję, że możemy pozostać przyjaciółmi i wkrótce ponownie wybrać się razem na kolację.

Przeczesała ręką włosy, wygładziła bluzkę i podniosła z łóżka torebkę.

- Oczywiście, masz rację - przyznała, nieświadomie wbijając mu szpilę w serce. - Zachowaliśmy się nieodpowiedzialnie. Całą uwagę powinnam teraz poświęcać osobie, która tego najbardziej potrzebuje, czyli córce.

Ubrana w czerwony jedwabny kostium, który podkreślał jej zgrabną szczupłą figurę, Kate krążyła niespokojnie po mieszkaniu, jakby nie mogła znaleźć sobie miejsca. Ostatni tydzień spędziła incognito w Kalifornii: pływała w basenie otoczonym górami, jeździła konno po pięknych kanionach, latała wynajętym samolotem nad rozhukanymi falami w pobliżu Carmel, ale niewiele to pomogło. Wciąż czuła się spięta i sfrustrowana. Jej najstarszy syn był oskarżony o morderstwo. Po części winę za to ponosił Ben, który niepotrzebnie zadawał się z Monicą Malone.

Basta, postanowiła. Pora wyjść z ukrycia, zacząć jaw-

nie działać. Chciała pomóc Jake'owi i wierzyła, że zdoła znaleźć dowody, które naprowadzą policję na właściwy trop.

Podjąwszy decyzję, zadzwoniła do Sterlinga.

- Muszę się z tobą naradzić - oznajmiła tonem nie znośnym sprzeciwu.

Sześćdziesięcioczeroletni prawnik, który nie był już przecież młodzieniaszkiem, miał za sobą długi, męczący dzień. Parę minut temu wyszedł z wanny i ubrany w szlafrok odpoczywał na kanapie, z kieliszkiem koniaku w dłoni.

- Dziś? - spytał, łudząc się, że wystarczy jutro rano.

- Jak najszybciej.

Stłumił westchnienie. Odkąd z jego pomocą i za jego aprobatą zaczęła ukrywać się przed światem, udając martwą, starał się jak najwięcej spraw omawiać z nią osobiście, a nie przez telefon.

- Będę za pół godziny - obiecał.

Kiedy własnym kluczem otworzył drzwi do jej mieszkania, Kate niczym lew w klatce wciąż krążyła od ściany do ściany.

- Już jesteś, kochany? - Uściśnęła go mocno na powitanie. - Dziękuję, że tak szybko przyjechałeś.

Zapach jej perfum sprawił, że Sterling przestał żałować, iż wyciągnęła go z domu. Każdego innego dnia może sobie posiedzieć na kanapie, również z kieliszkiem koniaku w ręce. Żałował jedynie, że za godzinę czy dwie będzie musiał wrócić do siebie. Mimo łączących ich więzów, które po śmierci Bena jeszcze bardziej się zacieśniły, ani razu nie nocował u Kate.

- Drobiazg. Kto by tam sypiał po nocy? - burknął, wiedząc, iż Kate potrafi go przejrzeć na wylot. - A ty pewnie wciąż żyjesz według czasu kalifornijskiego, co? No dobrze, więc cóż cię dręczy?

Zamiast drinka - w domu nie zdążył wypić koniaku, który nalał sobie po wyjściu z wanny - zaproponowała mu kawę. Odmówił; bał się, że potem nie zaśnie.

- Mam tego wszystkiego dość - oznajmiła. - Tej farsy. Udawania, że nie żyję. Chcę pomóc Jake'owi.

Kate zamierza wyjść z ukrycia, wobec tego on musi temu zapobiec. Monica nie żyje, a Jake jej nie zabił. To oznacza, że morderca jest na wolności; być może jest to ten sam człowiek, który zaplanował śmierć Kate w amazońskiej dżungli. Jeżeli się dowie, że Kate nie zginęła w katastrofie...

Sterling pokręcił głową.

- To zbyt niebezpieczne. Nie wiemy, kto za tym stoi. Może ten sam drań, który opłacił bandytę, żeby porwał samolot i zabił ciebie?

Machnęła lekceważąco ręką, na której połyskiwały rubiny; biżuterię, a miała jej sporo, zawsze dostawała od Bena w ramach przeprosin.

- Dzieci mnie potrzebują.

- Tak, ale na pewno wolą cię mieć żywą niż martwą - odparował. - Na miłość boską, są dorosłe. Poradzą sobie same. Na razie wszyscy są cali i zdrowi, a Jake'a jeszcze nikt nie skazał. I nie skaże.

Kate rzadko się zdarzało słuchać i nie przerywać. Dziś właśnie był taki dzień - pozwalała Sterlingowi mówić.

- Może to ci się wydać dziwne, ale moim zdaniem

ten kryzys wyjdzie Jake'owi na dobre. Jake zawsze był z czegoś niezadowolony; teraz nie podoba mu się to, że jest czyimś innym synem niż Bena. Wydaje mi się, że kiedy burza ucichnie, a on pozna prawdę, wtedy zrozumie, co naprawdę jest w życiu ważne.

Przez chwilę Kate w milczeniu przyglądała się przystojnej, nieco pomarszczonej twarzy prawnika. Ależ ze mnie szczęściara, pomyślała, że mam takiego przyjaciela. Tak wiele ich łączyło. Tak, więcej łączyło ją ze Sterlingiem niż z kimkolwiek innym. Mieli nawet identyczne poczucie humoru.

- Masz słuszość - przyznała, zaskakując go pojedynczym tonem. - Chodź, usiądź koło mnie na kanapie i pogadajmy o dawnych dobrych czasach. Albo nie, najpierw naleję ci kieliszek koniaku, o którym marzysz.

Kiedy Stephen i Jess spotkali się nazajutrz w szpitalu, oboje czuli się bardzo niezręcznie. O ile wcześniej z każdym dniem stawali się sobie coraz bliżsi, o tyle teraz unikali swojego wzroku. Wobec Annie Stephen jak zwykle był przyjazny i serdeczny, ale zaraz po badaniu wyszedł szybko z pokoju.

- Nie sądzisz, mamusi, że on jakoś dziwnie się zachowuje? - zapytała dziewczynka. - Może jest na nas zły?

Jessica po raz nie wiadomo który przypomniała sobie wczorajszy wieczór w domku gościnnym Fortune'ów i własne upokorzenie, kiedy Stephen ją odtrącił. Na myśl o tym, że jej chora córeczka zauważyła różnicę w zachowaniu dorosłych, zrobiło się jej podwójnie wstyd.

- Dlaczego miałyby być na nas zły? - odpowiedziała,

całując małą w policzek. - Przecież byliśmy grzeczne, prawda?

Dziewczynka zmarszczyła czoło, jakby intensywnie nad czymś myślała.

- Może się przeziębiał? Może powinien pójść do domu i położyć się do łóżka? - Snuła rozważania, korzystając z własnych doświadczeń życiowych. - Mamusiu, co się dzieje, kiedy lekarz choruje? Czy tak jak ja musi iść do szpitala i brać ohydne lekarstwa?

- Tak, myszko, czasem musi. Lekarze to są normalni ludzie, którzy nie tylko leczą innych, ale sami też zapadają na różne choróbka.

Na szczęście pod koniec tygodnia Annie zostanie wypisana. To znaczyło, że ona, Jess, nie będzie musiała codziennie widywać się z człowiekiem, którego kochała, a który...

Ech, mniejsza z tym. Z wielkiej torby wyjęła dla Annie książeczkę i zaczęła jej czytać bajkę o amerykańskiej dziewczynce, która mieszkała u dziadków na farmie truskawkowej. Nagle uzmysłowiła sobie, że do czasu przeszczepu - zakładając oczywiście, że znajdzie się dawca - ona i Stephen będą musieli zachowywać pozory przyjaźni. Udawać, że nic między nimi nie zaszło.

Nie była pewna, czy zdoła to wytrzymać, ale wiedziała, że musi. Nie ma innego wyjścia. Kolejni Fortune'owie zgłaszali się na badania. Modliła się, aby sprawa zakończyła się pomyślnie. Czas naglił. Annie czuła się dobrze, ale prędzej czy później pozytywne skutki chemioterapii miną. Lepiej, aby do tego czasu znalazł się szpik o pożądanym właściwościach.

W ciągu tych paru dni, jakie upłynęły od ich pierwszej randki, Jess coraz bardziej lubiła Stephena, coraz bardziej mu ufała i coraz bardziej na nim polegała. Teraz wszystko się zmieniło. Zamiast otrzymać wsparcie i otuchę, będzie musiała samotnie zmagać się ze strachem i tęsknotą.

Nie traciła nadziei. Wprawdzie wyniki krwi oddanej przez młodsze siostry Natalie, bliźniaczki Allie i Rocky, okazały się negatywne, za to udało się jej wreszcie skontaktować z synem Nate'a, Kyle'em, i jego córką, Jane Bolton. Oboje zgłosili się na badanie. Wyniki miały wkrótce nadejść.

Chociaż Jess o tym nie wiedziała, bo swe prawdziwe uczucia Stephen skrywał pod maską obojętności, to jednak ich codzienne kontakty były dla niego udręką. Ilekroć na nią patrzył, pragnął wziąć ją w ramiona. Ciagle też wypominał sobie własne tchórzliwe zachowanie, kiedy przestraszony wizją przyszłości odtrącił Jess od siebie. To było niewybaczalne.

W dodatku z każdym dniem coraz większą sympatią darzył swoją małą pacjentkę. Któregoś ranka przemknęło mu przez myśl, że gdyby miał mieć córkę, to chciałby, żeby była dokładnie taka jak Annie Holmes. Marzył o tym, aby mogli zamieszkać wszyscy razem w jego domu nad jeziorem, on, Annie i Jess. Tak, marzył o rodzinie, do której mknąłby na skrzydłach i którą kochałby do szaleństwa.

Gdyby tylko nie paskudna choroba Annie! Gdyby tylko nie jej białaczka!

Nienawidził się za takie myśli. Przecież ani Jess, ani

Annie nie były winne nieszczęściu, jakie je spotkało. W żaden sposób nie sprowadziły na siebie choroby. Były dwiema cudownymi istotami, dobrymi, pięknymi, które z jakiegoś niewiadomego powodu prześladował straszny pech.

A on... niby wiedział, że miłość nie wybiera. Że zakochując się, człowiek nie dostaje gwarancji, że wybrana przez niego osoba będzie długo żyła. Ale tak bardzo cierpiał po śmierci Davida, że nie chciał znów przechodzić przez to samo. Nie był też pewien, czy pograżony w rozpaczycy umiałby pocieszyć kogokolwiek innego. Brendy nie potrafił pocieszyć. Z drugiej strony, gdyby Annie umarła, a Jess wróciła do Anglii, tego też by nie przebolewał.

Dwa dni przed wypisaniem Annie ze szpitala poprosił znajomego lekarza o zastępstwo, sam zaś postanowił wziąć udział w jednodniowej konferencji medycznej, która odbywała się w hotelu w centrum miasta. Organizatorzy wybrali Marriot City Center znajdujący się na wprost Radisson Plaza, z którego Jessica zamierzała się wyprowadzić właśnie tego popołudnia. Przynajmniej tak twierdziła Lindsay.

Słuchając referatów na temat ostatnich osiągnięć w leczeniu białaczki, z trudem mógł się skupić na tym, co mówią jego koledzy. Cały czas wracał myślą do Jessiki, do ich pocałunków i swojego zachowania w domku nad jeziorem. Wiedział, że powinien coś zrobić, bo inaczej zwariuje. Albo pogodzić się z myślą, że nie mogą być razem, albo błagać Jess, żeby dała mu jeszcze jedną szansę - i modlić się, aby los uśmiechnął się do Annie.

Jeśli nie liczyć krótkiej przerwy na lunch, która nawet nie była przerwą, bo kelnerzy przynieśli na górę sałatki, wędliny i ciasto, aby uczestnicy konferencji niepotrzebnie nie tracili czasu na schodzenie do restauracji, wykłady trwały do piątej po południu.

Gdy po zakończeniu konferencji zjeżdżał ruchomymi schodami na dół, dumając o najnowszych odkryciach i metodach leczenia, nagle usłyszał znajomy głos:

- Stephen! Poczekaj!

Odwróciwszy się, ujrzał swoją byłą żonę przeciskającą się między stojącymi na schodach ludźmi.

- Cześć. Co u ciebie słychać? - spytała przyjaznym tonem, w którym, o dziwo, nie wyczuwało się napastliwości ani nuty oskarżenia. - Prawie w ogóle się nie widzimy.

- Nic nie słychać - odparł. - Wszystko po staremu. Ale ty wyglądasz znakomicie.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Dziękuję. Ale to, że wreszcie wygrzebałam się z dołka, w którym tak długo tkwiłam, nie do końca jest moją zasługą. Po prostu poznałam kogoś...

To dlatego ma tak sprężysty krok i lśniące oczy, pomyślał. Nie był zazdrosny, przeciwnie, cieszył się z jej szczęścia i odczuwał ulgę. Przynajmniej nie musiał dłużej się zadrećzać, że przez niego - bo nie zdołał uratować syna - Brenda ma zniszczone życie.

- Chciałabym ci go przedstawić - ciągnęła po chwili, kiedy nie zareagował na jej słowa. - Usłyszeć, co o nim myślisz. Zawsze ceniłam twoje zdanie.

Nie był pewien, czy chce brać na siebie odpowiedzial-

ność, i próbował się wykręcić. Ma mnóstwo spraw do załatwienia, musi jeszcze zajrzeć do szpitala, zobaczyć, jak sobie radzą pacjenci...

Nie zdołał w porę uciec.

- O, właśnie idzie - przerwała mu, machając do łysiącego blondyna o budowie atlety.

Stephen rozpoznał jednego ze współuczestników konferencji.

- Też jest lekarzem?

Jego była żona zarumieniła się.

- No cóż, widać pociągają mnie zdolni mężczyźni, którzy bezinteresownie niosą pomoc innym - rzekła, biorąc pod rękę swego nowego przyjaciela. - Tom, to jest mój były mąż, Stephen Hunter. Stephen, przedstawiam ci Toma McCaffreya. Tom jest internistą. Pracuje jako lekarz rodzinny w Wayzacie.

Przyglądając się sobie uważnie, mężczyźni wymienili uścisk dłoni. Tom sprawiał wrażenie porządnego człowieka. Brenda mogła trafić dużo gorzej.

- Wstąpisz z nami na drinka, Stephen? - spytał Tom McCaffrey, wyraźnie zadowolony, że kobieta, którą kocha, jest na przyjacielskiej stopie ze swoim byłym mężem, lecz nie wodzi za nim rozmiłowanym wzrokiem.

Widząc błagalne spojrzenie Brendy, Stephen zgodził się towarzyszyć im do mieszczącego się na terenie hotelu baru Gustavo's. Usiedli przy jednym z niskich okrągłych stolików i zamówili po koktajlu.

Stephen modlił się w duchu, aby tylko w rozmowie nie padło imię Davida. Niestety, padło, ale dopiero później. Z początku rozmawiali o tym, gdzie Brenda

z Tomem się spotkali: podczas weekendowej wycieczki dla samotnych na wyspie Mackinac u wybrzeży Michigan.

Odrpężył się. Chociaż widok Brendy wciąż przywoływał bolesne wspomnienia, były one związane wyłącznie z chorobą i śmiercią syna, a nie z rozwodem. Miał nadzieję, że Brenda znajdzie szczęście u boku Toma McCaffreya.

Nagle zadzwieczał pager w kieszeni internisty.

- Przepraszam was na chwilę. - Tom wstał od stołu.
- Telefon komórkowy mi wysiadł. Muszę znaleźć automat i porozumieć się ze szpitalem.

Ledwo zostali sami, Brenda spoważniała. Stephen domyślił się, w jakim kierunku potoczy się rozmowa.

- Słuchaj, jesteś jedyną osobą, która mnie zrozumie. Niedawno Tom mi się oświadczył; wiem, że chce mieć dzieci, a ja... po prostu się boję. Przeraza mnie, że znów mogłabym przez dziewięć miesięcy nosić w sobie życie, potem urodzić maleństwo i... Co dalej, Stephen? Czy będę umiała normalnie funkcjonować? Czy będę potrafiła nie trząść się ze strachu, nie myśleć o tym, że mogę stracić kolejne dziecko?

Siedziała z oczami pełnymi łez, czekając na jego reakcję - na potwierdzenie, że jej obawy są słuszne i całkiem uzasadnione, albo na słowo zachęty, by uwierzyła, że śmierć Davida nie powinna przekreślić jej szansy na szczęście.

Wybrał słowa zachęty, mając nadzieję, że może tym sposobem chociaż częściowo odkupi swą winę.

- Tego, co teraz ci powiem, w zeszłym roku na pew-

no bym nie powiedział - przyznał. - Życie, Brendo, jest po to, aby się nim cieszyć. Aby iść przed siebie i szukać nowych wrażeń, a nie rozpamiętywać dawne tragedie. David chciałby, żebyśmy byli szczęśliwi. W jego imieniu radzę ci przyjąć oświadczyzny Toma.

Uśmiechnęła się promiennie.

Kiedy Tom McCaffrey wrócił do stolika, Stephen skorzystał z okazji, aby pożegnać się i odejść. Obym tylko miał odwagę zastosować się do własnych rad, pomyślał. Bo od tego, czy uwolni się od przeszłości, zależy również jego szczęście.

W tym czasie, gdy Stephen czekał, aż boy hotelowy przyprowdzi mu z parkingu samochód, Lindsay pomagała Jessice przewieźć rzeczy z Radisson do domku gościnnego nad jeziorem. Załadowawszy walizki do bagażnika, najpierw podjechały do supermarketu, żeby Jess mogła zrobić zakupy. Kiedy tak chodziły z wózkiem między półkami, wyglądały jak przyjaciółki, a nie jak dwie obce osoby, które niedawno odkryły, że są ze sobą spokrewnione.

Jeżeli Annie otrzyma nowy szpik, a Lindsay i ja zostaniemy w kontakcie, będę najszczęśliwszą kobietą na świecie, pomyślała Jess. Po chwili jednak uzmysłowiła sobie, że do pełnego szczęścia będzie jej brakowało Stephena.

Ciągle wracała pamięcią do tamtego wieczoru, kiedy Stephen oprowadzał ją po domku, a potem zaczęli się całować... Dlaczego ją odtrącił? Nie potrafiła tego zrozumieć. Rozmyślała o tym przez całą drogę, ale kiedy

już zajechały pod dom i zaczęły wnosić rzeczy z samochodu, uznała, że starczy - pora zająć się czym innym.

- Zostaniesz na kawę, Lindsay? Byłabyś moim pierwszym gościem.

Zbliżała się godzina, o której nadawano w telewizji pełny serwis informacyjny. Od dnia aresztowania Jake'a Lindsay systematycznie każdego wieczoru oglądała wiadomości; wiedziała, że dziś nie zdąży dojechać do siebie na czas.

- Oczywiście. Z przyjemnością - powiedziała. - Tylko nie mogę zostać długo. Najwyżej pół godziny. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli włączę telewizję?

Włączwszy telewizor, usiadła na wiklinowej kanapie, podczas gdy Jess przeszła do kuchni, żeby zmielić kawę. Na ekranie pojawił się adoptowany syn Moniki Malone, Brandon, trzymający w ręku dokumenty, o które prosiło go biuro prokuratora.

- Są to podpisane oświadczenia, które znajdowały się w depozycie bankowym mojej matki - oznajmił do mikrofonów opalony spadkobierca gwiazdy filmowej. - Jako wykonawca jej testamentu otworzyłem go dziś rano. Słucham? Tak, oczywiście, że zapoznałem się z ich treścią. Kiedy ma się matkę, która została brutalnie zamordowana... słucham?

- Czy mógłby pan zdradzić, co te oświadczenia zawierają? - spytał jeden z dziennikarzy.

- Ależ naturalnie. - Brandon Malone, bezrobotny aktor, promieniał w blasku fleszy. - Zawierają zeznania osób, które znały matkę Jacoba Fortune'a, panią Kate Fortune, kiedy nie była ona jeszcze żoną Benjamina i pra-

cową jako kelnerka w restauracji. Każda z tych osób stwierdza, że Kate zaszła w ciążę, zanim poznała Benjamina. Innymi słowy... - Urwał, pozwalając, by słuchający sami wyciągnęli wniosek.

- Innymi słowy Jacob Fortune nie jest, wbrew temu, co sądzono, głównym dziedzicem rodzinnej fortuny? - spytał stojący z prawej reporter.

- Na to wygląda, prawda? - odparł Brandon, wykrzywiając w chytrym uśmiechu wargi.

- Jeśli oświadczenia są autentyczne, mogłyby stanowić motyw zabójstwa. Co pan o tym sądzi? - spytał ktoś inny.

Brandon wzruszył ramionami i odpowiedział pytaniem na pytanie:

- A pan?

Na ekranie pojawił się spiker w studio, który przypomniał widzom, że Jake został zwolniony z aresztu za poręczeniem majątkowym, po czym przeszedł do innego tematu. Z grymasem niezadowolenia na twarzy Lindsay wyłączyła telewizor, po czym wzięła od Jess filiżankę kawy.

Jessica, która słyszała wywiad Brandona z dziennikarzami, nagle pomyślała sobie, że jeżeli to prawda, jeżeli Jacob nie jest synem Benjamina, to się wyjaśnia, skąd się bierze tak duża rozbieżność między antygenami Annie a jego dziećmi. Była jednak zbyt taktowna, aby powiedzieć to na głos.

- Tak zwane dowody łatwo można sfabrykować - oznajmiła. - Wcale bym się nie dziwiła, gdyby tak było w tym przypadku.

Parę minut później, nawet nie dopiwszy kawy, Lindsay pożegnała się z Jessicą. Obiecała, że jutro wpadnie po nią w drodze do szpitala. Pokonując niewielki odcinek dzielący jej dom od rodzinnej posiadłości Fortune'ów, zaczęła dumać nad czymś, co nie miało żadnego związku z dokumentami, o których Brandon Malone mówił dziś dziennikarzom.

Chociaż całe dzieciństwo Brandon spędził w Minneapolis, a potem po wyjeździe do Hollywood, gdzie pragnął zrobić wielką karierę, często wracał w rodzinne strony, aby odwiedzić matkę, Lindsay nigdy go nie spotkała. Mimo to miała dziwne wrażenie, jakby się znali, jakby widziała go nie raz i nie dwa razy, ale wielokrotnie w życiu.

Po chwili uświadomiła sobie, skąd się to brało. Choć Brandon różnił się od wszystkich Fortune'ów, to jednak jego uśmiech przypominał jej uśmiech ojca. Mieli podobne bruzdy przy wargach, a nawet podobny sposób wzruszania ramionami, kiedy nie chcieli udzielać odpowiedzi. Tak bardzo żałowała, że rodzice nie żyją. Gdyby żyli, kłopoty Jake'a zniknęłyby jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki.

Wchodząc nazajutrz rano do pokoju Annie, Stephen zdał sobie sprawę, że przyzwyczał się do codziennego widoku jej ślicznej roześmianej buzi. Chociaż cieszył się z efektów kuracji, smucił się, że teraz tak rzadko będzie widywał dziewczynkę - oraz jej matkę. Niby będą przyjeżdżać raz w tygodniu na kontrolę, ale to nie to samo.

- Jeszcze tylko jeden dzień i będziesz wolna jak ptak

- powiedział z uśmiechem, przykładając słuchawkę do serca dziewczynki.

Annie zachichotała.

- Mamusia mówiła, że będziemy mieszkać w takim ładnym domku niedaleko ciebie. - Siedziała na brzegu łóżka, mając w powietrzu chudymi nogami. - Przyjdiesz do nas w odwiedziny?

Pogłaskał ją po główce porośniętej jasnym puchem, po czym zerknął spod oka na Jessicę.

- Oczywiście, że tak - obiecał. - Jeśli tylko chcesz...

Kilka minut później zajął do pokoju lekarskiego, w którym Lindsay siedziała przy stoliku i coś sobie notowała.

- Podobno pomagałaś wczoraj Jess w przeprowadzce. Obyło się bez kłopotów?

Lekarka skinęła głową, uwagę jednak miała skupioną na historii choroby, którą uzupełniała.

- Dla niej i Annie to idealne miejsce - stwierdziła. - Jedyny problem to brak własnego środka lokomocji. Podwoziłam dzisiaj Jessicę do szpitala i zamierzam odwiedzić. Ale nie zawsze będę pod ręką.

Zamiast po pracy wrócić do domu, Stephen postanowił wstąpić do paru punktów sprzedaży używanych samochodów. Czuł się tak, jakby stał na końcu długiej trampoliny, marząc o skoku, lecz bojąc się odbicia i lotu. Ale to nie mogło trwać wiecznie. Wiedział, że musi wziąć się w garść, zacząć działać. I to szybko, bo inaczej szansa minie bezpowrotnie.

Nie był pewien, od czego zacząć. Zdawał sobie sprawę, że może już jest za późno, może zniszczył wszystko

swoim głupim zachowaniem. Może Jess wcale nie będzie chciała dać mu drugiej szansy.

Tak czy owak, problem transportu należy rozwiązać.

U drugiego dealera, którego odwiedził, dojrzał nieduże autko brytyjskie, MG midget, zielone, z czarnym opuszczanym dachem, za śmiesznie niską cenę. Chociaż był to stary model, to sądząc po karoserii, samochód był w doskonałym stanie. Tak się dziwnie składało, że jako student medycyny jeździł identycznym, a w ramach oszczędności sam dokonywał drobnych napraw.

Zdjął marynarkę, podwinął rękawy, następnie poprosił sprzedawcę, aby podniósł maskę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Sprawdził wszystko, co można było sprawdzić w stojącym wozie. Silnik był brudny, ale poza tym Stephen nie miał żadnych większych zastrzeżeń.

Uznał, że czas odbyć jazdę próbną. Pół godziny później wrócił zadowolony na placyk przed sklepem. Wystarczyło wyregulować jedną czy dwie rzeczy i auto świetnie będzie się nadawało, może nie na długie wycieczki, ale na pewno na jazdę po mieście. Teraz należy przywieźć tu Jess i zobaczyć, czy samochód jej odpowiada.

W czwartki Lindsay zwykle pracowała do późna, może więc Jess jeszcze będzie w szpitalu. Wydobywszy telefon komórkowy, wybrał numer centrali szpitalnej i poprosił telefonistkę o połączenie go z pokojem Annie. Ponieważ Jess z córką była w Minneapolis od niedawna i prawie nikogo tu nie znała, w jej głosie, gdy podniosła słuchawkę, pobrzmiwała nuta zdziwienia.

- Cześć, mówi Stephen - powiedział, jak gdyby nig-

dy nic. - Słuchaj, wybrałem się po obchodzie na małą przejażdżkę i znalazłem dla ciebie idealny samochód. Skoro przez kilka najbliższych miesięcy będziesz mieszkała na terenie posiadłości Fortune'ów, musisz mieć jakiś środek transportu. Gdybyś zostawiła wiadomość dla Lindsay, że wychodzisz ze mną, to bym ci go pokazał. Co ty na to?

Przez chwilę milczała zaskoczona.

- Masz rację z tym środkiem transportu - stwierdziła wreszcie, tonem może niezbyt ciepłym, ale i nie tak chłodnym, na jaki zasługiwał. - Sama o tym myślałam. O, właśnie weszła Lindsay... Słuchaj, jeśli mnie później odwiedzisz, to może rzeczywiście rzuciłabym okiem na ten samochód.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Bo ja wiem? - Krążyła niepewnie wokół MG, ze sceptyczną miną oglądając je ze wszystkich stron. - Te auta mają zagorzałych zwolenników i równie zagorzałych przeciwników. Mój wuj powiadał, że jest to wymarzony samochód dla mechanika, bo ciągle coś w nim nawala. A psujący się samochód to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję.

Stephen wzruszył ramionami.

- Jak chcesz - powiedział. - Moim zdaniem samochodzik jest prześliczny. Obejrzałem silnik i uważam, że za tę cenę drugiego takiego nie znajdziesz. A jeśli chodzi o naprawy, to trochę się na tym znam. Miałem identyczny, kiedy studiowałem.

Jess wytrzeszczyła oczy. On, lekarz hematolog, zna się na silnikach i naprawiłby jej samochód, gdyby coś się w nim zepsuło?

- Więc gdybyś stracił pracę w szpitalu, mógłbyś zostać mechanikiem samochodowym?

Wybuchnęli śmiechem - i to wreszcie przełamało lody.

- Chodź, przejedziemy się. Może się sobie spodobacie?

Po próbnej jeździe, która trwała co najmniej pół godziny - dotarli do Minnehaha Park, gdzie obejrzeni

rzeźby Minnehahy i Hiawathy, a także piętnastometrowy wodospad - zachwycona autkiem Jess nie miała żadnych wątpliwości. Wiedziała, że mały zielony kabriolet wzbudzi też zachwyt córki. Oczywiście Annie będzie musiała wkładać czapkę, żeby się nie przeziębic.

Wypisując czek, kątem oka obserwowała, jak Stephen jeszcze raz wszystko sprawdza.

- Na wszelki wypadek będę jechał za tobą - obiecał.

Zadowolona, że stosunki między nimi się poprawiły, nie zamierzała się sprzeciwiać. Ilekroć po drodze patrzyła w lusterko, robiło się jej miękko koło serca.

Kiedy zatrzymała się przed bramą i sięgnęła do torebki po kartę magnetyczną zwalniającą blokadę, Stephen wysiadł z mercedesa i podszedł do niej.

- Prowadzisz jak mistrz kierownicy - zauważył, gdy otworzyła okno. - Nie przeszkadza ci brak automatycznej skrzyni biegów?

Uśmiechnęła się.

- Nie. Cortina, którą jeżdżę w Anglii, też ma ręczną zmianę biegów. Jestem przyzwyczajona.

Nie chciał się z nią rozstawać, ale nie wiedział, jak się zachować. Niby mógł spytać, czy nie zaprosiłaby go na herbatę albo kawę, trochę jednak bał się, że usłyszy odmowę.

- Słuchaj - powiedział w końcu. - Wiem, że jest późno i pewnie jesteś zmęczona. I pamiętam, że nasze ostatnie spotkanie miało niefortunny finał z powodu mojej głupoty. Bardzo tego żałuję. Wiele rzeczy sobie przemyślałem i... Chciałem cię spytać, czy dałabyś mi jeszcze jedną szansę i poszła ze mną na kolację?

Przechyliwszy na bok głowę, przez chwilę przyglądała mu się bez słowa.

- Nie, nie poszłabym - oznajmiła po namyśle; jutro rano miała przywieźć Annie do domu. - Ale chętnie sama przyrządzę dla nas kolację.

Nie zaprotestował.

Nastał wrzesień i, jak zwykle we wrzeźniu, wieczory stały się chłodne. Stephen postanowił rozpalić w kominu. Kiedy płomienie strzelały wesoło, zajął do kuchni. Jess właśnie kończyła przygotowywać zapiekankę. W ceramicznym żaroodpornym naczyniu leżała warstwa tłuczonych ziemniaków, na niej cienko pokrojona marchewka, podsmażona cebula, kawałki baraniny, a wszystko polane było gęstym sosem.

Jedli przy stole kuchennym w ciepłym blasku zawieszanej u sufitu lampy witrażowej. Z każdą minutą Stephena ogarniała coraz większa radość.

Obserwując Jess, jak podnosi do ust widelec, jak przechyla głowę, a od czasu do czasu wybucha śmiechem, pomyślał sobie, że nie miała łatwego życia. Choroba Annie, a wcześniej śmierć męża w wypadku. Podobno byli małżeństwem sześć lat. Sprawiała wrażenie osoby staromodnej, z zasadami, a jednak tamtego dnia gotowa była się z nim kochać. Ciekawe...

Pragnął jej nie tylko fizycznie. Pragnął jej obecności, towarzystwa. Nie chciał, by znikła z jego życia. Bał się ryzyka, ale wiedział, że nie zmarnuje drugiej szansy, jaką mu dała. Po kolacji oboje sprzątnęli ze stołu, pozmywali naczynia, po czym przeszli do salonu i usiedli na wiklinowej kanapie przy kominku. Jess oparła głowę na ra-

mieniu Stephena. Przez kilka minut wpatrywali się w płomień, nie zdołali jednak utrzymać rąk przy sobie. Ich pocałunki, z początku delikatne i nieśmiałe, stawały się coraz bardziej namiętne.

- Pozwól mi zostać na noc - poprosił, na moment odrywając usta od jej warg. - Proszę cię, kochanie. Przyrzekam, że tym razem nie zrejteruję.

Czy mogła mu zaufać? Zresztą, co za pytanie! Pragnęła go, potrzebowała...

- Dobrze, ale jeśli nagle się poderwiesz, jeśli zostawisz mnie nagą i rozpaloną, będę zmuszona poszukać dla Annie nowego lekarza - rzekła. - A bardzo bym tego nie chciała.

On też tego nie chciał. Annie była jego pacjentką. Zależało mu na niej. Przysiągł sobie, że uczyni wszystko, aby tylko wyzdrowiała.

- Na pewno nie ucieknę - obiecał solennie.

Zaczęli się rozbierać.

- Wiesz co? Kochajmy się na podłodze - zaproponowała Jess. - Na poduszkach przed kominkiem. Ogień nas ogrzeje.

Znalazłam mężczyznę swoich marzeń, pomyślała pijana ze szczęścia. I będzie ze mną aż do wschodu słońca.

Ona jest piękna, ponętna niczym bogini, pomyślał on, radując zmysły jej widokiem.

A potem oboje pograżyli się w cudownym intymnym świecie pieszczot, pocałunków i rozkoszy.

Stephen dotrzymał słowa. Wraz z nadejściem poranka leżał obok niej na łóżku, przykryty ciepłym wełnianym kocem. Przyzwyczajony do wczesnych pobudek otworzył oczy, gdy ona jeszcze spała.

- Jess, kochanie - szepnął, kiedy poruszywszy się, mruknęła coś przez sen. - Zapomnieliśmy uprzedzić Lindsay, że kupiłaś samochód. Lepiej żeby mnie tu nie było, kiedy wpadnie po ciebie w drodze do szpitala. Słyszysz? Zobaczymy się przed południem, kiedy przyjdę wypisać Annie do domu.

Annie zachwycona była domem nad jeziorem, a także ilością gier, książek i zabawek, które Jessica jej kupiła. Ucieszyła się na widok Stephena, kiedy wpadł wieczorem na kolację, i z prezentu, jaki jej wręczył - domku dla lalek pełnego ślicznych małych mebelków, w którym mieszkała czteroosobowa rodzina lalek. Nie zdziwiła się, że większość weekendu Stephen spędza z nią i jej mamą, wracając do siebie jedynie na noc. W poniedziałek, kiedy od rana do wieczora zajmował się chorymi w szpitalu, z dziecięcą szczerością stwierdziła, że bez niego dom wydaje się pusty.

W poniedziałek rano, po raz pierwszy od momentu aresztowania, Jake Fortune pojawił się w biurze. Widocznie jednak policja cały czas śledziła jego ruchy i przekazywała sobie drogą radiową informacje, gdzie jest i w jakim kierunku zmierza, bo gdy kierowca dowiózł go na miejsce, przed siedzibą firmy czekał na niego - niczym stado wygłodniałych wilków - tłum dziennikarzy.

Ignorując pytania, które w znacznej mierze dotyczyły kwestii jego pochodzenia oraz podpisanych oświadczeń służących Monice Malone do szantażu, oraz osłaniając

twarz przed kamerami i błyskającymi raz po raz fleszami aparatów fotograficznych, wszedł do budynku, a potem windą ekspresową wjechał na ostatnie piętro.

Jego wierna sekretarka Joan Carmody jak zawsze powitała go z szacunkiem.

- Witamy z powrotem, szefie. - Uśmiechnęła się serdecznie. - I w imieniu wszystkich pracowników chciałabym panu powiedzieć, że wierzymy w pańską niewinność.

Zażenowany sytuacją, w jakiej się znalazł, Jake mruknął coś pod nosem, dziękując za wsparcie i słowa otuchy.

- „Wall Street Journal” leży na biurku - dodała Joan. - I zaraz przyniosę panu kawę. Proszę mnie wezwać, kiedy będzie pan gotów zająć się pocztą. Stosy dokumentów czekają na podpis lub akceptację.

Zaopatrzony w czarną kawę, chociaż wolałby szklaniczkę whisky, Jake przejrzał gazetę. Jego przypuszczenia się potwierdziły: akcje Fortune Industries wciąż spadały. Pomyślał sobie, że jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce znajdzie się ktoś chętny do przejęcia firmy. Wiedział, że musi coś zrobić, by zahamować spadek akcji - i to już, przed wyznaczonym na jesień walnym zgromadzeniem akcjonariuszy.

Półtorej godziny później, kiedy przejrzał mniej więcej jedną trzecią najważniejszych dokumentów piętrzących się na biurku, zaproponował, by Joan zrobiła sobie przerwę na drugie śniadanie. Był to niezbyt fortunny krok. Nowa asystentka, która została na warcie, nie miała dość autorytetu, aby zabronić Nate'owi wejścia.

- Ha! Widzę, że znów się panoszymy - oznajmił iro-

nicznym tonem Nate, siadając naprzeciw biurka. - I co? Od rana jeszcze w nic nie wdepnąłeś? Słusznie, braci-szku! Wiszący ci nad głową, a co za tym idzie i nad firmą, zarzut o morderstwo całkowicie nam wystarczy, prawda?

Odkąd dowiedział się od Moniki, że może nie jest synem Bena, Jake odczuwał w stosunku do Nate'a kompleks niższości. Jego frustrację dodatkowo potęgowały podejrzenia policji, że to on zabił Monicę, oraz strach o przyszłość firmy. A jakby tego było mało, niedoszły aktorzyna Brandon Malone ujawnił dziennikarzom treść oświadczeń, które służyły Monice do szantażu. Niewykluczone, że Nate skontaktował się z synem aktorki, żeby dowiedzieć się szczegółów.

- To prywatny gabinet - zauważył Jake, starając się pohamować gniew. - Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciał wyjść. Na wizytę należy się wcześniej umówić. Jak widzisz, mam mnóstwo pracy.

- O tak, pracy faktycznie się nabierało. - Nate nie miał zamiaru potulnie spełnić prośby brata. - Gdyby to zależało wyłącznie od ciebie i tej butelki whisky, którą trzymasz w szufladzie, firma już dawno by zbankrutowała. Na szczęście wiele osób, między innymi ja, stara się do tego nie dopuścić. Ale nie wszystko da się zrobić, będąc na podrzędnym stanowisku. Posłuchaj, Jake. Jeżeli zależy ci na uratowaniu firmy, którą zbudowali nasi rodzice, powinieneś tymczasowo zrezygnować z funkcji prezesa i przewodniczącego rady nadzorczej. Pozwól mi zająć się wszystkim, przynajmniej dopóki nie skończy się ta żałosna farsa...

Podobnie jak Joan Carmody, Nate wierzył w niewin-

ność Jake'a, ale ten, urażony ostrym tonem brata i treścią jego żądań, słyszał jedynie słowa krytyki.

- Chciałeś chyba powiedzieć: firmy, którą zbudowała nasza matka i twój ojciec, prawda? - spytał. - Słyszałeś te rewelacje, które Brandon Malone ujawnił w piątek dziennikarzom? Pewnie nie posiadałeś się ze szczęścia?

Na twarzy Nate'a pojawił się wyraz oburzenia.

- Czyś ty zwariował, Jake! Do jasnej cholery, jesteś moim bratem bez względu na to, kto był twoim ojcem. Przyznaję, trochę mnie zaciekawiło...

Do Jake'a jednak nic nie docierało, żadne słowa, żaden dźwięk poza głośnym dudnieniem w skroniach. Wstał z fotela i obszedł biurko.

- Nie mam zamiaru ustępować! Wybij to sobie z głowy! - Pchnął Nate'a, który również wstał. - A teraz wynocha stąd! Następnym razem, jak będziesz chciał tu przyjść, poproś sekretarkę, żeby cię zapisała na wizytę!

Wychowani w tym samym domu, przez tego samego władczego człowieka, mieli identycznie wybuchowe charaktery.

- Zabierz łapy, ty durna pało! I nie waż się mnie więcej popychać - zagroził Nate. - Bo jak się odwinę, jak ci przyłożę...

Na szczęście dla obydwu akurat w tym momencie z przerwy śniadaniowej wróciła Joan.

- Czy coś się stało, szefie? - spytała, stając w drzwiach, które łączyły jej pokój z gabinetem Jake'a.

Jake zarumienił się po uszy; zrobiło mu się wstyd, że obca osoba jest świadkiem jego kłótni z bratem.

- Mój brat właśnie wychodzi - oznajmił. - A na

przyszłość, Joan, uprzedź tę nową dziewczynę, żeby nie wpuszcziała do mnie nie zapowiedzianych gości.

Po wyjściu Nate'a łyknął kilka tabletek aspiryny i z pomocą Joan wkrótce uporał się z większością dokumentów leżących na biurku. Nawet zdołał się nieco odprężyć, zapomnieć o kłopotach. Kiedy jednak stary szwajcarski zegar stojący na stoliku pod ścianą wybił południe, uznał, że ma już dość. Obróciwszy się na wygodnym skórzanym fotelu, tak by siedzieć twarzą do okna, wpatrywał się w krajobraz miejski, dumając nad tym, w jaki sposób mógłby sobie poprawić humor.

Jego myśli krążyły wokół Eriki.

Nie widział jej od dnia, w którym sędzia zwolnił go za kaucją. A wielką miał na to ochotę. Przypomniawszy sobie, jak w dawnych czasach dzwonił do żony, prosząc, aby spotkała się z nim na mieście, z dala od domu, dzieci i firmy.

Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby dziś do niej zadzwonił, tak znienacka, i zaprosił ją na lunch. Był trzeźwy, umyty, ogolony, ubrany w elegancki garnitur. Gdyby poszli do jakiegoś lokalu na obrzeżach miasta, gdzieś, gdzie wcześniej nie bywali i gdzie nikt go nie znał, może zdołaliby zjeść w spokoju i porozmawiać? Jak dwoje normalnych ludzi.

Chwycił telefon i wykręcił numer do domu, który kiedyś był jego domem. Odpowiedziała po czwartym dzwonku; głos miała zdyszany.

- Jake? Co za niespodzianka! - ucieszyła się. - Z czym dzwonisz? Mogę ci jakoś pomóc?

- Pomóc nie. Ale mogłabyś pójść ze mną na lunch, jak za dawnych dobrych czasów. Co ty na to? Tylko ze

względu na moją „sławna” twarz, musielibyśmy zrezygnować z ulubionych restauracji i wybrać się do jakiejś podrzędnej knajpki.

Miała ochotę skakać do góry z radości. Jake stęsknił się za nią! Chciał się z nią widzieć.

- Chętnie - odparła, starając się zachować neutralny ton. - Znam odpowiedni lokal w pobliżu mojej uczelni. Ale potrzebuję pół godziny, żeby się oporządzić. Jestem cała umorusana, bo właśnie oprowadzałam po ogrodzie nowego ogrodnika. Pewnie słyszałeś, że Jamie niedawno miał zawał?

Nie słyszał. Życie toczyło się dalej bez jego udziału.

- Biedaczysko - powiedział po chwili. - Pozdrów go ode mnie. To co? Przyjechać po ciebie?

Już miała się zgodzić, ale potem zmieniła zdanie. Wołała się spotkać w restauracji. Po południu wybierała się na wykład, a przy okazji chciała zwrócić książki do biblioteki.

Na początku, kiedy wpadła na pomysł studiów, był zły. On tu przechodzi kryzys wieku średniego, a jego żona postanawia zabawiać się w studentkę. Z czasem jednak - choć może trochę zbyt późno - zaakceptował jej decyzję.

- W porządku. Za trzy kwadransy? - spytał, zapisując na kartce nazwę restauracji i adres.

Nie musiał się obawiać, że w lokalu wybranym przez żonę ktokolwiek go rozpozna. Miejsce było hałaśliwe i zatłoczone, większość bywalców stanowili studenci, na ogół młodszy od Allie i Rocky, jego dwóch najmłodszych pociech. Poprosiwszy kierowcę, aby wrócił po niego za godzinę, Jake wszedł do środka. Nie od razu dostrzegł

Ericę, może dlatego że wyglądała co najmniej dziesięć lat młodziej niż elegancka dama, którą przez moment widział w sądzie.

Miała na sobie szarą bluzkę i szary kaszmirowy sweter, krótką spódniczkę w szaro-zieloną kratkę oraz szare zamszowe buty na płaskim obcasie. Ciemne rajstopy podkreślały jej cudownie zgrabne nogi. Srebrzystoblond włosy miała rozpuszczone; tylko dzięki ozdobnej spince nie wpadały jej do oczu.

- Nie różnisz się od obecnych tu dziewczyn - powiedział, siadając naprzeciw niej.

- Dzięki za komplement. - Uśmiechnęła się. - Powiedz, co u ciebie słychać?

Do stolika podeszła kelnerka. Erica zamówiła sałatkę, on dużego hamburgera z frytkami i meksykańskim sosem, po czym wrócili do przerwanej rozmowy, która się rzeczy zeszła na temat konferencji prasowej Brandona Malone'a. Ku zdumieniu Eriki Jake mniej się przejmował tym, że treść oświadczeń może być postrzegana jako motyw zabójstwa, a bardziej tym, iż to nie Ben jest jego ojcem.

- Myślisz, że osoby, do których dotarł wynajęty przez Monicę detektyw, mówiły prawdę? - spytała. Po chwili mówiła dalej: - Wiesz, chciałam do ciebie zadzwonić i spytać, czy badałeś się jako potencjalny dawca szpiku dla córki Jessiki Holmes, kiedy akurat podano w telewizji informację o treści oświadczeń. Odłożyłam słuchawkę, bo uznałam, że jeśli to prawda, szansa na zgodność szpiku między tobą a Annie... właściwie między którymkolwiek z naszych dzieci a Annie jest właściwie zerowa,

Zasepił się. Żonie nie robiło różnicy, czyim jest synem! Zamiast się ucieszyć, że dla Eriki liczy się jako człowiek, a nie jako dziedzic potężnego i bogatego rodu, wpadł w jeszcze większe przygnębienie. Skoro żona uważa, że oświadczenia zawierają prawdę, to pewnie rzeczywiście tak jest.

Erica widziała, że Jake się od niej oddala. Stawał się coraz bardziej zamknięty w sobie, bez apetytu jadł hamburgera, frytki zostawił prawie nietknięte, co mu się nigdy nie zdarzało. Rozmowa ograniczała się do tego, że on ją błagał, by zapewniła dzieci o jego niewinności, a ona tłumaczyła mu, że nie potrzebują żadnych zapewnień; wiedzą, że ich ojciec nie mógłby skrzywdzić muchy.

Nie wspominał o tym, że chciałby wrócić do domu, podjąć jeszcze jedną próbę uratowania małżeństwa. Nie próbował też zapewniać jej o swojej niewinności. Tak bardzo się ucieszyła, kiedy do niej zadzwonił; miała nadzieję, że mimo kłopotów coś się między nimi zmieni. W trakcie posiłku coraz bardziej tę nadzieję traciła. Kiedy się rozstawali, była wręcz przekonana, że to koniec. Że czeka ich już tylko rozwód.

Dopiero gdy odjechała nową hondą, a on siedział na tylnym siedzeniu eleganckiej limuzyny zmierzającej w kierunku jeziora, uświadomił sobie, jak bardzo mu Eriki brakuje. Zwłaszcza podczas długich bezsennych nocy. Marzył o tym, by znów się do niej przytulić...

Kiedy Jake zbliżał się do domu, jego brat Nate, który mieszkał w gustownie urządzonej willi w jednej z najdroższych dzielnic Minneapolis, opowiadał swojej drugiej żonie, cierplivej i kochającej Barbarze, o wizycie w Fortune Industries i dążeniu Jake'a do zniszczenia firmy.

- Mówię ci, to głupi, uparty osioł! - Chodził tam i z powrotem po pięknym orientalnym dywanie zdobitym podłogę w salonie. - Żadne argumenty do niego nie trafiają! Jeżeli jako szef Fortune Industries będzie sądzony za morderstwo Moniki Malone, stracimy rodzinny biznes. To niesprawiedliwe ani wobec mnie, Lindsay i Rebeci, ani wobec naszych dzieci. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo bym chciał, żeby nasza matka żyła. Może ona zdołałaby przemówić mu do rozumu.

W następny weekend Jess zaprosiła Toddów z dziećmi i Stephena na wczesną kolację. Obie z Lindsay były zachwycone, że dzieci przypadły sobie do gustu, zwłaszcza siedmioletnia Chelsea natychmiast zaprzyjaźniła się z Annie. Po raz pierwszy od przyjazdu do Stanów córka Jessiki czuła się na tyle dobrze, aby swobodnie biegać po ogrodzie.

- Mam nadzieję, że dziewczynki będą się częściej widywać - powiedziała Jess, żegnając się z Toddami. - Szkoda tylko, że Cartera nudzą lalki i zabawa w dom.

Stephen został chwilę dłużej. Najpierw pomógł Jessice pozmywać naczynia, potem przez kilka minut czytał Annie bajki na dobranoc, dopóki Jess nie przyszła utulić córki do snu.

Minał ponad tydzień, odkąd kochali się na podłodze przy kominku, a później w sypialni. Od tamtego wieczoru nieustannie pieścili się - lecz tylko wzrokiem - nic więc dziwnego, że od razu po powrocie Jess do salonu padli sobie w ramiona.

- Pozwól mi zostać do rana - szepnął jej do ucha. - Annie nawet się nie zorientuje...

- Mylisz się - powiedziała Jess, delikatnie uwalniając się z jego objęć. - Odkąd zachorowała, ma bardzo lekki sen. Mogłaby wejść do sypialni i... Nie chcę gorszyć dziecka.

Chcąc nie chcąc, przyznał Jessice rację. Przeprosił ją za swoją bezmyślność. Co nie znaczyło, że przestał jej pragnąć. Wkrótce potem odprowadziła go do drzwi.

- Musi być jakiś sposób, abyśmy mieli wieczór dla siebie - rzekł, tuląc ją mocno na pożegnanie.

Widział dwa rozwiązania. Jedno - to zatrudnić na kilka godzin opiekunkę do dziecka. Nie sądził jednak, aby Jess zgodziła się powierzyć swoje chude dziecko o główce porośniętej delikatnym puchem opiece obcej osoby. Drugie - to wziąć ślub. A tego z kolei on się bał. Nie małżeństwa, lecz sytuacji, jaka powstanie, jeżeli nie znajdzie się szpik dla Annie albo przeszczep zakończy się niepowodzeniem.

W głównej rezydencji osłoniętej od ulicy kępą drzew Jake nalał sobie kolejną szklanekę whisky. Martwił się o akcje, które w kilku ratach sprzedał Monice, chcąc zapewnić sobie jej milczenie. Pozbywając się akcji, pozbawiał się władzy. Jeżeli Nathaniel postanowi usunąć go z funkcji prezesa i uzyskać poparcie innych niezadowolonych udziałowców, wkrótce on, Jacob Fortune, nie będzie miał w sprawach firmy nic do powiedzenia.

Musi odzyskać dawne akcje. Ale jak? Odrzucił pomysł zwrócenia się do Brandona Malone'a z prośbą, aby mu je odsprzedał. Jako człowiek oskarżony o zabójstwo Moniki raczej nie mógł liczyć na przychylność jej syna. Bez

względu na cenę, jaką by mu zaproponował, Brandon nie miał powodu iść mu na rękę.

Po drugiej szklance whisky myśli Jake'a potoczyły się innym torem. Zdaniem Gabriela Devereax, detektywa, którego zatrudnił Sterling Foster, sprawa spadkowa po zamordowanej gwiazdce filmowej może się ciągnąć latami. Zresztą jej syn i tak na niewiele mógł liczyć. Jeden murszący dom w Minneapolis, drugi w nie najlepszym stanie w Kalifornii, akcje Fortune Industries i najwyżej kilkaset tysięcy dolarów - tylko tyle zostanie po spłaceniu długów. W sumie niewiele, jak na hollywoodzkie standardy.

Wszyscy w Minneapolis wiedzieli, że trzydziestosiedmioletni adoptowany syn Moniki marzy o karierze aktora. Od śmierci matki prowadził rozmowy w sprawie nabycia małej wytwórni filmowej. Niestety, brakuje mu pieniędzy. Może skusiłby go zastrzyk gotówki? Może...

Im dłużej Jake o tym myślał, tym bardziej pomysł mu się podobał. Nie będę mięczakiem, postanowił. Nie będę siedział z założonymi rękami. Trzeba działać. Oczywiście, akcje jeszcze nie należały do Brandona, ale mogliby zawrzeć jakieś wstępne porozumienie.

Z odkupionymi akcjami wciąż byłby jednym z największych udziałowców firmy. A Brandon wzbogaciłby się co najmniej o kilka milionów. Chyba starczyłoby mu na nakręcenie filmu niskobudżetowego z sobą w roli głównej?

Kierowany impulsem, zadzwonił do Gabriela Devereax i poprosił o numer telefonu i adres Brandona. Detektyw dał mu je niechętnie, ostrzegając, by trzymał się

z daleka od spadkobiercy Moniki Malone. Jake mu to obiecał, po czym, nalawszy sobie trzecią szklanekę whisky, wykręcił numer w Kalifornii.

Odpowiedziała kobieta z filipińskim akcentem. Na prośbę Jake'a zawołała Brandona do telefonu.

- Ta? - mruknął niecierpliwie syn Moniki.

- Mówi Jake Fortune z Minneapolis. - Pod wpływem alkoholu słowa mu się zlewały. - Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia.

Zdaniem prokuratora Jacob Fortune zamordował Monikę. Brandon nie miał powodu podawać tego oskarżenia w wątpliwość. Sam też uważał, że prezes Fortune Industries mógł to zrobić - na pewno miał motyw.

- To jakiś żart, prawda? - spytał.

- Wcale nie - zapewnił go Jake. - Przejdę od razu do sedna. Twoja matka szantażem zmusiła mnie do sprzedania jej znacznej części moich akcji. Chcę je odkupić. Dam ci dwadzieścia procent więcej, niż byś dostał na Wall Street. Będziesz mógł nakręcić film, nie czekając, aż się zakończy postępowanie spadkowe. Oficjalnie akcje odbiorę po roku czy dwóch, kiedy... no, wiesz...

Uświadamiając sobie, że rozmówcą faktycznie jest Jacob Fortune i że mówi najzupełniej serio, Brandon zaczął się nerwowo zastanawiać, co robić. Czyżby nadarzała się okazja pomszczenia śmierci matki? Po chwili poprosił swego rozmówcę, aby powtórzył swoją propozycję.

- To jak? - spytał w końcu Jake. - Dogadamy się?

Wiedząc, że zgodnie z warunkami zwolnienia za kaucją Jake nie może opuszczać miasta, Brandon szybko obmyślił plan.

- Masz rację, potrzebuję forsy - przyznał speszonym tonem. - Problem w tym, że potrzebuję jej natychmiast. Nie za trzy dni, nie za tydzień, ale już. Jeżeli możesz przylecieć do mnie od razu, najlepiej jeszcze dziś wieczorem, dobijemy targu. Jeśli nie, to nie.

Mając stępioną od whisky zdolność logicznego rozumowania oraz mocno stępiony instynkt samozachowawczy, Jake ucieszył się, zupełnie jakby wyjazd do Kalifornii i możliwość odkupienia akcji uratowały mu życie. Pogratulował sobie w duchu, zadowolony, że przejął inicjatywę w swoje ręce i wykonał tak mądry, odpowiedzialny krok.

- Już jadę na lotnisko - oznajmił. - Odezwę się, jak wyląduję na miejscu.

Rozłączywszy się, wykręcił numer linii lotniczych, którymi najczęściej latał, i zarezerwował bilet pierwszej klasy. Uznając, że jest za późno, by budzić kierowcę, którego zwolnił do domu kilka godzin temu, postanowił sam odwieźć się na lotnisko. Z sejfów w bibliotece wyjął książeczkę czekową, chwycił płaszcz i ruszył do garażu, gdzie stał porsche. Żwirową drogą dotarł do elektronicznie zamykanej bramy.

Jake, staruszkę, pomyślał; bez względu na to, czyim jesteś synem, Ben Fortune byłby z ciebie dumny.

Aż dziw, że nie został zatrzymany za jazdę po pijanemu, jechał bowiem z nadmierną szybkością, co chwila zmieniając pas i wyprzedzając wszystkie guzdrały na drodze. Zapłaciwszy kartą za bilet, trafił do właściwego wyjścia. W samolocie wypił kolejną szklanekę whisky, po czym zasnął. Spał przez resztę drogi, nieświadom tego,

iż Brandon Malone powiadomił policję, że Jacob Fortune, który ma sądowy zakaz opuszczania okręgu Hennepin, właśnie jest w drodze do Kalifornii.

Kiedy w samolocie pojawił się napis o zapięciu pasów i pilot zaczął schodzić do lądowania, Jake obudził się. Ponieważ przez drogę zdążył wytrzeźwieć, przeraził się swoją lekkomyślnością. Uzmysłował sobie, że jeżeli zostanie zatrzymany, natychmiast trafi za kratki. Zrobiło mu się słabo. Rany boskie, co mu strzeliło do głowy? Było jednak za późno, by mógł cokolwiek zmienić. Postanowił, że załatwi sprawę z Brandonem najszybciej jak się da, a potem na fałszywe nazwisko kupi bilet powrotny do Minneapolis.

Nerwowo wyglądał przez okno, kiedy boeing 757 kołował po płycie lotniska. Wsiadł z samolotu za rodziną z czwórką dzieci. W pierwszej chwili sądził, że mu się udało, ale kiedy ruszył szerokim korytarzem w stronę ogromnej hali, nagle ktoś położył rękę na jego ramieniu.

- Jacob Fortune? - powiedział niski głos tuż nad jego uchem. - Jest pan aresztowany za złamanie zakazu opuszczania miejsca zamieszkania. Ma pan prawo zachować milczenie...

Jake skulił się; czuł na sobie zaciekawione spojrzenia współpasażerów i tysiący innych podróżnych. Wkrótce potem, przykuty do policjanta z komendy głównej w Los Angeles, leciał z powrotem do Minneapolis.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tak jak się można było spodziewać, zwolnienie za kaucją zostało cofnięte przez tego samego sędziego, który je wydał i który miał przewodniczyć rozprawie. Nie dość, że Jake musiał wrócić do aresztu, musiał również wysłuchać ostrej reprimendy, którą dziennikarze, zarówno prasowi, jak i telewizyjni, sumiennie nagrali, a potem puścili w mediach.

- Najwyraźniej nie rozumie pan i dlatego trzeba mu przypomnieć, że wszyscy obywatele tego kraju są równi w oczach prawa, bez względu na to, czy żyją na skraju nędzy czy, jak pan, zajmują wysoką pozycję w społeczeństwie - oznajmił srogim tonem sędzia. - Kiedy sąd ustala warunki zwolnienia za kaucją, każdy, i bogaty, i biedny, stojący wysoko na drabinie społecznej, i nisko, musi ich bezwzględnie przestrzegać. Pan jednak postanowił z nich zakpić. Skoro tak, będzie pan czekał na proces w areszcie. Proszę nie myśleć, że sąd ponownie rozpatrzy pozytywnie jakąkolwiek pańską prośbę o zwolnienie za poręczeniem majątkowym.

Przygnębiony i upokorzony, Jake ze zwieszoną głową wrócił do celi. Nie dość, że rozgniewał Sterlinga i Silbermana, to jeszcze podpadł sędziemu. A Brandon Malone pewnie gratulował sobie przebiegłości. Drań przy-

gotował pułapkę, a ja, pomyślał Jake, wpadłem w nią jak ostatni kretyn.

Drzwi celi zatrzasnęły się z łoskotem, odseparowując go od rodziny, od firmy, nad którą brat usiłował przejąć kontrolę, od reszty świata.

Tak, Brandon Malone zrobił z niego balona.

Po chwili uświadomił sobie, że właściwie sam się o to prosił. I w pełni zasłużył na to, co go spotkało.

Kiedy Erica dowiedziała się o kolejnych kłopotach Jake'a, wprost nie mogła uwierzyć. Czy to ten sam mężczyzna, którego poślubiłam? - zastanawiała się. Ojciec moich dzieci? A może ktoś się pod niego podszywa? Jake, którego znała, był zbyt mądrym i rozsądnym człowiekiem, by postąpić tak nieodpowiedzialnie. Ale Jake, którego znała przed laty, zmienił się; między innymi dlatego ich małżeństwo zaczęło się psuć.

Łatwo byłoby zwalić winę na alkohol. Na problemy w pracy. Na Monicę Malone, która szantażowała go, że ujawni prawdę o jego pochodzeniu. Ale nie to było główną przyczyną załamania Jake'a. Chodziło o coś znacznie głębszego, o brak wiary we własne siły i możliwości, o niezadowolenie z samego siebie i swojego życia.

Wiedziała, że w obecnym stanie przygnębienia Jake nie ucieszy się z jej wizyty, ale nie zamierzała się tym przejmować. Chciała się z nim zobaczyć, nawiązać od nowa kontakt. Wyciągając z szafy elegancki kostium, nagle przypomniała sobie zdjęcie w prasie przedstawiające Jake'a w więziennym stroju. Schowała kostium z powrotem do szafy; kontrast w ubiorze pogłębiłby istniejącą między nimi przepaść. Skany Anula43, przerobienie pona.

Z twarzą niemal całkiem pozbawioną makijażu, z włosami uczesanymi w koński ogon, ubrana w szary bawełniany dres i tenisówki, stała wśród tłumu przyjaciół, krewnych, żon i kochanek czekających na widzenie.

Nie była pewna, czy Jake podejdzie do wyznaczonego stanowiska, ale po chwili zobaczyła go, jak powłócząc nogami, idzie w jej stronę, nie ogolony, z miną zbitego psa.

- Erico... niepotrzebnie przyszedłeś - zaprotestował, napotykając jej wzrok. - To nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie.

- Wciąż jesteś moim mężem, Jake. Ojcem naszych dzieci. I wciąż... - Chciała powiedzieć, że wciąż go kocha, ale się powstrzymała. - I zastanawiałam się, czy mogę ci w jakikolwiek sposób pomóc - dokończyła. - Przynieść ci z pracy jakieś dokumenty. Albo coś komuś przekazać...

Pokręcił przecząco głową.

- Nie. Jedynie poproś dzieci, żeby nigdy we mnie nie zwątpiły, dobrze? Jestem niewinny. I powiedz im jeszcze, że więcej nie tknę alkoholu. Przysięgam na Boga, że już nigdy nie przyniosę im wstydu.

Jak zwykle, mówił wyłącznie o dzieciach. Choć Erica bardzo je kochała, poczuła zazdrość. Na niej Jake'owi zupełnie nie zależało.

Pożegnawszy się z mężem, wróciła do domu i przebrała w strój, który był bardziej w jej stylu - wiśniową bluzkę z cienkiego kaszmiru, identyczny w kolorze zamaszowy żakiet oraz tweedową spódnicę sięgającą kilka centymetrów nad kolano. Tak ubrana pojechała na wykład z literatury. Rozmyślając o Jake'u, szła do biblioteki, by

zwrócić książki, kiedy nagle dogonił ją jeden z wykładowców, brodaty historyk, który flirtował z nią od początku semestru.

- Co robisz dziś wieczorem? - spytał.

Zbita z tropu, choć powinna już przywyknąć do tego, że stale wzbudza zainteresowanie mężczyzn, przez chwilę milczała.

- Chcę pouczyć się do egzaminu z francuskiego - odparła z uśmiechem.

Brodacz również się uśmiechnął.

- Dziś w barze Dakota w St. Paul występuje wspaniała piosenkarka z wysp Zielonego Przylądka. Śpiewa po portugalsku. Może miałabyś ochotę się wybrać?

Mile połechtana, zwłaszcza po wizycie u Jake'a, który sprawiał wrażenie, jakby w ogóle go nie obchodziło, co się z nią dzieje, przez ułamek sekundy wahała się, czy nie przyjąć zaproszenia. Odrzuciła je jednak, tłumacząc sobie, że obowiązuje ją lojalność wobec męża. Mimo że ich małżeństwo się rozpadało, uważała, że póki jest żoną Jake'a, nie powinna umawiać się z innymi mężczyznami.

- Przykro mi, lecz nie mogę. Ze względów osobistych, które z tobą nie mają nic wspólnego - odparła. - Ale dziękuję, że o mnie pomyślałeś.

Na szczęście nie uraziła go odmową.

- No cóż, może innym razem.

Skierował się w stronę parkingu, a w nią wstąpiła nadzieja. Skoro podoba się innym, to może kiedy skończą się problemy Jake'a, spodoba się również jemu. Może znów zapragnie zamieszkać z nią pod jednym dachem,

sypiać w jednym łożu, jadać przy jednym stole. Nie zastanawiała się nad tym, że jej nadzieje spełzną na niczym, jeżeli sąd skáže go za zabójstwo Moniki Malone.

W sobotę rano, przygnębiona najnowszymi wydarzeniami w życiu swojego brata, Lindsay zajrzała do domku gościnnego, żeby Chelsea i Annie mogły się chwilę pobawić, a ona napić się kawy z Jessicą. Dziewczynki, które pomimo różnicy trzech lat szybko połączyła nie przyjaźni, natychmiast zaczęły się bawić domkiem dla lalek, który Annie dostała w prezencie od Stephena. Lindsay usiadła przy stole w kuchni. Jej gładkie czoło tym razem znaczyło kilka zmarszczek.

- Przykro mi z powodu aresztowania twojego brata - powiedziała Jess, zalewając w czajniczku listki Earl Greya.

- To niesamowite, prawda? Jakby mała miał kłopotów, to jeszcze łamie warunki zwolnienia, wsiada w samolot i leci sobie do Kalifornii! Nie mogę uwierzyć, że jest to ten sam poważny i odpowiedzialny Jake, który tak mi imponował, kiedy byłam w wieku Chelsea. O czym ten dureń myślał?

Z powodu własnych kłopotów Jake był jednym z niewielu Fortune'ów, którzy nie zostali przebadani jako potencjalni dawcy szpiku. Biorąc pod uwagę obecną sytuację, nie bardzo wypadało Jessice o tym przypominać. Z drugiej strony chodziło o życie Annie...

- Przepraszam, Lin, że tak ciągle wracam do swoich spraw, ale zastanawiałam się, czy może nadeszły już wyniki Kyle'a i Jane? - spytała cicho, upijając łyk herbaty

Twarz Lindsay przybrała wyraz jeszcze bardziej ponury.

- Wybacz, Jess, powinnam ci była powiedzieć od razu w drzwiach. U każdego z nich tylko dwa antygeny pasują. Jak wiesz, to za mało. U Nate'a pasował jeden, u Michaela zero.

Jessica poczuła straszliwe kłucie w sercu.

- Rozmawiałam wczoraj z Kristiną, która też obiecała zbadać krew. - Lindsay zacisnęła dłoń na ręce przyjaciółki. - Ale myślę, że nie ma sensu dłużej czekać i trzeba przebadać dzieci.

Chociaż Jess nigdy o tym słowem nie wspomniała - jako matka rozumiała strach innej matki - w głębi duszy miała nadzieję, że po wyczerpaniu innych możliwości Lindsay zdecyduje się również i na taki krok.

- Lin, nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem ci wdzięczna. To strasznie trudna decyzja. Gdybym była na twoim miejscu, a Annie na miejscu Chelsea, przeżywałabym koszmarnie rozterki...

- Tak, mnie też nie jest łatwo - przyznała Lindsay. - Boję się ze względu na ból, choć na ogół jest znikomy. I ze względu na stres. Bo dla kilkuletniego dziecka jest to chyba dość stresujące doświadczenie. Jednakże oboje z Frankiem chcemy, żeby Chelsea i Carter wyrosli na wspaniałych, odpowiedzialnych ludzi. I nie chcemy, aby kiedyś dowiedziawszy się, że mogli uratować komuś życie, a myśmy im na to nie pozwolili, mieli do nas uzasadniony żal.

Wpatrywały się w siebie z siostrzaną miłością.

- Chyba wiesz, że nie pozwolę Annie umrzeć, jeśli

tylko będę mogła temu zapobiec - kontynuowała po chwili lekarka. - Na szczęście poza Carterem i Chelsea mamy w rodzinie wiele innych dzieci. Syn Jane, ośmioletni Cody, oraz córka Kyle'a, dziesięcioletnia Caitlyn. Na wszelki wypadek moglibyśmy też przebadać wnuki Jake'a...

Jess skinęła głową. Na podstawie zebranych informacji sporządziła własną listę potencjalnych dawców. Jedyłą osobą z tej listy, o której Lindsay nie wspomniała, poza przebywającym w areszcie Jakiem, było nowo narodzone dziecko Michaela, ale takie maleństwo nie nadawało się na dawcę.

- Wiesz, Lin, cieszę się, że cię poznałam. Pomijam już kwestię szpiku. Po prostu... - Oczy lśniły jej od łez. - Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Większość rodziny mojej mamy nie żyje, a kiedy dowiedziałam się, że z Simpsonami nie łączą mnie więzy krwi, poczułam się strasznie osamotniona. To, że ty i reszta Fortune'ów mnie zaakceptowaliście... - Wzruszenie nie pozwoliło jej dokończyć.

- A rodzina twojego męża? - spytała Lindsay. - Mówiłaś, że zostali przebadani i na dawców nie pasują, ale co ze wsparciem psychicznym? Chyba po śmierci Ronalda nie odwrócili się od ciebie?

Po minie Jessiki zorientowała się, że trafiła w czuły punkt.

- Byliśmy w trakcie postępowania rozwodowego, kiedy Ronald rozbił się w samochodzie ze swoją sekretarką - przyznała Jess. - Miał z nią romans. Zresztą, nie był to jego pierwszy romans od czasu naszego ślubu. Rodzice Ronalda w niczym się nie orientowali; nie mieli

pojęcia o zdradach syna. Kiedy sprawa romansu wyszła na jaw podczas ustalania przyczyn wypadku, nie uwierzyli w istnienie kochanki. Oskarżyli mnie, że wszystko zmyślam i próbuję oczernić ich syna.

Lindsay, której mąż świata poza nią nie widział i która nigdy nie miała najmniejszego powodu, aby wątpić w jego wierność, była przerażona wyznaniem Jessiki.

- Boże, Jess, co za koszmar! - zawołała ze współczuciem. - Najpierw życie u boku niewiernego męża, potem jego tragiczna śmierć, a wreszcie choroba Annie. Potwornie cię los doświadczył.

Łatwiej znosiła smutek i ból, wiedząc, że może liczyć na wsparcie przyjaciół - Lindsay i Stephena. Inaczej trudno byłoby jej wytrzymać.

Siedząc przy kuchennym stole i pijąc herbatę, zdała sobie sprawę, że czeka ją długa i żmudna droga, zanim Annie odzyska zdrowie i będą mogły wrócić do Anglii. Albo zostać w Stanach i tu rozpocząć nowe życie.

Kiedy nadejdzie czas na decyzje, co postanowi? Czy będzie wolała zostać, czy wracać? A Annie? Czy bardziej podobało się jej w Anglii, czy w nowym kraju wśród nowej rodziny? Czy słusznie robią, zapuszczając tu korzenie? Czy...

I rzecz najważniejsza: czy mężczyzna, którego pokochała, okaże się opoką? Czy zawsze będzie mogła na nim polegać? Osoba tak jak ona ciężko doświadczona przez los, potrafi wyczuć drugą, której los też nie oszczędzał. Wiedziała, że smutek, ból i niepewność, które tkwiły w Stephenie, wynikają z czegoś znacznie głębszego niż rozwód z żoną. Ale z czego?

Widywali się często, pragnęli ogromnie. Lecz ze względu na Annie musieli panować nad pożądaniem.

O wilku mowa, pomyślała Jess na widok ukochanej córki. Obie dziewczynki wpadły do kuchni, z lalkami w rękach, prosząc o coś do jedzenia. Jess usadowiła obie panny przy stole, po czym postawiła przed nimi talerzyk własnoręcznie upieczonych ciasteczek z rodzynkami, banany oraz dwa kubki mleka.

- Stanu podgorączkowego nie ma - stwierdziła Lindsay, przykładając dłoń do czoła swej małej pacjentki. - Nie kaszle? Nie kicha?

- Odpukać. Na razie wszystko jest świetnie.

- Słuchaj, Jess. Stephen wspomniał, że nie mieliście ani chwili dla siebie, odkąd Annie wróciła ze szpitala. Mogłabym ci polecić doskonałą opiekunkę...

Jessice serce zabiło mocniej.

- Sama się nad tym zastanawiałam - przyznała. - Ale potwornie się boję. Gdyby cokolwiek się stało...

Lindsay poklepała przyjaciółkę po ręce.

- Rozumiem twoje obawy, ale przez kilka godzin Annie naprawdę nic złego się nie przydarzy. Pani Larsen, którą zatrudniam do opieki nad Chelsea i Carterem, zwykle wieczorami i podczas weekendów siedzi w domu. Ma sześćdziesiąt pięć lat i trójkę własnych wnuków. To cudowna osoba. W razie czego ja i Frank mieszkamy parę kroków dalej, zawsze możemy służyć pomocą. Miej to na uwadze, dobrze? I jeśli Stephen zaprosi cię na kolację, nie wahaj się przyjąć zaproszenia.

Stephen nie tracił czasu. Usłyszawszy od Lindsay, że

Jess nie odrzuciła pomysłu opiekunki, zadzwonił do pani Larsen. Kiedy dowiedział się, że tego wieczoru jest wolna i mogłaby posiedzieć z Annie, czym prędzej zaprosił Jess do siebie do domu na kolację.

Wiedząc, że będą nie tylko jeść, ale również się kochać, Jess zgodziła się chętnie. Ona też stęskniła się za Stephenem, poza tym marzyła o tym, aby wreszcie zobaczyć jego królestwo. Może dowie się czegoś o jego przeszłości, pozna tajemnice tego nad wyraz skrytego człowieka.

Wpadł po nią o siódmej, kiedy Annie zjadła już kolację i siedziała na kanapie w salonie, ze stosem książeczek, które pani Larsen jej czytała.

Obiecawszy, że wróci o północy, Jess chciała jak najlepiej wykorzystać te pięć godzin ze Stephenem. Sądząc po tym, jak zacisnął rękę na jej talii, on też pragnął jak najszybciej znaleźć się z nią sam na sam.

Wsiadli do samochodu.

- Mam nadzieję, że lubisz steki z rusztu i pieczone kartofle - powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce.
- Wprawdzie jest dość chłodno, ale ogrzejemy się przy grillu..

Faktycznie, wieczory stawały się coraz zimniejsze. Wkrótce liście zaczną zmieniać barwę; zieleń ustąpi miejsca feerii brązów, czerwieni, żółci i złota, a niedługo później brązy i złoto zastąpi biel. Jess słyszała, że w Minneapolis śnieg wcześniej okrywał miasto warstwą puchu.

- Uwielbiam - odparła, tuląc się do jego ramienia.

Dom Stephena mieścił się pięć minut drogi od posiadłości Fortune'ów. Wewnątrz paliły się wszystkie

światła. Uśmiechając się szeroko, Stephen otworzył pilotem drzwi garażu. Po chwili szli po kamiennych schodkach prowadzących do kuchni. Tam na stole czekała butelka bardolino i dwa kieliszki. Jess zwróciła uwagę na proste szafki z drzewa wiśniowego, na kominek z czerwonej cegły i puste blaty. Poza ekspresem do kawy, tosterem i mikrofalówką na blatach nie stało nic. Przypuszczalnie była żona zabrała z sobą wszystkie sprzęty kuchenne.

- Napijesz się wina? Czy najpierw cię oprowadzić?

- Najpierw oprowadź, a potem chętnie się napiję. Nie ukrywam, że zżera mnie ciekawość.

Podobnie jak w kuchni, w salonie też panowały dość spartańskie warunki, choć czarna skórzana kanapa stojąca na wprost kominka sprawiała wrażenie niezwykle wygodnej. Z okna rozpościerał się wspaniały, panoramiczny widok na wysokie dęby i migoczące niczym gwiazdy światła w domach po drugiej stronie jeziora. Na drewnianej podłodze leżały dywany w piękne orientalne wzory, na ścianach zaś wisały starannie dobrane współczesne obrazy.

Na prawo od wejścia stał niski regał pełen albumów o sztuce, stojak na płyty kompaktowe oraz odtwarzacz. Wyraźnie jednak brakowało kobiecej ręki - jakichś bibelotów, doniczek z kwiatami, poduszek na kanapie, czasopism. Dom był czysty, niemal sterylny, jakby nigdy w nim nie mieszkało - ba, nie przebywało! - żadne dziecko.

Zdziwiła się więc, kiedy w jednej z sypialni zobaczyła dziecięce meble, kolekcję książek i samochodzików,

sprzęt sportowy. Żadna z tych rzeczy nie wyglądała na nową. Najbardziej wyświechtany był szmaciany kłown - na ogół stan zniszczenia wskazywał na ukochaną zabawkę. W sypialni jednak panował idealny porządek, jakby od lat nikt tam nie zaglądał.

- Czyj to pokój? - spytała zaintrygowana. - Myślałam, że nie masz dzieci...

Urwała. Stephen oglądał zabawki, jakby widział je po raz pierwszy w życiu.

- Bo nie mam - odparł. - Nie mam dzieci.

- To dlaczego... Nie rozumiem.

- Czasem mieszka u mnie siostrzeniec - mruknął.

Nie chciał mówić jej o Davidzie, dzielić się z nią swoim bólem i stratą - jeszcze nie teraz. Zresztą rozmowa o śmierci dziecka, kiedy jej własne walczyło o życie, nie ma najmniejszego sensu.

Jess zadumała się. Nigdy wcześniej nie wspominała o jakimkolwiek siostrzeńcu ani w ogóle o rodzinie. Jak mało o nim wie! Postanowiła nie drażnić tematu. Ale fakt, iż urządził w ten sposób pokój dla siostrzeńca, który czasem go odwiedzał, wiele o Stephenie mówił. O jego poczuciu samotności i pragnieniu posiadania syna lub córki. Czy dlatego rozpadło się jego małżeństwo? Bo żona nie chciała mieć dzieci?

Odrpężył się, gdy przeszli do głównej sypialni, w której prócz szerokiego łóża stał skórzany fotel z podnóżkiem, lampa na cienkim nowoczesnym stojaku oraz szafa i komoda z drzewa tekowego. Kiedy udali się na taras na tyłach domu, Stephen już w niczym nie przypominał tego świętego człowieka, jakim był przed paroma minu-

tami, człowieka ukrywającego rany i tajemnice, o których nie chce mówić; znów był dawnym sobą, przystojnym jasnowłosym lekarzem, którego spotkała w ogrodzie zoologicznym i z czasem pokochała.

Powietrze było chłodne, ale nawet nie zwróciła na to uwagi. Stała z głową wspartą na ramieniu Stephen, który pilnując, by steki się nie przypaliły, wskazywał jej charakterystyczne budynki po drugiej stronie jeziora. Nie pytała go o jego przeszłość, wychodząc z założenia, że kiedy będzie chciał, sam jej o wszystkim opowie.

Do kolacji usiedli przy drewnianym stole przed kominkiem, w którym łagodnie tańczyły płomienie. Oprócz steków Stephen podał pieczone ziemniaki, sałatkę z ogórków, pomidorów, cebuli, greckiej fety i czarnych oliwek oraz chrupiące bułeczki z miejscowej piekarni. Popijając wino, rozmawiali o Annie, o Toddach, o kłopotach, w jakie wpakował się Jacob Fortune. Nie mówili jedynie o tym, co będą robić po kolacji.

Podziękowawszy za deser, Jess zaproponowała, że pozmywa naczynia. Kiedy Stephen oświadczył, że zajmie się tym rano i porwał ją w ramiona, poczuła dreszcz podniecenia.

- To co teraz? - spytała cicho.

- Teraz? Może byśmy zajęli się tym, co od powrotu Annie ze szpitala ciągle nam umyka?

- Doskonały pomysł - odparła. Bądź co bądź po to tu przyszła: żeby zobaczyć, jak mieszka człowiek, który zawładnął jej sercem, i żeby przeżyć chwile rozkoszy w jego ramionach.

Mleczny blask księżycy wypełniał sypialnię. Nie mu-

sieli nawet włączać lampki nocnej. Wszystko, na co chcieli patrzeć, co chcieli pieścić, gładzić, dotykać, było idealnie widoczne. Drżąc z podniecenia, zaczęli zdzierać z siebie ubranie. Po chwili stos odzieży leżał na podłodze.

- Jess, kochanie, nawet nie wiesz, jak długo czekałem na ten moment...

- A ty nie wiesz, co mi się śni po nocach.

- Opowiedz - poprosił, całując jej szyję.

- Że zakradasz się do mnie przez okno - szepnęła.

- I że się kochamy...

Stanął mu przed oczami obraz Jess, cieplej i zaróżowionej od snu, która budzi się pod wpływem jego pieścizot.

- Szkoda, że nie jestem jasnowidzem - rzekł półgłosem. - Przyleciałbym do ciebie na skrzydłach, przepłynąłbym morza, przeskoczył góry...

W ciągu następnych dwóch tygodni kontynuowali romantyczne „kolacyjki”, z czego czerpali przyjemność zarówno oni sami, jak i nieoceniona pani Larsen, która opiekowała się Annie jak własną wnuczką. Któregoś popołudnia Stephen szykował się do wyjścia ze szpitala, kiedy sekretarka podała mu kartkę. Telefonowała jego była żona.

Pełen obaw podniósł słuchawkę i zdziwił się, bo po raz drugi z rzędu żona miała mu do przekazania dobrą wiadomość.

- Chciałam ci podziękować za radę, jakiej mi udzieliłeś tamtego wieczoru w Gustino's - oznajmiła radośnie.

Radę? Nie pamiętał, by udzielał jej jakichkolwiek rad.

- Zapomniałeś? To w twoim stylu, Stephen! - Roześmiała się wesoło. - Ale z przyjemnością odświeżę ci pamięć. Kiedy powiedziałam ci, że Tom poprosił mnie o rękę, ale ja się boję, bo wiem, że on będzie chciał mieć dziecko, oznajmiłeś, że życie jest po to, aby się nim cieszyć, a nie rozpamiętywać dawne tragedie. I radziłeś mi przyjąć oświadczyzny. Posłuchałam cię, Stephen. W przyszłym tygodniu bierzemy ślub. Zdradzę ci też małą tajemnicę: jestem w ciąży!

Pogratulował żonie. Po raz pierwszy, odkąd David zachorował, Brenda sprawia wrażenie autentycznie szczęśliwej. Zaczął zastanawiać się nad własną przyszłością. Może jemu też się uda pokonać dawne lęki?

Zamiast wrócić do domu i przebrać się na kolację u Jess, skręcił w stronę sklepu jubilerskiego, w którym kilka miesięcy temu kupił sobie nowy zegarek. Szczęśliwym trafem znalazł miejsce do parkowania tuż przed sklepem i zdążył wejść, zanim jubiler zarygłował drzwi na noc.

Za ladą stał sam właściciel.

- W czym mogę panu pomóc, doktorze Hunter? - spytał z uśmiechem.

- Chciałbym obejrzeć pierścionki zaręczynowe - odparł Stephen, pokonując strach. - O, na przykład ten tutaj...

Zdaniem jubilera, pierścioneł z dwuipółkaratowym brylantem osadzonym w białym złocie był jednym z najpiękniejszych w sklepie. Również jednym z najdroższych, ale Stephen jako wybitny, a co za tym idzie dobrze

zarabiający hematolog bez trudu mógł sobie na niego pozwolić.

Musiał tylko zajrzeć w głąb siebie i odpowiedzieć na pytanie: czy rana po śmierci Davida na tyle się zagoiła, aby mógł podjąć ryzyko związania się z Jess. Bo związanie się z Jess oznaczało związanie się z Annie. Kochał tę dziewczynkę całym sercem, ale co będzie, jeśli nie zdoła jej uratować? Czy związek z Jess to przetrwa?

Jubiler czekał cierpliwie na decyzję klienta.

- Jest doskonały - przyznał Stephen. - Problem w tym, że jeszcze się nie oświadczyłem. Więc chciałbym spytać: gdyby ten pierścionek nie spodobał się mojej wybrance lub gdyby nie przyjęła oświadczyn, czy mógłbym go zwrócić?

Pobłażliwy uśmiech na twarzy jubilera świadczył o tym, że to pytanie padało w tym sklepie tysiące razy. Odpowiedź brzmiała: tak, klient może odnieść pierścionek i otrzymać zwrot pieniędzy.

- Ale muszę pana ostrzec, panie doktorze - dodał z błyskiem w oku właściciel sklepu. - Tak piękne pierścionki rzadko do nas wracają...

W niedzielne popołudnie, kiedy przybyli w trójkę na grilla do Toddów, pierścionek wciąż tkwił w kieszeni Stephena. Mimo ciepłej pogody pierwsze oznaki jesieni były już widoczne choćby w koronach drzew, które powoli zaczynały przebierać żywsze barwy. Tafla wody lśniła w słońcu, jakby migotały na niej miliony malutkich brylancików.

Zamiast jechać samochodem, Stephen postanowił, że

tym razem popłyną żaglówką. Odległość między Todda—mi a Jess była niewielka, najwyżej półtora kilometra, ale dla Annie była to miła rozrywka. Dziewczynka, ubrana w kamizelkę ratunkową oraz czapkę chroniącą przed wiatrem główkę i uszy, patrzyła z zafascynowaniem, jak Stephen manewruje łodzią.

Wreszcie nie wytrzymała:

- Nauczysz mnie żaglować, kiedy wyzdrowieję? Co, Steve? Nauczysz? Obiecuj, dobrze?

- Z przyjemnością, maleńka - odparł, uśmiechając się czule. - A właściwie, jeżeli twoja mamusia się zgodzi, mogłabyś mi pomóc już teraz. Trzeba skierować łódź do przystani twojej przyjaciółki Chelsea.

Kiedy Jess skinęła głową, Annie przesiadła się i posłusznie zacisnęła ręce na ramplu. Jess z zadumą obserwowała mężczyznę i dziecko. Mieli identycznej barwy włosy, identyczny odcień skóry; śmiało mogliby być ojcem i córką. Ciekawe, czy za rok od dziś nadal będziemy razem, szczęśliwi i zdrowi?

Frank Todd z Carterem czekali na przystani.

- Już są! Przypłynęli! - zawołał Frank do Lindsay i Chelsea, które machały do gości z okna w kuchni.

Plan był taki, że dorośli posiedzą na tarasie i porozmawiają, dzieci pobawią się w ogrodzie, a za godzinę wszyscy zjedzą kolację. Ponieważ jednak oboje gospodarze mieli dyżur telefoniczny, plan spalił na panewce. Ledwo usiedli na leżakach twarzą do wody, kiedy zabrzączał telefon komórkowy Lindsay. Okazało się, że jest pilnie potrzebna na ostrym dyżurze.

- Mam nadzieję, że szybko się uporam - powiedziała

wstając. - Jeśli nie wrócę za godzinę, zaczynajcie beze mnie. Wszystko jest przygotowane, wystarczy wyjąć mięso z lodówki i rzucić na ruszt.

Ku zaskoczeniu przyjaciół i rodziny wróciła w ciągu trzech kwadransów.

- Fałszywy alarm - oznajmiła cicho.

Usiadłszy na leżaku obok męża, wyciągnęła do niego rękę. Przyjrzał się jej uważnie, wyczuwając, że szuka u niego wsparcia.

- Kotku, co jest? - spytał łagodnie.

Coś w oczach Lindsay sprawiło, że Jess wstrzymała oddech. Po chwili wszystko się wyjaśniło.

- Całkiem przypadkowo wpadłam na jednego z laborantów z hematologii. Właśnie nadeszły wyniki ostatnich badań krwi. Znalazł się odpowiedni dawca dla Annie. I jest nim nasza córka.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- O Boże, Lin...

Chociaż jej serce przepełniła ogromna radość i ulga, Jess potrafiła sobie wyobrazić, co w tej chwili musi czuć Lindsay. Z jednej strony na pewno cieszyła się, że jest szansa na uratowanie Annie, z drugiej, jak każda kochająca matka, wolałaby nie narażać własnego dziecka na najmniejszy ból czy dyskomfort.

Frank prawdopodobnie czuł to samo.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Małżonkowie popatrzyli na siebie w milczeniu, po czym przenieśli wzrok na Annie, Chelsea i Cartera, którzy bawili się nieświadomi obaw nękających dorosłych. Stephen, z trudem panując nad emocjami, delikatnie głaskał ramię Jess.

Powinniśmy wrócić do domu i pozwolić Toddowi naradzić się w spokoju, przemknęło Jess przez myśl. Ale znając Lindsay, wiedziała, że przyjaciółka nigdy na to nie pozwoli.

- Lindsay - powiedziała w końcu - wydaje mi się, że ty i Frank powinniście pobyć chwilę sami. Zastanów się, porozmawiać... Stephen i ja popilnujemy dzieci.

- Świetny pomysł - poparł ją Stephen. - Idźcie się przejść albo wybierzcie się na przejażdżkę. My zostaniemy na miejscu i będziemy opatrywać rozbite kolana.

Dziękując przyjaciółom za zrozumienie, Lindsay i Frank wstali i trzymając się za ręce, ruszyli nad brzeg jeziora. Przez pół godziny siedzieli na przystani, rozmawiając.

Powziąwszy decyzję, ruszyli z powrotem pod górę. Na ich twarzach malował się wyraz powagi i spokoju. Jess obserwowała ich z zapartym tchem; wiedziała, że od tego, co za moment usłyszy, zależy cały jej świat. Jeżeli Annie nie otrzyma nowego szpiku, może nie dożyć swoich szóstych urodzin.

- Zdaję sobie sprawę, jak trudne jest dla ciebie czekanie, Jess - oznajmiła Lindsay, gdy podeszli z Frankiem bliżej - więc nie będę cię dłużej trzymać w niepewności. A więc oboje bardzo pragniemy ci pomóc, ale sądzimy, że decyzja nie powinna należeć wyłącznie do nas. Uważamy, że trzeba spytać o zdanie Chelsea. Wyjaśnimy jej, na czym polega białaczka, i wytłumaczymy, w jaki sposób może pomóc swojej przyjaciółce. Chcemy być z nią szczerzy, to znaczy, nie będziemy ukrywać, na czym polega sam zabieg.

- Bez względu na to, co postanowi Chelsea - wtrącił Frank - Lindsay i ja zamierzamy uszanować jej wolę. Porozmawiamy z nią dziś wieczorem i jutro rano przekazemy ci jej decyzję. Chyba nie muszę ci mówić, Jess, że oboje z Lindsay liczymy na odpowiedź pozytywną.

Jako matka, Jess doskonale rozumiała Toddów. Wiedziała, że z całego serca chcą pomóc Annie. Nie mogła trafić na bardziej oddanych i życzliwych ludzi.

Jednakże atmosfera była dość napięta; ani goście, ani gospodarze nie potrafili się odprężyć, udawać, że nic się

nie stało. Jess ledwo skubnęła hamburgera, zjadła dosłownie odrobinę doskonałej sałatki ziemniaczanej. Starła się uczestniczyć w rozmowie, ale bez przerwy spoglądała na porośniętą jasnym puszkami główkę swojej córki.

Kiedy skończyli jeść i uprzątnęli ze stołu papierowe talerze oraz kubki, Stephen dał sygnał do odejścia. Choć Annie zaprotestowała, mówiąc, że chce się jeszcze chwilę pobawić z Chelsea, Jess uznała, że Stephen ma rację. Po pierwsze, im szybciej wyjadą, tym wcześniej Toddowie porozmawiają z córką. A po drugie, była jak na szpilkach, więc przedłużanie wizyty nie miało najmniejszego sensu.

Dopłynęli żaglówką do pomostu za domem Stephena i tam przesiedli się do samochodu. Kilka minut później zajechali pod domek gościnny na terenie posiadłości Fortune'ów. Jess poprosiła Stephena, aby zgasił silnik i wszedł z nimi do środka.

- Wiem, że jutro z samego rana musisz być w szpitalu - rzekła, kiedy Annie udała się do swojego pokoju, aby przygotować dla lalek podwieczorek. - Ale... chciałam cię prosić, żebyś został ze mną na noc. Boję się, że nie wytrzymam napięcia.

Nie krył zdziwienia.

- Myślałem, że z Annie w domu... - zaczął.

- Moglibyśmy spać tu, na kanapie. W ubraniu. Gdyby Annie się obudziła, nie byłaby zgorzozna.

Zgodził się, przeżywał jednak straszne rozterki. Kupił pierścionek zaręczynowy, lecz nie potrafił pokonać oporów i prosić Jess o rękę. Teraz sytuacja się skomplikowała.

wała. Co będzie, jeśli po rozmowie z Chelsea Toddowie odmówią? Albo jeśli przeszczep się nie uda?

Bał się. Już raz stracił dziecko. Gdyby miał stracić Annie... Nie zniósłby tego. Swojej byłej żonie radził, aby nie żyła przeszłością, ale to było co innego. Tom McCaffrey nie miał chorej córki, której życie wisiało na włosku.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęły się jego kłopoty, czyli odkąd zadzwoniła do niego Monica Malone, prosząc, aby wpadł do niej wieczorem, bo koniecznie chce z nim omówić pewną ważną sprawę, Jake usłyszał dobrą wiadomość.

Według Aarona Silbermana, który odwiedził go w areście, w należącym do aktorki wielkim na pięć samochodów garażu policja znalazła odciski butów do biegania o bardzo charakterystycznej podeszwie. Takie same odciski znaleziono na grządce z kwiatami pod oknem.

- Czy ma pan lub kiedykolwiek miał reeboki? - spytał adwokat.

Jake pokręcił przecząco głową.

- Nie. Od dwudziestu lat jestem wierny nike'om.

- A tamtego wieczoru co pan miał na nogach?

Jake zamyślił się.

- Chyba skórzane mokasyny - odparł wreszcie.

Adwokat poinformował go z nieskrywaną satysfakcją, że ślady mokasynów znaleziono na rogu, w miejscu, gdzie Jake twierdził, że zaparkował swój samochód. Natomiast odciski pozostawione w garażu nie pasują do żadnych butów, jakie Jake ma w domu. Nie pasują rów-

niez do żadnych butów będących w posiadaniu Brandona lub kogokolwiek ze służby pani Malone.

Kiedy Jake westchnął niezadowolony, adwokat wyjaśnił pośpiesznie, dlaczego to takie ważne.

- Brandon Malone na pewno ma świadków, którzy potwierdzą, że w noc zabójstwa był z nimi w Kalifornii. A skoro w domu ofiary, na jej trawniku i w garażu są czyjeś ślady, to tylko potwierdza naszą tezę, że morderca czekał, aż pan wyjdzie, aby wśliznąć się do środka i pozabawić panią Malone życia.

Jake'owi zakręciło się w głowie. Czyżby zanosilo się na to, że zostanie oczyszczony z zarzutów?

- Niewykluczone - ciągnął adwokat - że było dwóch morderców. Znalaziono również mniejszy odcisk, przypuszczalnie damskiej stopy. Też nie wiadomo, do kogo należy.

Po raz pierwszy od dawna Jake słuchał z uwagą i nie narzekał na swój los. Na końcu długiego ciemnego tunelu wreszcie widział światło.

- Skąd pan to wszystko wie? - spytał zaintrygowany. Aaron Silberman wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Takie jest prawo - wyjaśnił. - Prokurator ma obowiązek poinformować obronę, jakie dowody zamierza przedstawić podczas procesu. My oczywiście też musimy powiadomić prokuraturę, jeśli wcześniej sami odkryjemy, kto zabił Monicę Malone.

- Miło by było, gdybyśmy to odkryli - powiedział Jake, odwzajemniając uśmiech. - Warunki życia w areszcie pozostawiają wiele do życzenia.

Już się żegnali, kiedy adwokat jeszcze sobie coś przy-

pomniał. Otóż prosił Gabriela Devereax, aby jeszcze raz porozmawiał z sąsiadami Moniki Malone; może któryś z nich widział jakąś obcą osobę kręcącą się po okolicy w wieczór morderstwa.

- Musi być ktoś taki, poza tą starą wariatką z psem, która upiera się, że widziała pańską siostrę. Zeznania wiarygodnego świadka bardzo by nam pomogły.

Po nocy spędzonej na kanapie, w niewygodnej, półsiedzącej pozycji, z głową wspartą na ramieniu Stephena, Jess obudziła się i natychmiast zaczęła przemierzać salon. Żałowała, że Stephen musi jechać do szpitala skoro świt. Nie wiedziała, jak bez niego wytrzyma. Już i tak nerwy miała napięte do ostatecznych granic.

Pocieszała się myślą, że może Lindsay wkrótce zadzwoni. I w tym momencie zabręczał telefon.

Jess chwyciła słuchawkę.

- Halo?

- Jess, tu Lindsay - oznajmił głos na drugim końcu linii. - Cieszę się, bo mogę cię powiadomić, że robimy przeszczep. Chelsea nie miała żadnych wątpliwości. Nawet chciałam zadzwonić do ciebie wczoraj, ale uznałam: niech się z tym prześpi.

Jessica poczuła się lekka jak motyl. Jakby unosiła się w powietrzu. Annie będzie zdrowa, Annie będzie zdrowa! - wołała w myślach. Tego, że przeszczepy szpiku czasem kończą się śmiercią, na razie zupełnie nie brała pod uwagę.

- Lin, najdroższa! Nie wiem, jak ci dziękować. - Zamilkła, świadoma, że język jest zbyt ubogi, by mogła

wyrazić nim swoją wdzięczność. - Dzięki tobie, Frankowi i Chelsea... - Głos się jej załamał. - Dzięki wam Annie będzie żyła.

- Słuchaj, Jess, wiem, że przeszczep warto przeprowadzić jak najszybciej, póki Annie dobrze się czuje po chemioterapii. Ale jeśli się zgodzisz, Frank i ja wolelibyśmy poczekać do urodzin Chelsea. W przyszłym tygodniu...

- Jeśli się zgodzę? Nie żartuj, Lin! Oczywiście, że się zgodzę. Boże, mam tak wielką ochotę, żeby cię uściskać!

Lindsay wybuchnęła śmiechem.

- Możesz to zrobić dziś wieczorem. Frank musi zostać dłużej w pracy, ale ja kończę wcześniej. Umówiłyśmy się z Rebeką na kolację, żeby wspólnie zastanowić się, jak pomóc Jake'owi. Skoro należysz do rodziny, przyłącz się do nas. Pani Larsen zajmie się dziećmi.

Rebeka zarezerwowała stół u Lorda Fletchera, położonej nad jeziorem Minnetonka restauracji urządzonej w stylu starej angielskiej gospody. Siedząc przy stole, z którego rozciągał się malowniczy widok na wodę, Jess czuła się naprawdę szczęśliwa. Nawet nie przeszkadzało jej, że w jadłospisie figurują same steki, kurczaki i owoce morza. No, no, pomyślała, coraz bardziej upodobiam się do moich amerykańskich przyjaciół.

Jedyną przykrą chwilę przeżyła w południe, kiedy Stephen zadzwonił do niej ze szpitala. Chociaż cieszył się z decyzji Toddów, zaczął jej tłumaczyć, że jeszcze wiele może się zdarzyć. Jakby nie rozumiał jej radości. Albo jakby wolał, by się nie cieszyła, dopóki nie będzie po wszystkim.

Rebeka podniosła kieliszek.

- Za Annie. Oby jak najszybciej wróciła do zdrowia. I za Chelsea, która nie zawahała się pomóc przyjaciółce.

- Uśmiechając się do obu kobiet, ciągnęła: - I za Jake'a, naszego brata, a Jessiki wuja. Oby udało nam się wybawić go z opresji.

Niestety, mimo że wszystkie trzy wyteęzały umysły, nic sensownego nie wymyśliły. Już prawie gotowe były się poddać, kiedy nagle Rebeka podskoczyła na krzesło.

- Już wiem! - zawołała. - Urządzmy seans spirytystyczny! Znam kobietę, która podobno jest świetnym medium. Nazywa się Irina Ivanova i mieszka w St. Paul. Niedawno, kiedy przeprowadzałam z nią wywiad do książki, powiedziała, że może mi pokazać, jak to się odbywa. Co wy na to? Gdybyśmy zdołały skontaktować się z mamą, spytać ją o radę...

Lindsay, osoba pragmatyczna i twardo stąpająca po ziemi, wyśmiała ten pomysł. Ale jej siostra była uparta.

- Co ci szkodzi, Lin? Może być zabawnie, nawet jak nic z tego nie wyjdzie. Jess, ty oczywiście też jesteś zaproszona. Najlepiej urządź seans w domu naszych rodziców. Jake'owi, skoro przebywa gdzie indziej, nie powinno to w niczym przeszkadzać. Pogadam ze Sterlingiem...

Chociaż Jess nie była spokrewniona z Kate i nie bardzo wierzyła w jakiegokolwiek siły nadprzyrodzone, marzyła o tym, aby móc obejrzeć od wewnątrz wspaniałą rezydencję Fortune'ów. Bądź co bądź zbudował ją jej dziadek Benjamin. Tu spędził większość swojego życia. A ze słów Lindsay wynikało, że na ścianach wisi kilka jego portretów.

- Chętnie przyjdę - powiedziała. - Jeśli moja obecność nikomu nie będzie przeszkadzała...

Kiedy Rebeka przysłała do niego z pomysłem seansu spirytystycznego, Sterling zwrócił się do Kate po radę. Zaprosił ją na lunch do małej, nikomu nieznaney restauracji w Stillwater, uroczym miasteczku usytuowanym nad brzegiem rzeki St. Croix, i tam najpierw opowiedział jej o nowych dowodach w sprawie morderstwa Moniki Malone, po czym poruszył temat seansu.

- Oczywiście to głupota, ale skoro im na tym tak bardzo zależy, pewnie nie ma sensu się sprzeciwiać - oświadczył, zanurzając widelec w serowo-szynkowym suflecie. - Osobiście nie jestem zachwycony. Gdyby do prasy przedostała się informacja, że siostry Jake'a usiłują wywołać ducha swojej matki, dziennikarze mieliby używanie.

Kate, ubrana w szare wełniane spodnie, ręcznie tkane peruwiańskie poncho oraz miękki kapelusz z opadającym rondem, była wyraźnie wzruszona. Córki za nią tęsknią! Potrzebują jej rady! Zarówno kochana szalona Rebeka, jak i cicha, rozsądna Lindsay, która w przeciwnym razie nie zgodziłaby się na żaden seans! Tak bardzo pragnęła przytulić je do siebie, opowiedzieć o katastrofie, z której cudem uszła z życiem, przyznać się, że od dłuższego czasu ukrywa się w Minneapolis, tuż pod ich nosem, i że śledzi wszystkie rodzinne poczynania.

Zdaniem Sterlinga, ujawnienie się było zbyt niebezpieczne. Ten, kto chciał ją zabić, mógłby ponowić próbę, gdyby się dowiedział, że pierwsza się nie powiodła.

Ale dzięki seansowi mogłaby porozumieć się z córkami. To wcale nie jest taki zły pomysł!

Pogrzyżała się w zadumie. Aaron Silberman, obrońca Jake'a, wierzył, iż odciski butów znalezione przez policję należą do mordercy lub morderców. Prosił nawet Gabriela Devereax, aby ponownie porozmawiał z sąsiadami Moniki i wybadał, czy na pewno nikt nie widział żadnych obcych osób kręcących się wokół domu aktorki.

Doskonale. Było jednak coś, o czym Silberman nie pomyślał. Ani on, ani nikt inny nie zainteresował się świadkiem, który twierdził, że tamtego wieczoru widział w okolicy Lindsay.

Właściwie nawet się Silbermanowi nie dziwiła. Lindsay przedstawiła niepodważalne alibi. Jednakże kobieta podająca się za siostrę Lindsay, niejaka Tracey Ducet, faktycznie była do niej z wyglądu niezwykle podobna - oczywiście nikt poza Kate i FBI nie wiedział, że Lindsay miała brata bliźniaka, a nie siostrę. Ponieważ jednak Tracy za wszelką cenę chciała wdrzeć się do rodziny i zagarnąć część majątku, może - tak jak Monica - postanowiła uciec się do szantażu. Może wybrała się do domu aktorki, by ukraść oświadczenia na temat tożsamości rodziców Jake'a, a potem zagrozić mu, że je ujawni, jeżeli nie spełni jej żądań.

Nagle Kate uświadomiła sobie, że mogłaby podzielić się swoimi refleksjami ze Sterlingiem i prosić go, aby przekazał je Silbermanowi, bała się jednak, że przyjaciel nie potraktuje jej poważnie. A pomysł seansu... rozmowa z córkami...

Hm, odkąd zaczęła żyć w ukryciu jako ekscentryczna

Kate Anderson, mecenaska sztuki, zaprzyjaźniła się z wieloma młodymi osobami; niektóre z nich pracowały w miejscowym teatrze, zajmując się dźwiękiem i oświetleniem.

Siedzący naprzeciw Sterling odłożył widelec i wpatrywał się w nią uważnie.

- Powiedz coś - burknął pod nosem. - Widzę po twojej minie, że coś knujesz.

Uśmiech, jaki wypełził na jej usta, jeszcze bardziej go zaniepokoił.

- W przeciwieństwie do ciebie, staruszk, w pełni popieram pomysł Rebeki. A nawet zamierzam się jej ukazać, oczywiście w postaci ducha. Myślę, że ludzie z teatru, na których pomoc i dyskrecję mogę liczyć, mają odpowiednią wiedzę i sprzęt, aby stworzyć mój obraz holograficzny.

Sterling doskonale orientował się, na czym polega technika holograficzna; wiedział, że tą metodą można otrzymywać ruchome, trójwymiarowe obrazy przestrzenne. Niewątpliwie bardzo by to uatrakcyjniło zorganizowany przez Rebekę seans.

Bał się jednak o Kate; czy przypadkiem nikt jej nie przyłapie na gorącym uczynku.

- Nie bądź niemądra, Kate - skarcił ją. - Wierzę w zdolności twoich przyjaciół z teatru, ale nie warto ryzykować. Rebeka lubi bujać w obłokach, ale nie jest głupia. Lindsay z kolei to osoba o trzeźwym, bystrym umyśle. Jessica Holmes też sprawia wrażenie osoby twardo stąpającej po ziemi. Równie dobrze mogłabyś dać za wiadomienie do prasy o swoim cudownym odrodzeniu.

- Niepotrzebnie się martwisz, Sterling. Ci ludzie to zawodowcy. Stworzą ruszający się, mówiący obraz i przerzucą go do pokoju, w którym będzie się odbywał seans. Ja w tym czasie będę w innej części domu. A gdyby co, to pamiętaj, że znam tę chałupę jak własną kieszeń; wiem, którędy wymknąć się ukradkiem i gdzie schować, tak żeby nikt mnie nie znalazł.

Z typowym dla prawników sceptycyzmem Sterling ponownie zaprotestował; tym razem stwierdził, że kiedy ci geniusze od efektów specjalnych dowiedzą się, o co chodzi, mogą zażądać ogromnej sumy za milczenie.

- Mylisz się, staruszkule - oznajmiła tonem, z którego jasno wynikało, że nie zamierza zmienić decyzji. - To są porządni, uczciwi ludzie. Poza tym nie wiedzą, że jestem Kate Fortune. Co najwyżej stwierdzą, że jestem w zмовie z medium. Swoją drogą dzięki mnie Irina Ivanova osiągnie największy sukces w swoim życiu.

Lindsay uzgodniła z Jessicą, że Annie zostanie u nich na noc; Chelsea się ucieszy, Frank zaś przygotowuje dzieciakom kolację, a potem położy je spać.

Tego wieczoru, kiedy ich matki odjechały kabrioletem Jess do rezydencji Fortune'ów na seans spirytystyczny, dziewczynki zostawiły Franka z Carterem w kuchni, by pozmywali po kolacji, a same udały się do pokoju Chelsea, żeby pobawić się lalkami.

- Zdradzić ci tajemnicę? - spytała Annie, kiedy wyjęły talerze i zaczęły szykować podwieczorek dla lalek.

Chelsea skinęła głową.

- Mama i doktor Steve całowali się. Nie wiedzą, że ich widziałam.

Jej przyjaciółka zmarszczyła z namysłem czoło.

- Myślisz, że się pobiorą?

- Nie wiem. Chciałabym. Lubię Stephena. Mamusia też go lubi. Częściej się przy nim uśmiecha.

Chelsea opowiedziała Annie o ślubie swojego kuzyna Michaela.

- Byłam druhną. Szłam nawą i sypałam przed panną młodą kwiatki. Może jak twoja mama będzie brała ślub, też będziesz druhną.

Annie jednak mniej interesował sam ślub, bardziej zaś kwestie praktyczne, takie jak: czy Jess ze Stephenem postanowią zamieszkać w Anglii, czy zostaną tutaj, w Minnesocie.

- Tu zostaniecie - oświadczyła stanowczym tonem Chelsea. - I wtedy zawsze się będziemy ze sobą bawić i zawsze będziemy się przyjaźnić.

Przybywszy do rezydencji pół godziny przed czasem, Lindsay i Jess podały wierzchnie okrycie służącej.

- Wiesz co? - Lin rozejrzała się po przestronnym holu. - Mamy na zbyciu kilka minut. Zamiast siedzieć bezczynnie w salonie, może oprowadzę cię po domu?

Jess chętnie przystała na propozycję. Głównie chciała zobaczyć obrazy przedstawiające Benjamina Fortune'a; ciekawa była, jak wyglądał jej dziadek.

W sali bilardowej wisiał portret, który najbardziej ją zaintrygował. Benjamin, dumny właściciel rancza w Clear Springs w stanie Wyoming, które wciąż było w posiadaniu

rodziny, stał w wyrazem rozbawienia na twarzy, jakby śmieszył go pomysł pozowania do portretu. Ubrany po kowbojsku w dżinsy i spłowiałą dżinsową koszulę, sprawiał wrażenie człowieka pewnego siebie, który mimo swoich pięćdziesięciu kilku lat nadal może się podobać kobietom.

Z artykułów, które Jess czytała na temat Moniki Malone, wynikało, że właśnie podczas romansu z Benem dawna gwiazda filmowa dowiedziała się, że Jake nie jest synem Bena. Oboje byli wówczas piękni i młodzi, a o ich romansie mówiła cała śmietanka Minneapolis.

Zdaje się, że babcia nie była jedynym podbojem Benjaminu Fortune'a, pomyślała Jess. Przypuszczalnie nie liczył się ze swoją żoną, którą zdradzał na prawo i lewo. Jako kobieta, którą również mąż zdradzał, czuła wrogość do mężczyzny na płótnie. A jednocześnie nie mogła odebrać od niego wzroku; szukała między nim a sobą jakiegoś podobieństwa rodzinnego.

Skończyła oglądać bibliotekę, jadalnię i salon, kiedy w holu pojawiła się Rebeka w towarzystwie Gabriela Devereax. Wyraźnie niezadowolona z obecności przystojnego ciemnowłosego detektywa, zwróciła się szeptem do Lindsay, że niestety nie udało się jej zniechęcić go do seansu. Stephen, który również był zaproszony, dołączył kilka minut później. Otoczywszy Jess ramieniem, rozglądał się z zaciekawieniem po eleganckiej rezydencji. Wszyscy czekali na przybycie medium.

Irina Ivanova, pulchna, lekko szpakowata kobieta ubrana na ogół w różne odcienie fioleto, przyjechała punktualnie. Rebeka przedstawiła ją obecnym, po czym na-

radziwszy się z madame Ivanova, oznajmiła, że seans odbędzie się w jadalni.

Podczas gdy uczestnicy zajmowali miejsca wokół stołu, pani Laughlin, gospodyni Jake'a, ruszyła na poszukiwanie świec. Wróciła z dwoma wielkimi świecznikami.

Kiedy zapalono świece, madame Ivanova poprosiła, aby w pokoju zgaszono światła i zaciągnięto zasłony. Półmrok, drgające płomienie, których blask odbijał się w lustrach, zawodzący wiatr znad jeziora, wszystko to tworzyło niesamowitą atmosferę.

Madame Ivanova skinęła z zadowoleniem głową.

- Czy przyniosła pani jakiś przedmiot należący do osoby zmarłej? - zwróciła się do Rebeki.

Rebeka podała medium wysadzany brylantami złoty zegarek, który rok przed śmiercią Ben podarował żonie. Madame Ivanova przez chwilę trzymała zegarek w dłoni, po czym przytknęła go do czoła, jakby chciała poczuć niewidoczne wibracje, i w końcu ułożyła go przed sobą na stole.

- Czy chcecie zadać jakieś konkretne pytania?

- Siostra i ja pragniemy usłyszeć głos naszej matki. Mamy nadzieję, że doradzi nam, jak pomóc Jake'owi.

- Doskonale - oznajmiło medium, wyciągając jedną rękę do Lindsay, drugą do Rebeki. - Teraz weźmy się wszyscy za ręce, zamknijmy oczy i starajmy się przywołać ducha Kate Fortune.

Mimo jawnego sceptycyzmu Gabriel Devereax posłusznie wykonał polecenie. Ale po kilku minutach, gdy zbiorowa koncentracja i wielokrotnie powtarzane prośby medium, aby Kate raczyła zaszczycić ich swoją obec-

nością, nie przyniosły skutku, detektyw zaczął się wiercić niespokojnie. Wreszcie nie wytrzymał.

- Zrezygnujmy z tej zabawy. Przecież wiadomo, że takie seanse to robienie ludzi w konia.

Rebeka syknęła gniewnie, bo nagle pojawiła się świetlista postać przypominająca Kate. W tym czasie Kate stała w sypialni na górze, słuchając przez głośniki okrzyków zaskoczenia, które rejestrowały mikrofony ukryte w starym kredensie.

- Przybywam do was, moje dzieci - rzekła lekko ochrypłym głosem. Miała na sobie zapinaną pod szyją wieczorową suknię, którą obie córki natychmiast rozpoznały.

W jadalni na dole zapadła cisza. Kiedy madame Iwanova zemdląca z wrażenia, nikt tego nie skomentował, wszyscy bowiem sądzili, że jest w transie. Po chwili ciszę przerwał Gabriel Devereax:

- Nie wiem, jak ona to robi! - zawołał ze złością. — Ale wiem, że to jedno wielkie oszustwo!

Rebeka wbiła paznokcie w jego ramię.

- Zamknij się, do cholery! Bo cię zabiję! Jak Boga kocham!

Lindsay, zawsze taka opanowana i rozsądna, drżała na całym ciele. Oczy lśniły jej od łez, czego Kate jednak nie widziała, gdyż obraz, jaki malutka kamera wideo przekazywała do sypialni na górze, miał nie najlepszą rozdzielczość.

- Mamo, czy to naprawdę ty?

Hologram zamigotał, po czym stał się bardziej wyrazisty.

- Tak, to ja. Dlaczego mnie wezwaliście?

Raptem Kate uświadomiła sobie, jakie to musi być niesamowite przeżycie dla jej córek: widzą ją, słyszą, a jednocześnie wierzą, że ona nie żyje.

Na pytanie odpowiedziała Rebeka:

- Bo Jake ma kłopoty. Chciałybyśmy mu pomóc.

Kate skinęła głową.

- Wiem o jego kłopotach - rzekła. - Moja rada brzmi: pamiętajcie o kobiecie podobnej z wyglądu do Lindsay.

Obraz zbladł i po chwili zniknął. Duch więcej się nie pojawił. Kiedy wreszcie Rebeka cofnęła rękę, którą z całej siły zaciskała na ramieniu Gabriela, detektyw poderwał się od stołu, włączył światło i pognął do mieszczącej się za ścianą spiżarni, pewien, że tam znajdzie dowody oszustwa. Ku swemu rozgoryczeniu żadnych nie znalazł. Słyszając krzyk Rebeki, wpadł z powrotem do jadalni. Zobaczył, jak Stephen pochyla się nad madame Ivanovą, która dopiero teraz zaczęła odzyskiwać przytomność.

- Idę przeszukać dom - oznajmił.

- Szukaj sobie, ile chcesz - powiedziała Rebeka. - Ale najpierw pomóż Stephenowi odprowadzić madame Ivanovą do samochodu.

Tymczasem Jess tuliła do siebie Lindsay, która zanosila się płaczem.

- To była mama. To na pewno była ona. Wszędzie bym rozpoznała jej głos. I pamiętam tę suknię. Boże, dlaczego zginęła w tej cholernej katastrofie? Dlaczego od nas odeszła?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy Stephen z Gabrielem pomagali wsiąść Irinie Ivanovej do samochodu, a Jess usiłowała pocieszyć przyjaciółkę, Kate i jej współspiskowcy spakowali sprzęt i wymknęli się tylnymi drzwiami na dwór. Potem wsiedli do ukrytej w wierzbowych zaroślach łodzi i szybko odpłynęli.

Kate, wystrojona w długą suknię wieczorową, siedziała zamyślona na drewnianej ławeczce, podczas gdy Patrick O'Malley i Jeff Soderquist, dwaj spece od efektów specjalnych, którzy pomogli jej przygotować spektakl, raz po raz zanurzali wiosła w wodzie. Nikt nic nie mówił. Kate zastanawiała się, co osiągnęła dzięki odegraniu roli ducha. Po pierwsze, przekazała informację, żeby rodzina i prawnicy przyjrzeliby się fałszywej bliźniaczce, a po drugie - na samą myśl o tym zrobiło się jej wesoło - napędziła stracha fałszywemu medium.

Przy okazji jednak sprawiła ból ukochanym córkom. Powinnaś częściej słuchać Sterlinga, skarciła samą siebie. Ale wiedziała, że w jej wypadku samokrytyka nigdy nie zdaje egzaminu.

Detektyw Gabriel Devereax odetchnął z ulgą na widok samochodu z medium znikającego za bramą posiadłości, po czym wrócił do domu. Chodził kolejno od po-

koju do pokoju, zapalając wszędzie światła i szukając dowodów na to, że cały seans został jakoś sfingowany. Poza paroma kablami, które wyglądały tak, jakby ktoś je pośpiesznie wepchnął do szafy i które niczemu nie służyły, nie znalazł nic.

Zszedł na dół i jeszcze raz nie omieszkął powiedzieć Rebecce, co sądzi o jej zafajdanych mediach i lipnych seansach.

- Chcesz mojej rady? Zacznij wreszcie żyć w normalnym, prawdziwym świecie!

Podejrzewając, że reszta osób zastanawia się, co też może ją łączyć z przystojnym detektywem, Rebeka posłała mu lekceważące spojrzenie.

- Wyjdź, zanim cię wyrzucę, dobrze?

- Spokojna głowa. Już mnie tu nie ma!

Trwały przygotowania do przyjęcia urodzinowego Chelsea. Ponieważ tego roku jesień w Minnesocie była wyjątkowo ciepła, Lindsay postanowiła, że uroczystość odbędzie się w ogrodzie. Liczni goście - członkowie obu rodzin, sąsiedzi, przyjaciele, dziatwa szkolna, kilku wynajętych kłownów - będą mogli swobodnie chodzić, biegać, skakać i nikt nikomu nie będzie przeszkadzał.

Urodziny wypadły w sobotę. Słońce świeciło na niebie, powierzchnia jeziora lśniła srebrzyście, soczystą zielenią drzew gdzieś urozmaicały czerwono-żółte barwy jesieni. Kłowni zjawili się wcześniej; nadmuchiwali balony, wieszali na gałęziach kolorowe łańcuchy. Magik ze swoją asystentką szykował sprzęty potrzebne do występu. Kelnerzy z firmy cateringowej wnosili tort

urodzinowy, lody i poncz owocowy dla dzieci oraz szampana i przystawki dla dorosłych.

Goście zaczęli się zjeżdżać około pierwszej po południu. Podczas gdy Stephen pomagał Frankowi obsługiwać bar, Jess zajmowała się najmłodszymi. Wycierała nosy, bandażowała kolana, rozstrzygała spory. Miała też okazję poznać innych członków rodziny Fortune'ów, z którymi wcześniej rozmawiała tylko przez telefon.

W pewnej chwili do bawiących się dzieci podeszła Kristina Fortune. Z tęsknotą w oczach obserwowała małych urwisów, po czym zwróciła się do Jess:

- Ta dziewczynka w jasnoniebieskiej sukience, niebieskim sweterku i z jasnym puszkim na głowie to Annie, prawda?

- Tak. Fryzura to oczywiście wynik chemioterapii. Za kilka dni nawet ten puszek wypadnie. Zanim będzie miała przeszczep, musi jeszcze raz przejść przez chemioterapię i naświetlania.

- Ojej. Podobno dorośli paskudnie znoszą chemię, a co dopiero takie małe dziecko...

Ledwo Kristina odeszła, mrużąc pod nosem, że musi poprawić makijaż, jej miejsce zajęła Lindsay z niejakim Grantem McClure'em, którego przedstawiła jako przyrodniego brata Kristiny.

- Tak jak Kristina, Grant przyjechał na srebrne wesele Nate'a i Barbary, które odbyło się wczoraj. Jest synem Barbary z jej pierwszego małżeństwa i większość czasu spędza na swojej farmie w Wyoming, więc rzadko go widzimy.

Wysoki przystojny ranczer o spieczonej słońcem twarzy i niebieskich oczach uśmiechnął się przyjaźnie.

- Cześć, Jessico. Szukam mojej siostry. Rozmawiałyscie minutę temu, a ona już zdążyła zniknąć. Umawialiśmy się, że podrzucę ją na lotnisko.

- Zdaje się, że poszła do łazienki, żeby poprawić makijaż.

- No to chwilę potrwa. - Grant ponownie wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Cieszę się, że Chelsea może być dawcą szpiku dla twojej córeczki. Gdyby to cokolwiek dało, sam też zgłosiłbym się na badania, ale skoro nie płynie we mnie krew Fortune'ów...

Kiedy w ogrodzie Toddów trwało przyjęcie urodzinowe, Kate siedziała ukryta w domku na sąsiedniej parceli i obserwowała wszystko przez lornetkę. Domek należał do znajomej Sterlinga, która od kilku miesięcy podróżowała po Europie. Dowiedziawszy się, że właścicielka zostawiła Sterlingowi klucz, Kate zażądała, aby pożyczycy jej go na jeden dzień.

- Nie dość narozrabiałaś podczas seansu? - zaprotestował Sterling. - Przez ciebie biedne medium straciło przytomność. Tylko nie rób takiej zdziwionej miny! Gabriel o wszystkim mi opowiedział!

Ale Kate znów się uparła; nie sposób było jej wyperswadować pomysłu.

- Ależ mój kochany! Przyjęcie będzie na zewnątrz, w ogrodzie. Zjawi się cała rodzina. A ja tak strasznie za nią tęsknię. Daję ci słowo honoru, że nikt mnie nie zobaczy. Będę stała w oknie i przez lornetkę podglądała moich bliskich.

Sterling oczywiście uległ. Zawiózł Kate na miejsce, wpuścił do środka i obiecał, że przyjedzie po nią za godzinę. Kate usadowiła się wygodnie na fotelu przy oknie i z bijącym sercem przytknęła oczy do umocowanej na specjalnym stojaku lornetki. Stojak z lornetką stanowił część wyposażenia domu; właścicielka korzystała z niego przez cały rok, latem oglądając pływające po jeziorze żaglówki, zimą zaś łyżwiarzy i wędkarzy łowiących ryby w przerębli.

Kate z zaciekawieniem obserwowała nowych partnerów i partnerki swoich licznych wnucząt, jak również najmłodszych członków rodziny. Kochała ich wszystkich, ale najbardziej tęskniła za własnymi dziećmi: Jakiem, Nate'em, Lindsay i Rebeką. Niby wiedziała, co się u nich dzieje, Sterling na bieżąco ją o wszystkim informował, mimo to wciąż odczuwała niedosyt.

Starając się pohamować wzruszenie, zaczęła rozmyślać o swojej przygodzie w amazońskiej dżungli. Pragnęła wrócić na łono rodziny, ale była silna; wiedziała, że wytrzyma tak długo, jak to się okaże konieczne.

Kiedy Sterling przyjechał po godzinie, by zamknąć dom i zabrać Kate do jej mieszkania w mieście, oczywiście zaprotestowała. Chciała chwilę dłużej nacieszyć się swoimi bliskimi. Sterling znów uległ jej prośbie.

- Wiesz, miałeś rację - przyznała. Kierowała lornetkę raz w prawo, raz w lewo, patrząc to na tę osobę, to na inną. - Moja nieobecność sprawiła, że wydorośleli. Stali się bardziej odpowiedzialni. - Uśmiechając się czule, pogładziła przyjaciela po ręce. - Dawniej zbyt często szukali u mnie rady i poparcia, a teraz nauczyli się samo-

dzielności. Lindsay promienieje szczęściem. Rebeka też, chociaż żałuję, że nie ma partnera. Nate po dwudziestu pięciu latach małżeństwa wciąż kocha Barbarę. Szkoda tylko, że między nim a Jakiem ciągle dochodzi do spięć.

Sterling doskonale się orientował, jak bardzo Kate przeżywa kłopoty swojego pierworodnego syna. Wcale się jej nie dziwił; miała powody do zmartwień.

- A propos Jake'a... Jak myślisz, czy ta cała sprawa z Monicą wzmocni jego charakter? Doda mu wiary w siebie?

Na wyrazistej twarzy Kate pojawił się smutek i zaduma.

- Chociaż nigdy wcześniej nie zastanawiał się, kto jest jego ojcem, zawsze czuł się gorszy od swojego rodzeństwa - powiedziała cicho. - I zawsze szukał we mnie wsparcia. Teraz po raz pierwszy stoczy bój. Bez mojej pomocy. Myślę, że sobie poradzi. Że wyjdzie z niego zwycięsko.

Sterling przyjrzał się Kate z podziwem.

- Jesteś piekielnie silną kobietą.

- Wiem. Nieraz mi to mówiono.

- Potrzebujesz mężczyzny, który by cię Utemperował i przejął na siebie część ciężących na tobie obowiązków. Kto wie, może kiedyś sam się tym zajmę?

Rozciągnęła wargi w uśmiechu.

- Kto wie, może kiedyś ci pozwolę - odparowała, po czym znów podniosła do twarzy lornetkę.

Lindsay, która rozmawiała z Natalie i jej nowym mężem, zmrużyła oczy przed niespodziewanym błyskiem. W oknie jadalni w pustym domu za ogrodzeniem odbił

się promień słońca. Dziwne, pomyślała Lindsay. Miała niemal wrażenie, jakby ktoś tam siedział i obserwował ją. Wiedziała jednak, że Bernice McDermott nadal podróżuje po Europie. Nie dalej jak trzy dni temu dostała od niej pocztówkę.

A może któryś z brukowców przysłał fotografa? Może jakieś pismo chce zdobyć fotografię rodziny i dołączyć ją do artykułu o Jake'u? Może ktoś tam siedzi z teleobiektywem i pstryka zdjęcia? Nie zamierzała na to pozwolić!

Przeprósivszy na moment Natalie, przeszła przez ogród i nie mówiąc Frankowi, dokąd się wybiera, przecisnęła się między krzakami oddzielającymi jej ogród od ogrodu Bernice. Ku swemu zdumieniu na podjeździe przed domem zobaczyła lincolna, a po numerach rejestracyjnych rozpoznała, że to samochód Sterlinga.

Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Nie zdawała sobie sprawy, jakiego strachu napędziła swojej biednej matce.

Po dłuższej chwili prawnik otworzył drzwi.

- Sterling, co tu robisz? - spytała. - Pomyliłeś domy? Przyjęcie urodzinowe Chelsea odbywa się tuż obok.

Sterling wykazał się niebywałym refleksem. Najspokojniej w świecie wyjaśnił, że jego klientka, pani Bernice McDermott, rozważa możliwość sprzedaży domu. Na jej prośbę przywiózł tu potencjalnego nabywcę, który pragnie pozostać anonimowy.

Słuchając głosu córki, Kate zacisnęła dłonie w pięści. Marzyła o powrocie do dawnego życia, ale wiedziała, że nie powinna się ujawniać. Jej dzieci i wnuki muszą się

jeszcze wiele nauczyć. Wcześniej też należałoby wyjaśnić, kto usiłował ją zabić i kto zamordował jej główną rywalkę, Monice Malone.

Ponieważ Bernice nic nie wspominała o zamiarze sprzedania domu i ponieważ Sterling stał w drzwiach, jakby własnym ciałem bronił wejścia, Lindsay nabrała podejrzeń. Zaczęła wypytywać go o kupca. Prawnik odmówił udzielenia jakichkolwiek odpowiedzi, wyjaśniając, że osoba zainteresowana kupnem nieruchomości prosiła go o dyskrecję.

W końcu Lindsay się poddała i wróciła na przyjęcie. Bądź co bądź była gospodynią. Ale nie spuszczała oka z sąsiedniego domu; ciekawa była, kim jest tajemnicza osoba, której tak bardzo zależy na zachowaniu anonimowości. Kiedy ze środka wyłoniła się Kate, oczywiście w kapeluszu i z woalką zasłaniającą twarz, Lindsay poczuła dziwny dreszcz.

Coś w sylwetce i ruchach tajemniczej postaci wydało się jej bardzo znajome.

W przeddzień powrotu Annie do szpitala na radioterapię i chemioterapię Jess ze Stephenem zabrali ją do kina na film o przygodach psa niezguły. Mimo że śmiali się do rozpuku, oboje czuli wewnętrzny niepokój.

Po filmie usiedli razem i dokładnie wyjaśnili dziewczynce, na czym będzie polegała kolejna kuracja i czego należy po niej oczekiwać. Nie kryli przed Annie, że wypadną jej wszystkie włosy i znów będzie wymiotowała; mówili, że będzie się czuła jeszcze gorzej niż podczas pierwszej chemioterapii. Ale później wydobrzeję i już

nigdy więcej nie wróci do szpitala, chyba że na badania kontrolne czy po poradę.

- Czy Chelsea i ja będziemy w tym samym pokoju?

Wiedziała, że jej przyjaciółka też idzie do szpitala, chociaż nie do końca zdawała sobie sprawę, w jakim celu.

- Nie, kochanie - odparł Stephen. - Dopóki twój organizm nie nabierzesz odporności, istnieje duże ryzyko zakażenia. Dlatego musisz leżeć w sterylnym pomieszczeniu, tak jak zeszłym razem. Chelsea będzie na tym samym piętrze co ty, ale niestety nie będziecie mogli się odwiedzać.

Przypomniawszy sobie swój poprzedni pobyt, zaczęła płakać.

- Nie lubię szpitali! Nie zawoźcie mnie tam! Ja się dobrze czuję. Od dawna nie miałam gorączki. Nie chcę więcej brać tych okropnych leków.

Rano sprawdziły się ich najgorsze obawy. Łzy lały się Annie z oczu. Dziewczynka wrywała się. Usiłowała wysiąść z samochodu i uciec do domu. Szlochała, błagała matkę, aby nie wiozła jej do szpitala. Stephen patrzył bezradnie, jak Jess próbuje uspokoić córkę. To samo przed laty przechodził z Davidem.

Ponieważ w sumie była posłusznym, dobrze wychowanym dzieckiem, nie gryzła, nie kopała, nie drapała. Kiedy dotarli na miejsce, Jess pomogła jej włożyć koszulę szpitalną. O mało się nie załamała, kiedy zobaczyła pełne wyrzutu spojrzenie córki.

Późnym popołudniem do pokoju przyszła pielęgniarka. Wbiła dziewczynce igłę, wyjaśniając, że tędy dostarczane będą do organizmu leki. A żeby przyjął się nowy

szpik, trzeba wcześniej zniszczyć wszystkie chore komórki. Tym razem dawka chemii będzie znacznie większa niż za pierwszym razem.

Annie leżała podłączona do aparatury monitorującej akcję serca, ponieważ czasem chemioterapia osłabia mięsień sercowy. Leżała spokojnie, cichutko tylko jęknęła, kiedy poczuła klucie. Zmęczona i wystraszona, zachowywała się jak wzorowy pacjent.

Kiedy leki zaczęły wpływać do jej ciała, oczy Annie straciły blask, a porośnięta jasnym puchem głowa opadła bezwładnie na poduszkę. Jess myślała, że zwariuje z rozpaczy. Gdybym tylko mogła zamienić się z nią miejscami, pomyślała, podrywając się z krzesła, aby podać córce metalową miskę. Dziewczynką wstrząsnęły wymioty.

Stephen reagował inaczej. Był lekarzem i wiedział, że nie należy okazywać lęku. Ale kochał Annie i cierpiał na równi z Jess.

Jedno tylko nie dawało mu spokoju: bał się, czy będzie miał dość siły, aby nie zawieść Jessiki. Liczyła na niego, na jego pomoc i wsparcie. Tak jak kiedyś Brenda. A jednak żonę zawiódł. Jaka jest gwarancja, że tym razem zachowa się inaczej?

Trzeciego dnia, kiedy Lindsay wpadła odwiedzić Annie i przekazać Jessice wiadomość od Rebeki, mdłości zaczęły wreszcie ustępować.

Otóż detektyw Harbing sceptycznie odniósł się do informacji o seansie, podczas którego uczestnikom ukazał się duch Kate. Jednakże na wszelki wypadek postanowił zainteresować się „kobietą podobną z wyglądu do Lindsay”.

Być może niedługo Tracey Ducet i jej wstrętny narzeczony będą musieli udzielić policji paru wyjaśnień.

Okazało się też, co bardzo ucieszyło Jake'a i dostarczyło kolejnych argumentów Silbermanowi, że na miejscu zbrodni znaleziono kilka włosów. Badania DNA wykazały, że nie są to włosy Jake'a ani Moniki. Ani też innych osób, o których wiadomo, że przebywały w domu aktorki. Jeden z włosów miał barwę pszenicy, ale został ufarbowany na odcień kasztanowy - tego koloru włosy nosiła zarówno Lindsay, jak i kobieta podająca się za jej siostrę.

- Szalenie podniosło to Jake'a na duchu - ciągnęła Lindsay. - Powiedział też Rebecce, że gdyby wierzył, że jest synem Bena, przebadałby się, aby sprawdzić, czy nie mógłby być dawcą szpiku dla Annie. A wiesz, co jest najbardziej zdumiewające? Zadzwoił z aresztu do Nate'a, żeby go przeprosić za swoje zachowanie. Oświadczył, że faktycznie lepiej będzie, aby na razie Nate zastąpił go u steru Fortune Industries. I obiecał służyć mu pomocą.

Przebywając wśród Fortune'ów od prawie trzech miesięcy, Jess wiedziała o rywalizacji między braćmi, która źle wpływała na interesy firmy, a siostronom przysparzała zmartwień.

- To wspaniale, Lin - rzekła, siląc się na entuzjazm. - Wiem, jak bardzo zależało ci, aby stosunki między nimi uległy poprawie.

- To prawda - przyznała Lindsay. Po chwili milczenia przeszła do sprawy przeszczepu. - Słuchaj, Jess. Stephen wspomniał, że chciałby pobrać szpik od Chelsea

pojutrze rano. Pięć z sześciu antygenów pasuje, więc wszystko powinno pójść gładko. Ale to czekanie trochę mnie wykańcza. Wiem, że ty masz dużo większe powody do niepokoju niż ja, lecz mimo to boję się o moją małą. Jak to zniesie, co będzie czuła, czy nie będzie jej bolało...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zpracowani Toddowie wzięli jednodniowy urlop, aby przez cały dzień być z córką. Dziewczynce podano narkozę. Leżała na stole operacyjnym, kiedy Stephen wszedł do sali ubrany w jasnoniebieski fartuch chirurgiczny i sterylne rękawiczki.

Popatrzył na swoją ośmioletnią sąsiadkę. Nieczęsto się zdarzało, aby dawcą szpiku dla osoby chorej na białaczkę było dziecko. Dzięki odwadze i wielkoduszności Chelsea Annie miała szansę na normalne życie, na to, aby kiedyś w przyszłości być żoną, lecz nie matką - przypuszczalnie chemioterapia pozbawiła ją tej możliwości.

Jesteś bardzo dzielna, Chelsea, powiedział w myślach do uspiętego dziecka, po czym wyciągnął rękę po skalpel i wykonał trzy lub cztery małe cięcia na wysokości talerza biodrowego. Twój rodzice mogą być z ciebie dumni.

Tyle razy pobierał od dawcy szpik do przeszczepu, że zajęło mu to niecałe czterdzieści minut. Kiedy skończył, delikatnie pogłaskał Chelsea po ramieniu i wydałszy pielęgniarce kilka poleceń, poprosił, aby przewiozła dziewczynkę do sali pooperacyjnej.

Po chwili, już bez rękawiczek, ale wciąż w fartuchu, wyszedł do poczekalni, w której czekali Toddowie.

- Wasza córka to prawdziwy zuch - powiedziała. - Widziałem się z nią, zanim podano jej narkozę. Szpital nie budził w niej najmniejszego strachu. Kto wie, może zostanie lekarką?

Lindsay uśmiechnęła się. Wciąż była zdenerwowana, choć oczywiście czuła ulgę, że jest już po wszystkim.

- Na razie chce zostać baletnicą. Nawet prosiła, że-
bym cię spytała, jak szybko może podjąć lekcje tańca.

Przed dokonaniem przeszczepu szpik kilka razy prze-
filtrowano, aby usunąć z niego fragmenty krwi i kości. Dopiero gdy był oczyszczony, umieszczono go w steryl-
nej plastikowej torebce, którą zawieszono na stojaku z kroplówką.

Łzy radości płynęły Jessice po policzkach, kiedy w maseczce na twarzy, fartuchu i rękawiczkach - stroju, który musiała wkładać, ilekroć chciała pobyc z córką - patrzyła na swoje śpiące dziecko. Wreszcie! Tyle czasu modliła się o cud! Plastikowy woreczek z bezcennym da-
rem wisiał wśród innych torebek na metalowym stojaku.

Może Annie nigdy nie zostanie matką, chyba że a-
dopcyjną, ale przynajmniej będzie żyła! Miała szansę stu-
diować, zakochać się, wyjść za mąż, znaleźć ciekawą pra-
cę. Rzecz jasna, niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Mimo wszystkich środków ostrożności zawsze mogło wdać się zakażenie, z którym pozbawiony odporności or-
ganizm dziecka sobie nie poradzi.

Poza tym istniało ryzyko odrzutu. Wprawdzie pięć antygenów na sześć się zgadzało, ale... Gdyby organizm Annie zbuntował się przeciwko obcemu ciału, sytuacja bardzo by się skomplikowała. Jess miała jednak nadzieję,

że wreszcie los się do nich uśmiechnął; że po tylu trudach jej ukochane dziecko wreszcie będzie zdrowe.

Chelsea wypisano ze szpitala nazajutrz rano. Nie mogła wejść do pokoju przyjaciółki, ale mogła do niej pomachać przez szybę. Stephen zaś z każdym mijającym dniem nabierał coraz większej pewności, że przeszczep się udał. Na skutek leczenia chemią Annie straciła apetyt i miała kłopoty żołądkowe, ale chętnie piła małymi łykami wodę i często przed zapadnięciem w kolejną drzemkę posyłała matce słaby, nieporadny uśmiech. Sen dobrze jej robi, powtarzał Stephen. Nie pojawiły się dreszcze ani gorączka.

Z kolei Jess, która cały czas siedziała na fotelu obok łóżka córki, cierpiała na bezsenność. Zauważyła, że Stephen również ma podkrążone oczy. Zapewne też się nie wysypiał. Zostawał dłużej w szpitalu, jakby chciał być pod ręką, gdyby coś się stało.

Dziewięć dni po przeszczepie Stephen wykonał biopsję szpiku, po czym poinformował Jess, że nowy szpik zaczyna funkcjonować. Chociaż uprzedził ją, że właśnie w tym okresie najczęściej następuje tak zwana reakcja przeszczepu przeciwko gospodarzowi, tego wieczoru Jess wreszcie udało się zasnąć. Tuż po trzeciej nad ranem obudził ją jakiś hałas. Otworzywszy oczy, zobaczyła dwie pielęgniarki, które świecąc latarką, pochylały się nad łóżkiem Annie.

- Temperatura podskoczyła - wyjaśniła szeptem starsza. - I pojawiła się wysypka. Trzeba skontaktować się z doktorem Hunterem.

Nic więcej nie chciały powiedzieć. Proszę porozmawiać z lekarzem, powtarzały z uporem.

Jess odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała, że Stephen przyjedzie do szpitala, zamiast udzielać instrukcji telefonicznie. Ale kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, nogi się pod nią ugięły.

- Stephen...

- Nic nie mów, Jess. Muszę ją najpierw obejrzeć.

Stała bez słowa, posłusznie o nic nie pytając, tylko patrząc, jak bada jej dziecko. Kiedy wydał odpowiednie dyspozycje, poprosił, aby wyszła z nim na korytarz.

- Czy to ta reakcja, o której mówiłeś? - spytała, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Skinał ponuro głową.

- Niestety, wszystko na to wskazuje. Są trzy miejsca, które zwykle bywają zaatakowane: skóra, wątroba, przewód pokarmowy. Pojawiła się wysypka. Podejrzewam, że podrażniony chemią przewód pokarmowy wkrótce też da o sobie znać. Na razie nie ma śladów żółtaczkii, ale na wszelki wypadek kazałem zbadać Annie pod tym kątem.

- Miałam nadzieję, że skoro zgadza się pięć na sześć antygenów...

- Pięć na sześć to rzeczywiście dużo, zwłaszcza że dawcą nie jest bliźniak. Ale Niestety. Ten szósty niepasujący antygen wpływa na poziom odporności biorcy, na możliwość przyjęcia lub odrzucenia przeszczepu.

Nie chciała tego słuchać; pragnęła słów pociechy, zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

- Mówiłeś, że jeśli nastąpi odrzut, sytuacja może być bardzo groźna. Że niektórzy umierają...

Modliła się w duchu, aby temu zaprzeczyć.

Chciałby, ale wiedział, że nie może jej zwodzić; musi być szczery.

- To prawda - przyznał z ciężkim sercem. - Ale Annie jest młoda. W dodatku pięć antygenów pasuje. U pacjentów, którym udaje się przeżyć taki epizod, następuje całkowita remisja.

Patrzyła na niego z przerażeniem w oczach.

- Stephen! Ja nie chcę jej stracić! Ja...

Widok ciężko chorego dziecka podłączonego do kroplówki, na której wisi siedem lub osiem plastikowych woreczków, sprawił, że Stephenowi odżyła w pamięci walka, jaką jego syn David stoczył ze śmiercią. Przewyciężając pokusę, by wybiec na korytarz, uciec od wspomnień, postanowił, że zrobi wszystko, aby uratować Annie.

- Prawie u połowy chorych, którym robi się przeszczep alogeniczny, występuje reakcja immunologiczna. Większość z nich przeżywa - oznajmił. - Annie otrzymuje leki mające zapobiec odrzutowi. Kazałem dawkę leków zwiększyć. Jess... idź do poczekalni, wyciągnij się tam na kanapie i prześpij. Poproszę salowego, żeby przyniósł ci koc.

- Chcę być z Annie!

- Tylko będziesz przeszkadzała - powiedział oschle.
- Poleciłem pielęgniarce, żeby co dziesięć minut myła Annie. Musimy zbić jej gorączkę.

Czując, że nic nie wskóra, Jess skierowała się ku drzwiom. Pół godziny później wyłoniła się z poczekalni i napotkawszy oddziałową, spytała o doktora Huntera.

- Pewnie wrócił do domu i śpi - odparła kobieta pełniąca nocny dyżur. - Na pani miejscu zrobiłabym to samo. My się naprawdę troszczymy o pani córeczkę.

Jessicę ogarnęło jeszcze większe przygnębienie. Mężczyzna, którego kochała i który, jak sądziła, ją kocha, pojechał do domu. Zostawił ją, kiedy tak bardzo go potrzebowała. Zupełnie jakby nic ich nigdy nie łączyło.

Ani ona, ani oddziałowa nie wiedziały, że Stephen nie opuścił szpitala. Leżał na kozetce w pokoju lekarskim, z pagerem przy uchu.

Kiedy usłyszała, jak rodzice rozmawiają o stanie zdrowia Annie, Chelsea bardzo się zmartwiła.

- Myślałam, że mój szpik jej pomoże, a nie zaszkodzi - powiedziała płaczącym tonem, gramoląc się ojcu na kolana.

Frank usiłował pocieszyć córkę; tłumaczył, że taka reakcja występuje niemal u połowy ludzi, którym robi się przeszczep - wyjątkiem są bliźniacy.

- Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - kontynuował. - Na ogół kiedy organizm usiłuje zwalczyć obce ciało, to jednocześnie zabija komórki rakowe, których nie zniszczyła chemioterapia.

Dowiedziawszy się od rodziny o zmianie, jaka nastąpiła w zachowaniu Jake'a wobec brata, Erica postanowiła wybrać się do niego z wizytą. Zdumiała samą siebie, kiedy powiedziała mu, że bez względu na to, czy pozostaną małżeństwem, czy się rozwiódą, zawsze może na nią liczyć.

- Po trzydziestu trzech wspólnie spędzonych latach i piątce dzieci powinniśmy być przyjaciółmi.

Na moment wzruszenie odebrało mu głos. Zawsze uważał, że nie dorasta do jej ideału mężczyzny. Teraz jednak sobie uświadomił, że skoro upadł tak nisko, a jej to nie odstrasza, to może nie wszystko jest jeszcze stracone. Może mają szansę naprawić małżeństwo...

- A może więcej niż przyjaciółmi? - spytał, pragnąc ją pocałować. Niestety dzieliła ich szyba. - Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. To, że tu przyszłaś, że wierzysz w moją niewinność...

Pożegnali się, przykładając dłonie do szyby. Po powrocie do celi Jake długo myślał o swoim życiu i przyszłości, jaka go czeka. Obiecał sobie, że gdy wyjdzie na wolność, zmieni się. Będzie częściej przebywał z rodziną i postara się zrealizować marzenia, które miał jako chłopiec. Przynajmniej te, które nadal przystoją dorosłemu mężczyźnie.

Któregoś popołudnia, przybita tym, że stan Annie nie ulega poprawie, a także dziwną postawą Stephena, Jess poskarżyła się Lindsay.

- Zachowuje się tak, jakby żałował, że kiedykolwiek nas coś łączyło - powiedziała smutno. - Ilekroć próbuję z nim rozmawiać na temat Annie, odpowiada żargonem medycznym. A potem znika. Co ja takiego zrobiłam? Czym mu się naraziłam?

Ku jej zdumieniu przyjaciółka pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Zachowanie Stephena jest całkiem naturalne, zwa-

żywszy na to, że trzy lata temu stracił kilkuletniego syna, Davida. Chłopiec zmarł na skutek rzadkiej odmiany raka kości... a rok później, nie mogąc sobie poradzić z tragedią, Stephen rozwiódł się z żoną. Kiedy poznał ciebie, postanowił zaryzykować i zburzyć mur, jakim odgrodził się od świata. Jednakże choroba Annie oraz świadomość ciężającej na nim odpowiedzialności... Sama rozumiesz.

Jess była wstrząśnięta tym, co usłyszała.

- O Boże, Lin. Nie wiedziałam o jego synu. Nigdy mi o nim nie mówił. - Przymknęła oczy. - To musi być dla niego straszne. Patrząc na Annie, przypomina mu się, jak walczył o życie własnego dziecka. Muszę go znaleźć, Lin! Znaleźć i przekonać, że o nic go nie winię, że wszystko rozumiem.

Krażyła po całym oddziale. Bez skutku. Postanowiła więc wstąpić do kaplicy i prosić o radę kapelana. I właśnie tam, w jednej z ławek, ujrzała Stephena. Siedział z nisko spuszczoną głową, jakby pogrążony w modlitwie. Delikatnie położyła rękę na jego ramieniu.

Z jego oczu wycierał ból.

- Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, Jess - oznajmił łamiącym się głosem. - Może ktoś inny powinien zająć się Annie.

Poza nimi nikogo w kaplicy nie było. Usiadła obok niego.

- Lindsay powiedziała mi o Davidzie. O tym, jak umarł. A także o tym, dlaczego Brenda się z tobą rozwiodła. Dzięki temu wiele spraw lepiej zrozumiałam. Posłuchaj, Stephen. Cokolwiek się stanie, wiem, że starałeś

się uratować Annie. Zawsze będę ci za to wdzięczna. I zawsze będę cię kochać.

Mruknął coś o przyjaciołach, że dobrze ich mieć, ale nie potrafił otworzyć się, wyrzucić z siebie bólu, wyznać, co go gnębi. Że nie sprawdził się przed laty, kiedy Brenda go potrzebowała, i boi się, że teraz też nie podoła.

Z drugiej strony nie chciał stracić Jess, więc instynktownie wziął ją w ramiona i niemal zmiążdżył w uścisku.

- Pragnę być z tobą - szepnął. - Z tobą i Annie. Nawet się nie domyślasz, jak bardzo. Ale nie wiem, czy potrafiłbym być dobrym mężem i takim ojcem, jakiego Annie potrzebuje.

Mądrzejsza o wiedzę, którą przekazała jej Lindsay, Jess nie naciskała. O nic nie prosiła, niczym nie groziła, powiedziała tylko, że wystarczą jej jego ramiona, aby od czasu do czasu ją objęły.

Uścisnął Jess jeszcze mocniej, wdzięczny za jej powściągliwość i wyrozumiałość.

- Na to zawsze możesz liczyć.

Wkrótce później wjechali windą na oddział hematologii. Jess bez słowa stanęła pod ścianą, pozwalając Stephenowi wykonać swoje obowiązki. Gdy skończył badać Annie, z jego twarzy znikł ponury, zasepiony wyraz.

- Wydaje mi się, że widzę drobną poprawę.

Rano poprawa była widoczna gołym okiem. Gdy Jess obudziła się po kolejnej niespokojnej nocy spędzonej na fotelu, Annie, po raz pierwszy od wielu dni wsparta na poduszkach, akurat prosiła pielęgniarkę o coś do picia. Jessicę ogarnęła bezbrzeżna radość. Moje maleństwo wyzdrowieje! Miała ochotę wykrzyknąć to na całe gardło.

Pochyliwszy się nad łóżkiem, przez maskę na twarzy pocałowała córkę w łysą główkę.

Stephen zaglądał do nich, ale rzadziej niżby chciał. Miał innych pacjentów, którymi musiał się opiekować. Czasem korciło go, aby porwać Jess do siebie na noc, ale wiedział, że nie może. W tej chwili najważniejsza dla niej była Annie.

Obie wiele w życiu przeszły - białaczka, nieudane małżeństwo, śmierć męża i ojca. Czy miał prawo cokolwiek od Jess żądać? Żeby przyjęła go takim, jakim jest? Żeby cierpliwie znosiła jego wielogodzinną nieobecność w domu, stresującą pracę, nagłe wezwania do szpitala? Żeby sama wychowywała dzieci?

No właśnie, dzieci. Bardzo chciał mieć z nią dziecko. Annie ucieszyłaby się z braciszka lub siostrzyczki.

Kate, ubrana w czerwoną jedwabną piżamę w orientalny wzór i czerwone kapcie z satyny, krążyła po mieszkaniu niczym tygrysyca po klatce, kiedy Sterling wpadł do niej z niespodziewaną wizytą.

- Włącz telewizor - polecił w drzwiach. - Policja dokonała kolejnego odkrycia w sprawie zabójstwa Moniki Malone. Na pewno cię zaciekawia.

Posłusznie wcisnęła przycisk na pilocie, Sterling zaś podszedł do barku i nalał im po szklaneczce whisky. Mniej więcej po minucie rozpoczęły się lokalne wiadomości. Główna informacja dotyczyła fiołki z próbką magicznego kremu odmładzającego, którą kilka miesięcy temu, podczas jednego z wielu tajemniczych włamań, skradziono z laboratorium Fortune Cosmetics.

Skradzioną fiolkę, do której wciąż doczepiona była kartka z nazwą firmy oraz nieczytelne notatki sporządzone ręką Nicka Valkova, głównego chemika, a zarazem dyrektora działu rozwoju Fortune Cosmetics i męża wnuczki Kate, Caroline Fortune Valkov, policja odkryła w domu zamordowanej aktorki. Po znalezieniu włosów i odcisków butów świadczących o tym, że być może aresztowano niewłaściwego człowieka, policja wystąpiła o nakaz rewizji, po czym dokładnie przeszukała cały dom.

Kate na moment oderwała wzrok od ekranu i popatrzyła z niedowierzaniem na Sterlinga.

- Fiolka, podobno skradziona w zeszłym roku, leżała w pudełku po butach. Oprócz niej w pudełku, wsuniętym pod umywalkę w łazience, leżało kilka butelek markowych perfum i pojemniczków z balsamem do ciała - relacjonował spiker. - Policja nie chce na razie zdradzić, czy fakt znalezienia fiolki będzie miał jakikolwiek wpływ na proces oskarżonego o zabójstwo pani Malone Jacoba Fortune'a, szefa Fortune Industries, któremu podlega Fortune Cosmetics.

- Niesamowite! - zawołała Kate, wyłączając pilotem dźwięk, gdy spiker przeszedł do kolejnego tematu. - Monica stała za włamaniami! Chciała nam przeszkodzić, uniemożliwić wypuszczenie na rynek nowego, genialnego produktu! Może ona wynajęła faceta, który miał mnie zabić? Skoro mogła dopuścić się włamania, równie dobrze mogła ważyć się na morderstwo.

- Niewykluczone - przyznał jej rację Sterling. - Chociaż bez dokładnego dochodzenia nie możemy mieć pewności. Natomiast interesuje mnie...

- Co to oznacza dla Jake'a? - Usiadła na brzegu krzesła, twarzą do prawnika. - Czy w oczach policji to kolejny powód do zamordowania Moniki, czy niekoniecznie?

Sterling wzruszył ramionami. Zaaranżowanie przez Monicę włamania świadczyło o tym, że była zagorzałym wrogiem Fortune'ów, gotowym na wszystko, aby ich zniszczyć i doprowadzić do bankructwa. Niestety, nie oczyszczało to Jake'a z ciężących na nim podejrzeń.

- Wystąpię jutro do sądu o zwrot fiolki. Policja będzie chciała ją zachować jako dowód rzeczowy, a ja będę żądał, aby zwrócono ją prawowitym właścicielom. Nawet jeśli to nic nie da, przynajmniej pokażemy, że jesteśmy stroną pokrzywdzoną.

Z dnia na dzień stan Annie się poprawiał, a za oknem następowała coraz większa eksplozja kolorów. Powoli jednak wspaniałe szkarłaty, żółcie i złota opadały z drzew na chodniki i szeleściły przechodniom pod nogami.

Annie mogła już siedzieć w łóżku i jeść normalnie; z początku dostawała zupę i galaretkę, później to samo co inni. Najbardziej ucieszyła się z cheeseburgera. Stopniowo zaczęła też przejawiać zainteresowanie książeczkami do malowania, plastikowymi zabawkami od Stephena i filmami rysunkowymi w telewizji. Coraz częściej pytała matkę, kiedy wróci do domu - nie do domu w Anglii, lecz do domu w Minneapolis.

Wyniki kolejnych biopsji wypadły doskonale. Wszystko wskazywało na to, że przeszczep się przyjął, że białaczka została pokonana.

Jak tak dalej pójdzie, oznajmił Stephen, to na Halloween dziewczynka powinna już być w domu. Jess nie posiadała się z radości.

Odkąd przywiozła Annie do szpitala, ani razu nie kochała się ze Stephenem. W sumie bardzo mało czasu przebywali razem. Wprawdzie Stephen wyznał, że chciałby z nimi spędzić resztę życia, ale instynkt podpowiadał jej, by nie narzucać się - niech sam dojrzeje do tej decyzji.

Wiedząc, że Annie najgorsze ma za sobą, zaczęła wracać do domu na noc. Mogła się wykapać po całym dniu w szpitalu i wreszcie porządnie wyspać. Czuła błogi spokój w sercu. Miała nadzieję, że teraz, gdy Annie już nic nie grozi, Stephen też przestanie się zdręzczać i zrozumie, że będzie wspaniałym mężem i ojcem.

Postanowiła wynająć mieszkanie. Od początku twierdziła, że jedyna rzecz, jaką chce od Fortune'ów, to szpik dla swojej córki, uznała więc, że nie powinna dłużej korzystać z ich gościnności. Ponieważ musiała pozostać w Minneapolis - ze względu na badania kontrolne Annie, a także ze względu na siebie - zainteresowała się trzypokojowym mieszkaniem kilka ulic od szpitala. Wpłaciwszy depozyt w wysokości jednomiesięcznego czynszu, powiedziała właścicielowi, że wprowadzi się z córką około ósmego listopada.

Ostatniego dnia października drzewa były już nagie, a powietrze wyraźnie chłodne. Jess pędziła do szpitala na skrzydłach - właśnie dziś, w święto duchów, Annie miała być wypisana do domu. Na wieczór, kiedy Annie się wyśpi, zaplanowała małą uroczystość: zaprosiła Todów z dziećmi, Stephena i Rebekę.

Wzruszenie ścisnęło jej gardło, kiedy Stephen po raz ostatni badał Annie.

- No, moja panno, jesteś zdrowa jak rydz!

W drzwiach tłoczyło się kilka pielęgniarek, które w ciągu tych kilku tygodni bardzo zżyły się ze swoją małą podopieczną.

- Nie zapomnij o nas, skarbieńku! - zawołała jedna.

- Odwiedź nas, jak przyjdiesz z wizytą do pana doktora - dodała druga.

Trzecia, siostra oddziałowa, wręczyła Annie ogromnego pluszowego psa.

- Niech ci ten piesek na razie zastępuje Herkiego.

Annie od razu mocno przytuliła do siebie zwierzaka, a Jess czym prędzej pstryknęła zdjęcie.

Nadmiar wrażeń zmęczył dziewczynkę, toteż po powrocie do domu bez protestu położyła się spać. Jess miała czas spokojnie przygotować posiłek na wieczór, a także spakować do kartonów trochę rzeczy, jakich im się od lipca nabierało.

O szóstej, kiedy przyszli Toddowie z dziećmi, Annie siedziała na kanapie, przykryta kocem. Kilka minut później zjawiła się Rebeka z domowymi wypiekami i książeczką do malowania dla rekonwalescentki. Stephen zadzwonił przeprosić, że się spóźni.

Udało mu się wyrwać ze szpitala, kiedy Jess z gośćmi siadała do stołu. Takie ją czeka ze mną życie, pomyślał smętnie. Ale i tak zamierzał się jej oświadczyć.

Po drodze wstąpił do domu po pierścionek, który kupił miesiąc temu. Kiedy w końcu przybył na miejsce, wszyscy kończyli już jeść. Starając się zapanować nad emo-

cjami, uściskał na powitanie Jess, pocałował Annie w czoło, po czym skinąwszy do Toddów i Rebeki, przeszedł do łazienki, żeby umyć ręce. Niechcący zerknął do sypialni i stanął jak wryty.

Wystraszył się nie na żarty. Z powodu jego niezdecydowania i tchórzostwa Jess, nic mu o tym nie mówiąc, postanowiła wrócić do Anglii! Już zaczęła się pakować!

Jess zorientowała się, że coś jest nie tak, gdy tylko Stephen zajął miejsce przy stole. Jeszcze przed chwilą był głodny jak wilk, a teraz nic nie jadł; siedział zamysłony nad filiżanką czarnej kawy, prawie wcale nie uczestnicząc w rozmowie.

Wyczuwając dziwne napięcie między Stephenem a Jess, goście pożegnali się i mimo protestów dzieci, które chciały zostać dłużej, skierowali się do drzwi. Jess, chociaż zżerała ją ciekawość, o co Stephenowi chodzi, najpierw zajęła się Annie; pomogła córce umyć zęby, przebrać się w piżamę, położyć do łóżka.

- No dobrze, co się stało? - spytała, wróciwszy do salonu. - Odkąd się pojawiłeś, patrzysz na mnie wilkiem.

Wyglądała tak pięknie, gdy stała z rękami na biodrach i błyskiem gniewu w oczach. Marzył o tym, aby porwać ją w ramiona, opowiedzieć jej, co zaplanował: wezmą ślub, potem ona i Annie wprowadzą się do jego domu, ściagną z Anglii Herkiego...

- Stephen?

- Muszę przyznać, Jess, że zaskoczyłaś mnie swoją decyzją powrotu do Anglii. Kiedy zobaczyłem w sypialni kartony...

Na moment oniemiała ze zdumienia. Po czym oznajmiła chłodno:

- Owszem, w sypialni są kartony, bo się przeprowadzam. Wynajęłam mieszkanie koło szpitala. Chociaż Lindsay i Rebeka nalegały, żebym tu została, postanowiłam nie nadużywać ich gościnności. Jeśli zaś chodzi o powrót do Anglii... mam dość rozumu, żeby nie zabierać stąd Annie tak szybko po przeszczepie. Wiem, że musi przychodzić do ciebie na badania kontrolne.

Nie powiedziała całej prawdy, był bowiem jeszcze jeden powód, dla którego postanowiła zostać w Minneapolis. Miała nadzieję, że któregoś dnia Stephen się jej oświadczy.

Teraz albo nigdy, pomyślał. Jeśli się będę wahał, stracę ją. A do tego nie mógł dopuścić. Annie potrzebowała ojca, Jess potrzebowała męża, a on kochał je obie z całego serca. Chociaż wiedział, że rana po śmierci syna nigdy się nie zagoi, wiedział również, że nie w ten sposób - nie samą pracą i snem - powinien czcić pamięć Davida.

Głosem przepełnionym uczuciem spytał, czy już zapłaciła za mieszkanie.

Jess przyjrzała mu się uważnie.

- Dlaczego pytasz?
- Bo nie pozwolę ci tam zamieszkać. Kocham cię, Jess. I kocham Annie. Zamieszkamy wszyscy razem. W naszym domu.

Uśmieślona, rzuciła mu się w ramiona.

- O niczym bardziej nie marzę!

- Jutro załatwimy wszystkie formalności, dobrze?

Różne obrazy zaczęły mu się przesuwać przed oczami:

widział, jak w trójkę lepią bałwana, jak on z Jess kochają się przy kominku, jak budzą się razem w jednym łóżku. Pragnął ofiarować jej wszystko, co mógł, całego siebie. I bardzo pragnął mieć z nią dziecko.

Nie wiedział, że myśli Jess podążają tymi samymi torami.

- Szkoda, że nie znałaś mojego syna - szepnął, dodając po chwili: - Ale będziemy mieli własne maleństwo. Braciszka lub siostrzyczkę dla Annie.

- Och, tak! - odparła zachwycona. - Tylko... mam jedną prośbę.

Patrzył na nią pytająco.

- Formalności możemy załatwić jutro, ale ze ślubem wolałabym poczekać, aż nasza drużna całkiem wyzdrowieje. - Spojrzenie miała rozmarzone, wabiące. - Natomiast sprawą braciszka lub siostrzyczki możemy zająć się już dziś. Go ty na to?

EPILOG

Nate wpadł do aresztu, by dać Jake'owi do podpisania stos dokumentów. Wręczył papiery strażnikowi, który przekazał je Jake'owi; ten wszystko podpisał, niczego nie krytykując. Ku ich obopólnemu zdziwieniu dogadywali się znacznie lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

- Może to nam było potrzebne? Szyba, która by nas oddzielała?

- Nawet nie wiesz, jak mnie czasem drażniłeś - przyznał Nate. - Ale mimo to nigdy nie przestałem cię kochać.

- Ani ja ciebie - powiedział Jake, zaskoczony i wzruszony szczerością brata. - W celi mam mnóstwo czasu na rozmyślanie. I wiesz, do jakiego doszedłem wniosku? Że tak jak tego zawsze chciałeś, powinieneś odgrywać zdecydowanie większą rolę w zarządzaniu. A ja, kiedy w końcu stąd wyjdę, zajmę się czymś, o czym marzyłem jako młody człowiek pragnący zostać lekarzem. Zbuduję szpital dla dzieci w którychś z najbiedniejszych krajów trzeciego świata.

Pełen uznania dla planów Jake'a i wiary w to, że na pewno uda się uratować firmę, Nate pogratulował bratu.

Przez chwilę milczeli; obaj zdawali sobie sprawę, że w najbliższym czasie czeka Jake'a ciężka przeprawa,

Po powrocie do domu Nate zadzwonił do Sterlinga i opowiedział o ich rozmowie.

- Wiesz - dodał na zakończenie - nie wierzyłem, że to kiedykolwiek będzie możliwe. Ale teraz jestem przekonany, że między mną a Jakiem wszystko się dobrze ułoży.

Wieczorem, zaproszony na kolację do Kate, Sterling powtórzył jej to, co usłyszał od Nate'a. Siedzieli koło siebie, trzymając się za ręce i spoglądając na światła miasta migoczące na tle czarnego nieba, i zastanawiali się, co przyniesie przyszłość.

- Wszystko może się zdarzyć, ale wydaje mi się, że ława przysięgłych uniewinni Jake'a, a człowiek, który stoi za moim zabójstwem, zostanie schwytany.

- Obyś miała rację, kotku - powiedział Sterling, żałując, że nie podziela jej optymizmu. - Nic by mnie bardziej nie ucieszyło niż twój powrót na łono rodziny.

Posłała mu figlarne spojrzenie.

- Nic, staruszkule? Jesteś pewien?

Odkąd zaczęła żyć w ukryciu, bardzo się do siebie zbliżyli. Ale wiedział, że na żadne wielkie zmiany w ich życiu się nie zanoszą. Może kiedyś, gdy Jake wyjdzie na wolność, a prawdziwy winowajca znajdzie się za kratkami...

- Znasz mnie, nigdy niczego nie jestem pewien - odparł, ściskając ją lekko. - W każdym razie twój powrót na łono rodziny to moje... hm, najbardziej, że tak powiem, altruistyczne marzenie. A o marzeniach egoistycznych na razie nie mówmy.